ROZMOWA „DO RZECZY" Z PREMIER WŁOCH

Giorgia Meloni o kłamstwach lewicy, które mają krótkie nogi

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 16/574 15–21 KWIETNIA 2024
CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

„Akcja Ewakuacja" – rusza kampania promująca polexit

POLSKA OBRONA SILNA JAK NIGDY – POLEMIKA MARIUSZA BŁASZCZAKA

Jacek Komuda o Ukrainie zrujnowanej przez wojny w XVII w.

Kto nie za Unią Europejską, ten za Rosją?

WYBORCZA NARRACJA PROPAGANDOWA LIBERAŁÓW

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 850000 16 >
Nakład: 52 000 egzemplarzy

eprasa.pl 69da641fd5

Uwaga: nowe ceny na rok 2024

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

LESZEK ADAMCZEWSKI: „ZAGROŻONE DZIEDZICTWO"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~869~~ ZŁ

404,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 465ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 69da641fd5

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Wyznania skruszonego

Postanowiłem uderzyć się w piersi. Wysłuchałem bowiem wystąpienia pani Ursuli von der Leyen w Atenach, przeczytałem komentarze polskich mediów i doszedłem do wniosku, żem przyjaciel Putina i zwolennik Rosji.

Wstrząśnięty przyznaję się do błędów: Tak, Ukraina od miesięcy prowadzi zwycięską kontrofensywę i miażdży armie kacapii na każdym kroku. Myliłem się, mówiąc, że wojskom kijowskim nie uda się wyprzeć Rosjan z Donbasu i zająć Krymu. Toż to było powielanie propagandy kremlowskiej! Zwiodła mnie wizja rubelków, których nie dostałem. Przyznaję zatem, że ukraińska armia rozgromiła ruskie oddziały, przegnała je z Donbasu i zajęła Krym. Widzę przechadzającego się tam Wołodymyra Zełenskiego i siedzącego w piwnicy Putlera. Kto nie dostrzega, że Rosja się rozpadła, że armia ruska w rozsypce tyły podaje i za Ural zwiewa, ten na Moskwy utrzymaniu – mówię skruszony. Kto boi się, że Polska może stać się polem bitewnym i celem dla broni nuklearnej, jak sam kiedyś myślałem, ten tchórz i defetysta. A niech sobie rosną u nas grzybki atomowe. Prawdziwy Europejczyk, a takim zostałem, sobie na takie groźby bimba. Jedna mnie tylko wizja teraz pociąga, Putlera za kratkami. Reszta – furda.

Wyznam też i nie kryję, że nosem na Zielony Ład kręciłem. Tak, od 2020 r., kiedy polski rząd pod bohaterskim przywództwem Mateusza Morawieckiego podpisał się pod nim, krytykowałem i potępiałem i teraz, gdy nie mniej bohaterski gabinet Donalda Tuska go wdraża, kwękałem. O ja, głupi i zwiedziony! O ja, idiota pożyteczny Putina, nie dostrzegałem mądrości „Fit for 55". Jak mogłem nie pojąć, że kto nie chce zeroemisyjności, ten ruski agent?! Chcę płacić więcej za prąd. Dość mam tego przeklętego prawa własności. Nie chcę gotówki. Pieniądze napawają mnie obrzydzeniem. Byle bym tylko śladu węglowego nie zostawiał – to teraz moje zmartwienie.

Przyznaję też, że nie rozumiałem naszych amerykańskich przyjaciół. Nie podobały mi się ani uliczne szarże pani Żorżetty Mosbacher, ani występy na campusie jej następcy, Marka Brzezinskiego, gdy wskazał na Rafała Trzaskowskiego jako na lidera przyszłej Polski. Teraz dopiero do mnie dotarło, jak byłem nieodpowiedzialny. Naszego najbliższego sojusznika krytykować? Jego przenikliwości nie uznawać? Och, od kilku dni spać nie mogę, myśląc o tym, że byłem po złej stronie historii. Ale poprawię się, obiecuję. Będę chwalił każdy amerykański kredyt i dopominał się wręcz, żeby był jak najdroższy, bo tak tylko udowodnię, żem wolny od miazmatów ruskiego miru.

Będę wspierać osoby tej samej płci, jak przykazał prezydent Biden. Niech panowie z panami i panie z paniami się żenią. Nie wiem wprawdzie, czy wciąż istnieją panowie i panie, czy istnieją orientacje i pociągi ku sobie, czy też – jak głosi najnowszy prąd – wszystko jest płynne i zmienne. Czekam, co w tej sprawie powie nasz sojusznik.

Rano i wieczorem powtarzam: Polska ma przyszłość tylko w Unii. Polski bez Unii nie ma. Wyznaję nasze zachodnie wartości. Gotów jestem wspierać z całych sił aborcję do dziewiątego miesiąca ciąży, a nawet – bo w końcu jako skruszony putinista muszę przyjąć na siebie pokutę i złożyć rzetelną samokrytykę – do dziewiątego miesiąca po ciąży. Jestem za eutanazją wszystkich, których przeznaczy do tego Klaus Schwab. Uznaję, że dzieckiem jest tylko taki zbiór komórek, który za dziecko uzna Parlament Europejski. Opowiadam się za radosnym wyzwoleniem z płci i ogłaszam, że od tej pory będę oglądał wyłącznie te zawody sportowe, w których kobiety nosić będą długie brody. Mężczyzn z penisami za mężczyzn nie uznaję. Nikogo nie uznaję za nikogo, czekając, aż sam się określi. I choćby mi ktoś powiedział, że jest puszką coca-coli, to przyjmę to i uznam, plując w ten sposób w twarz moskiewskiej dyktaturze. Niech Żyje Unia Sowieckich Republik Tęczowych Rad! Niech żyje Ursula von der Leyen, krynica mądrości i nowa Wenus z Milo (nie wiem, czy mówiąc tak, nie dopuszczam się seksizmu, który jest inną postacią putinizmu). Bruksela locuta, causa finita, a co nadto jest, ode złego jest.

Jak do tych błędów doszło? Od kiedy pamiętam, lubiłem węgierskie salami, a młodość kojarzy mi się ze smakiem Egri Bikaver. To wszystko produkty państwa Viktora Orbána. Orbán to człowiek Putina. Ergo: Byłem sojusznikiem Putina. Podoba mi się Budapeszt. Nie ma piękniejszego widoku niż nocny obraz węgierskiego parlamentu. W parlamencie większość ma Fidesz. Fidesz to narzędzie Moskwy. Ergo: Byłem sojusznikiem Putina.

Składam tę samokrytykę, by innych naiwnych przestrzec. Uwaga: Nie dajcie się zwieść smakowi węgierskich kiełbas. Słuchajcie pani Ursuli! ©℗

eprasa.pl 69da641fd5

TEMAT TYGODNIA

16 ŁUKASZ WARZECHA
POLOWANIE NA ONUCE
O co chodzi w aferze z Voice of Europe

21 ZUZANNA DĄBROWSKA
PRZYKLEJANIE ŁATEK

KRAJ

24 PIOTR SEMKA
JAGODNO ZOSTAŁO W DOMU
PiS wciąż trzyma się nieźle

27 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WIDMO TVP KRĄŻY PO POLITYCE

30 ROZMOWA Z PROF. WALDEMAREM GONTARSKIM
WOLNOŚĆ JEST W NAS

32 ŁUKASZ ZBORALSKI
BODNAR KŁADZIE RĘKĘ NA WPŁYWACH Z KONFISKATY

KULTURA

34 ROZMOWA Z PROF. DR HAB. MARIĄ POMIANOWSKĄ
NIE CHCIAŁAM BYĆ CIEKAWOSTKĄ
Jestem z Polski i ma to sens

38 PIOTR GOCIEK
POZA DOBREM I ZŁEM

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 ROZMOWA Z PROF. ADAMEM WIELOMSKIM
BRUKSELA CHCE ZABRAĆ NIEPODLEGŁOŚĆ
Dlaczego nas straszą rosyjską agresją

48 MARIUSZ BŁASZCZAK
POLSKA OBRONA SILNA JAK NIGDY

50 KS. PRZEMYSŁAW ARTEMIUK
SPRAWA JEZUSA TRWA NADAL

53 PAWEŁ CHMIELEWSKI
KOŚCIÓŁ I NIEWOLNICTWO

HISTORIA

56 JACEK KOMUDA
UKRAINA W RUINIE
Zełenski a Doroszenko

ŚWIAT

60 ROZMOWA Z GIORGIĄ MELONI
CHCEMY INNEJ UNII EUROPEJSKIEJ
Moim celem jest zbudowanie silnej alternatywy dla lewicy

64 JAN BOGATKO
ŻARGON GENDER ZABRONIONY W BAWARII

68 MACIEJ PIECZYŃSKI
DLACZEGO UKRAIŃCY UCIEKAJĄ DO ROSJI

EKONOMIA

70 TOMASZ CUKIERNIK
CHCĄ POLEXITU
Unijne przepisy tłamszą Polaków coraz bardziej

PODRÓŻE

74 JACEK PAŁKIEWICZ
OCEANICZNE DRAMATY
Człowiek kontra żywioł

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (59), PRZYBYLSKI (67), GABRYEL, WARZECHA (72), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KUCHARCZYK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 69da641fd5

TYGODNIK POLSKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Mikhail Klimentyev/AFP, EU/Xinhua/East News (x2)**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 52 000 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Między Brukselą a Moskwą", Piotr Semka, „DRz" nr 14/2024

Na marginesie artykułu Piotra Semki „Między Brukselą a Moskwą" („Do Rzeczy" nr 14/572 z 2 kwietnia 2024 r.) dotyczącego wyborów na Słowacji pragnę wyrazić pewne zdziwienie stwierdzeniem autora, że partia KDH (Krestansko-Demokraticka Hnutie) to ugrupowanie, które ma według redaktora „[...] wyraźne nastawienie obrony katolickiej wartości". Owszem, kiedyś tak było, ale to już przeszłość. Ową obronę „katolickich wartości" partia ta najwyraźniej ukazała w czasie ostatnich wyborów prezydenckich, gdy jednoznacznie poparła kandydata liberałów i progresistów Ivana Korčoka. Gdyby jeszcze zrobiła to na zasadzie wsparcia mniejszego zła... Niestety, partia ta poparła Korčoka bezwarunkowo, przedstawiając go niemal jako... wzorcowego konserwatystę i chrześcijanina, radząc mu nawet po I turze... by na Wielkanoc (przypadającą pomiędzy pierwszą turą a drugą) pokazał się w kościele ewangelickim (Korčok jest ewangelikiem), by pozyskać głosy konserwatystów. Notabene Korčok rzeczywiście spotkał się w Wielkanoc z niejaką Anną Polcková, pastorką jednej z bratysławskich parafii ewangelickich i radykalną działaczką pro-LGBT. W ten sposób „uwiarygadniał" się przed wyborcami KDH.

Dodajmy, że taka postawa KDH spotkała się z wyraźnym potępieniem jego dawnych działaczy i założycieli, którzy wystosowali w tej sprawie apel, by wyborcy partii nie głosowali na Korčoka, a ją samą określili jako służących postępowców, którym torują drogę do władzy.

Wydaje się, że wspomniani działacze dawnej KDH lepiej rozumieją rzeczywistość współczesnej Słowacji, która wybierała pomiędzy polityką względnej suwerenności (na którą może stać małe państwo w strukturach UE czy NATO) i utrzymania tożsamości kulturowej wyrastającej z tradycji chrześcijańskich a opcją radykalnej i do głębi antychrześcijańskiej wizji zupełnego poddania się decyzjom Brukseli czy Waszyngtonu, nie tylko w kwestiach geopolitycznych, lecz także, a może przede wszystkim, kulturowych. Dodajmy przy tym, że katolicy na Słowacji tylko w niewielkiej części są wyborcami KDH. Partia ta zdobywa z reguły zaledwie 5–7 proc. głosów, tymczasem katolicy stanowią na Słowacji ponad 50 proc. ludności. Znaczna ich część głosuje raczej na Smer, Hlas i SNS, czyli partie obecnie rządzącej koalicji, bądź też na narodową i niechętną globalistom partię Republika (obecnie pozaparlamentarną). Prawdziwym bastionem wspomnianych dwóch pierwszych partii są tereny wschodniej Słowacji zamieszkane przez chrześcijan obrządku wschodniego, przede wszystkim grekokatolików.

Z poważaniem
dr Grzegorz Wnętrzak, historyk, nauczyciel akademicki

Od autora

Mam pełną świadomość, że słowacki ruch KDH odszedł już jakiś czas temu od pryncypialności katolickiej. Jednak nie zmienia to bardzo trudnego dylematu konserwatystów na Słowacji. Peter Pellegrini i stojący za nim Robert Fico kojarzą się z bardzo odpychającym systemem styku polityki, biznesu i w wielu wypadkach korupcji. W czasie swojej niedawnej wizyty w Bratysławie spotkałem naprawdę pryncypialnych katolików, którzy uznali, że wobec wyboru Pellegrini – Korčok ten drugi jest mimo wszystko mniejszym złem. Dlatego proszę przyjąć, że są ludzie, którzy traktują serio spory cywilizacyjne, ale mimo wszystko uznają prorosyjski neomeciaryzm (od nazwiska byłego premiera Słowacji Vladimíra Mečiara) za najgroźniejsze zjawisko w aktualnej chwili.

Piotr Semka

eprasa.pl 69da641fd5

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Ogon znów kręci psem

We wtorek 9 kwietnia Państwowa Komisja Wyborcza ogłosiła wyniki wyborów samorządowych. W elekcji do Sejmiku Województwa Śląskiego dwie organizacje Ślązakowców nie przekroczyły progu umożliwiającego ich kandydatom zdobycie miejsc. Komitet Ruchu Autonomii Śląska zdobył 50 361 głosów, czyli 3,21 proc. Komitet Wyborczy Ślonzoki Razem uzyskał jeszcze mniej, bo tylko 2,34 proc. głosów. Oba komitety od wielu lat wysuwają tezę o istnieniu osobnego narodu śląskiego i osobnego języka śląskiego.

W wyborach 2018 r. Ślązakowcy również nie dostali się do sejmiku. Popatrzmy teraz, jak ma się ostatni wynik RAŚ i Ślonzoków razem w stosunku do liczby osób uprawnionych do głosowania w województwie śląskim. W tym roku były to 3 mln 348 tys. 533 wyborców. Jeśli dodamy liczbę mieszkańców województwa śląskiego głosujących czy to na RAŚ, czy to na Ślonzoków Razem, to uzyskamy liczbę 87 tys. 091 wyborców. Stanowi to dokładnie 2,6 proc.

Również 9 kwietnia obradowała sejmowa Komisja Mniejszości Narodowych i Etnicznych. Posłanka Trzeciej Drogi Monika Rosa zarekomendowała do dalszego procedowania poselski projekt ustawy uznającej tzw. godkę śląską za osobny język regionalny. Projekt ten popierają i Ruch Autonomii Śląska, i Ślonzoki Razem, choć nie kryją, że uznają go za pierwszy taktyczny krok na drodze do uznania godki za język mniejszości narodowej i uzyskania tego statusu dla reprezentowanych przez siebie Ślązaków.

W trakcie dyskusji na komisji dwaj przedstawiciele PiS – Jarosław Sellin i Wojciech Zubowski – wskazywali na liczne opinie lingwistów, którzy w sposób naukowy udowadniali, że w wypadku godki śląskiej można mówić jedynie o gwarze języka polskiego, a nie osobnym języku regionalnym. Jarosław Sellin wskazywał, że nie ma porównania między językiem kaszubskim, który ma wiele cech unikalnych, a godką śląską. Politycy argumentowali, że w ten sposób sprowadza się całe pojęcie języka regionalnego do absurdu.

Posłanka Rosa zaprosiła na posiedzenie grupę naukowców ze środowiska tzw. regionalistów śląskich, z których część od wielu lat stanowi zaplecze eksperckie RAŚ. Argumentowano, że odwoływanie się do nauki lingwistycznej nie ma tu uzasadnienia, bo kwestie uznania języka śląskiego to decyzja polityczna i opinie naukowców nie mają tu nic do rzeczy. Wniosek Moniki Rosy przeszedł stosunkiem ośmiu głosów za do dwóch przeciw. Poparli ją członkowie komisji z Koalicji Obywatelskiej, Trzeciej Drogi i Lewicy. Wszystko w imię prymatu zasad poprawności politycznej, która głosi, że każdy ma prawo być tym, za kogo się uważa. Partie obecnej koalicji, które bywają wręcz przeczulone na zagrożenie nacjonalizmu, bez żadnych wątpliwości zaakceptowały projekt ustawy, która z pewnością zostanie potraktowana jako krok w kierunku uznania osobnej narodowości śląskiej. Hasła, które – jak pokazały wybory samorządowe – popiera jedynie 2,6 proc. wyborców w województwie śląskim.

Ślązakowski ogon znów macha platformerskim psem. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

EUROPARLAMENT PRZYJĄŁ PAKT MIGRACYJNY

10 kwietnia Parlament Europejski przegłosował pakt migracyjny. Mimo to premier Donald Tusk zapewnił w środę, że „z całą pewnością mechanizmy relokacji albo płacenia nie będą dotyczyły Polski". Aby pakt migracyjny mógł wejść w życie, musi go jeszcze zaakceptować Rada UE. Nielegalnych migrantów pod przymusem Brukseli do swoich krajów nie chcą też wpuszczać władze Węgier czy Słowacji. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 69da641fd5

Dzięki dobrej polityce pieniężnej NBP inflacja szybko się obniżyła, co prognozował NBP

Roczna dynamika cen konsumpcyjnych w okresie luty 2023 r. – marzec 2024 r.

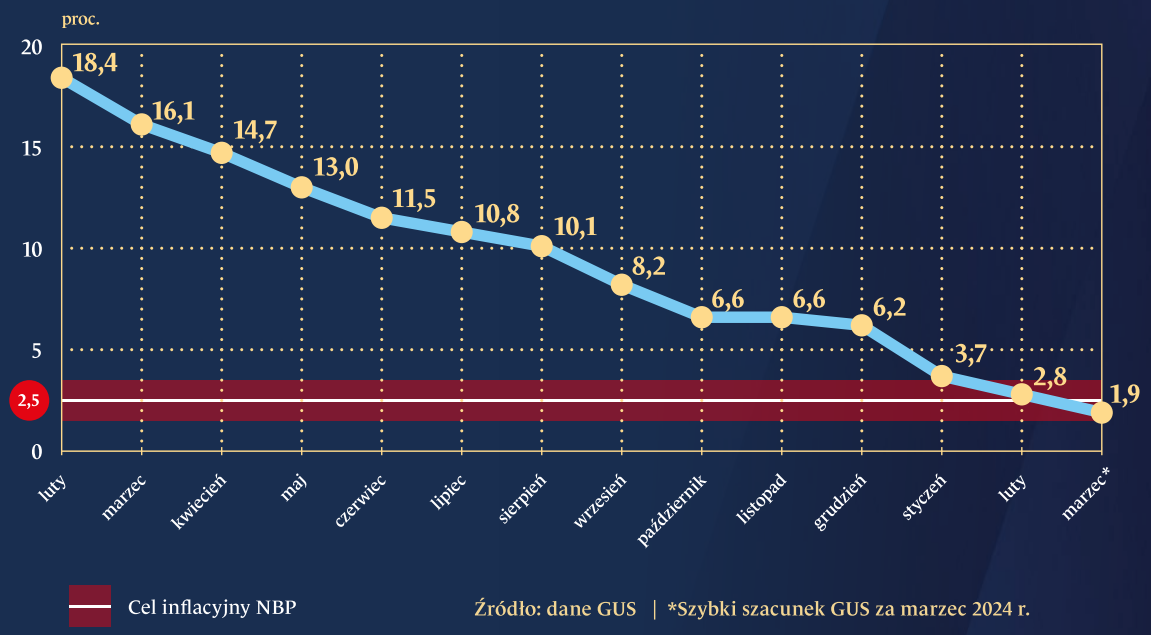

Źródło: dane GUS | *Szybki szacunek GUS za marzec 2024 r.

Dbamy o wartość polskiego pieniądza

W marcu inflacja wyniosła 1,9% r/r i znalazła się na poziomie zgodnym z celem inflacyjnym NBP, który wynosi 2,5% +/-1 pkt proc.

nbp.pl

eprasa.pl 69da641fd5

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Mit za mit

Kolejną rocznicę tragedii w Smoleńsku, jak co roku, każdy uczcił po swojemu. Liderzy i aparat PiS – kolejnymi nabożeństwami, zadymiarze od Tuska – kolejnymi maniackimi atakami na pozostałego przy życiu Kaczyńskiego i pamięć jego nieżyjącego brata, media „pisowskie" – powtarzaniem po raz enty, że to na pewno był zamach, bo wszyscy widzą, do czego Putin jest zdolny, a media peowskie deprecjonowaniem komisji Macierewicza i, delikatnie mówiąc, niskiej jakości jej dorobku, szczególnie w proporcji do przepalonych funduszy.

W tej ostatniej kwestii cokolwiek nowego dorzucił TVN24, a konkretnie prokurator Krzysztof Schwartz, który „przerwał milczenie" (ciekawe, dlaczego dopiero teraz?) i wyjawił parę nieznanych dotąd szczegółów z dziejów uprawdopodabniania przez Macierewicza na wszelkie sposoby z góry założonej tezy o zamachu. Może i byłoby to wartościowe, gdyby nie to, że dekonstruując mity budowane przez Macierewicza, TVN i w ogóle media peowskie uparcie kultywują własny mit, równie sprzeczny z faktami i dowodami. Jest to mit „kłamstwa smoleńskiego", które jakoby „otworzyło PiS drogę do władzy".

To kompletna bzdura. Wiara w zamach jest silna w kierownictwie i części żelaznego elektoratu PiS, bo uwzniośla tę tragedię i lepiej pasuje do męczeńskiej legendy – narodowy heros nie może ginąć wskutek bałaganu i przypadku. Ale tych wierzących jest mniej, niż popiera PiS w wyborach. Dlatego w 2015 r. Macierewicz został głęboko schowany wraz z „zamachową" narracją, a nie wystawiony na front. Żeby w ogóle przypomnieć o jego istnieniu, musiał wtedy TVN24 tropić go na spotkaniu w jakiejś polskiej parafii w USA, co powinni jeszcze pracownicy stacji pamiętać.

Ale, oczywiście, lepiej sobie mówić, że się przegrało ze złowrogim spiskiem, który posłużył się „kłamstwem smoleńskim", niż że się przegrało, bo się po prostu kiepsko rządziło, dużo kradło, jeszcze więcej marnowało, a na każdą krytykę i wyraz niezadowolenia reagowało wylewaniem jaśniepańskiej pogardy dla „starszych, gorzej wykształconych i z małych miejscowości". ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Bez skrupułów

Gdyby marszałek Hołownia miał skrupuły konstytucyjne (a przecież Wątpliwość to perła w koronie liberalnych wartości), wysłałby aborcyjne projekty do konstytucyjnej weryfikacji przez Komisję Ustawodawczą. Ta procedura, zapisana w art. 34/8 sejmowego regulaminu, ma zapobiegać nadużywaniu władzy przez parlament. Tyle że hasłem, z którym marszałek i towarzysze władzę zdobyli, nie była Konstytucja, ale KonstytucJA (właśnie tak, z „ja" podkreślonym na czerwono). A więc ograniczać i kontrolować to my, ale nie nas.

Jednym można brak skrupułów marszałka tłumaczyć. Miał przykład. Gdy osiem lat temu obecna minister Nowacka złożyła swój aborcyjny projekt w Sejmie, ówczesny marszałek Kuchciński też się jego konstytucyjnością nie przejmował i do Komisji Ustawodawczej go nie odsyłał.

Od tamtej pory coraz głośniej słyszymy, że „aborcja" (czyli prenatalne dzieciobójstwo) „to nie jest temat zastępczy, ale fundamentalny" (jak w czwartek mówiła posłanka Rosa, z Nowoczesnej, nie z Partii Razem), albo że „prawo do aborcji nie podlega [!] dyskusji" (to z kolei posłanka Łoboda z Koalicji Obywatelskiej, nie z Nowej Lewicy).

Strona wywrotowa miała aborcyjną strategię, ci, którzy mieli porządku bronić, mieli strategię – uników. W czasie Czarnej Rewolucji, w 2016 r., nikt nie powiedział, że wymachiwanie wieszakami i odczłowieczanie nienarodzonych to nie tylko szerzenie nienawiści, lecz także przestępstwo pochwalania łamania prawa. Nie, zamiast tego premier Szydło udzieliła publicznej reprymendy ministrowi Waszczykowskiemu, gdy się o wieszakowcach zbyt niepochlebnie wyraził. Swoim posłom Jarosław Kaczyński oświadczył, że „stanowiska PiS w tej sprawie nie ma i nie będzie" i „każdy musi we własnym sumieniu to rozważyć". PiS dywagował, czym dla partii może się skończyć otwarte zaangażowanie w obronę życia. Szkoda, że nie zastanawiali się, czym się skończy jej zaniechanie, dla Polski. ©℗

eprasa.pl 69da641fd5

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O macierzyństwie

Rzeźbiarka Vera Omodeo zmarła w zeszłym roku w wieku niemal 100 lat. Zaraz po studiach wyszła za mąż za bogatego przemysłowca, który postanowił finansować jej działalność artystyczną w całości, bo uznał, że powinna być artystką całkowicie niezależną od trendów, układów i rynku sztuki. W efekcie Vera Omodeo swoje rzeźby rozdawała albo sprzedawała na aukcjach, z których dochód przeznaczała na cele charytatywne.

Lekarze zaraz po ślubie powiedzieli jej, że nie może mieć dzieci. Diagnoza okazała się błędna, ale wpłynęła na twórczość Very. Wiele swoich rzeźb poświęciła właśnie macierzyństwu. Gdy zmarła, zgodnie z jej wolą dzieci podarowały Mediolanowi jej rzeźbę odlaną w brązie pod takim właśnie tytułem. Przedstawia kobietę nagą do talii, która karmi piersią swoje dziecko. Dzieło miało stanąć na placu Eleonory Duse, jednej z najwybitniejszych włoskich aktorek teatralnych.

Zgodnie z przepisami o tym, czy, a jeśli tak, to gdzie można w Mediolanie w przestrzeni publicznej wystawić dzieło sztuki, decyduje czteroosobowa komisja władz miejskich: superintendent, przewodniczący komisji krajobrazowej, dyrektorzy wykonawczy sektora technicznego i kultury. Wydawało się, że to zwykła formalność. Okazało się jednak, że wysoka komisja to banda czworga zideologizowanych idiotów. Wydali jednomyślnie następujący wyrok: „Rzeźba reprezentuje na pewno wartości godne szacunku, ale nie podzielane uniwersalnie przez wszystkich mieszkańców, co uniemożliwia postawienie tego dzieła w miejscu publicznym". Wiadomo, o co chodzi, i szkoda strzępić języka (wrażliwość LGBT, „Mam prawo nie mieć dzieci" etc.). Można mieć tylko nadzieję, że ten bakcyl postępowego kretyństwa, którym zaraziła się mediolańska komisja, nie powoduje trwałych zmian z mózgu. Lewicowy burmistrz Mediolanu Beppe Sala zapowiedział ponowne rozpatrzenie sprawy.

A jako że głupota jest bardzo zaraźliwa i nie zna granic, może lepiej przed obrazem Wyspiańskiego w Muzeum Narodowym w Krakowie już wystawić straże? ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 69da641fd5

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

FOT. WOJCIECH OLSZANKA/EAST NEWS

MACIERZYŃSTWO NA PÓŁ ETATU

Aktorka Katarzyna Warnke udzieliła wywiadu, w którym poruszyła temat naprzemiennej opieki nad córką. Wyznała, że sytuacja, w której dzieckiem opiekuje się raz ona, a raz jej były mąż, ma swoje niezaprzeczalne zalety. – Może przewrotnie to zabrzmi, albo szokująco dla niektórych, ale naprawdę to, że w tej w chwili opiekujemy się córką osobno z moim byłym mężem, daje mi taką przestrzeń bycia ze sobą, której nie miałam, kiedy byliśmy razem. Czyli są plusy i minusy, moim zdaniem, tej sytuacji [...]. Są ludzie, którzy nie wyobrażają sobie bycia samemu ze sobą, nie chcą być sami i to też jest okej. Myślę, że to są prawdziwie rodzinni ludzie. Ja nie jestem taką osobą, nie jestem rodzinna. Potrzebuję mieć dużo czasu dla siebie – przyznała Warnke w podcaście „Trójkąt". Gwiazda nie rozumie, jak ktoś może nie rozumieć takiego podejścia do macierzyństwa. – To jest wstrząsająca i poruszająca mnie sytuacja, że ja mówię zwykłe dla siebie rzeczy i to nie powinna być kwestia jakiejś wielkiej odwagi, a się okazuje, że jednak tak to jest odbierane. Moim zdaniem jest więcej kobiet, które myślą podobnie. One potrzebują znaku, że można powiedzieć o tym, jak jest trudno, mimo że się kocha swoje dzieci, że brakuje im siebie samych, że to jest codzienna walka o samą siebie w kontekście macierzyństwa, bycia z dziećmi, bycia dla rodziny, a jednak bycia sobą, że wcale nie jest tak różowo, że to są paradoksalne sprawy, uczucia i sytuacje – przekonuje aktorka. To dość zabawne, że pani Kasia mówi o tym wszystkim, będąc pełnoprawną, salonową celebrytką. Odwagą w tym środowisku byłaby opinia odwrotna.

ZAZDROŚĆ EKSPRZYJACIÓŁKI

Gdyby kogoś to interesowało, Polsat emituje obecnie kolejną edycję show „Taniec z gwiazdami". Jedną z „gwiazd" jest skazana prawomocnym wyrokiem za stręczycielstwo Dagmara Kaźmierska. Mimo negatywnych opinii internautów przeszła do kolejnego odcinka i nadal ma szansę na wywalczenie Kryształowej Kuli. Tymczasem według jej byłej przyjaciółki Edyty, z którą występowała w programie „Królowe życia", powinna opuścić program. „Tańczyć w ogóle nie umie. Dawno powinna odpaść. Co to jest. Oszustwo i nic więcej" – ubolewała Edzia pod jednym z postów w mediach społecznościowych. Takiej zniewagi nie może puścić płazem, a więc Kaźmierska w rozmowie z serwisem Pomponik odniosła się do słów eksprzyjaciółki. – Niektórzy ludzie powinni milczeć, niektórzy mówić, jeśli mają coś konkretnego do powiedzenia. Edzia mogła sobie darować. Nie mnie to oceniać. Niemniej to, że Edzia uważa, że to jest oszustwo, jakaś ustawka, to jest niedopuszczalne – stwierdziła stanowczo. – Tam nie ma żadnego oszustwa. Ludzie, którzy oglądają „Taniec z gwiazdami", są ignorantami. Jeśli coś oglądasz, to musisz wiedzieć, na jakich zasadach jest to, co oglądasz. Każdy wie, że ten program jest oparty na głosach widzów. Czy to jest moja wina, że ludzie na mnie głosują? – pyta celebrytka. Przyznaje, że słowa Edzi ogromnie ją zasmuciły. – Mnie jest bardzo przykro. Jeśli to słyszysz, Edzia, puknij Ty się w głowę. Niebywałe. Jestem niemile zaskoczona i zasmucona. Jeśli Edzia odnosiłaby teraz jakiekolwiek sukcesy, bo samo to, że ja jestem w tym programie, to jest ogromnym sukcesem, to ja bym się cieszyła. Ja się cieszę ze szczęścia innych ludzi. Niektórzy nie potrafią i to jest przykre – podsumowała. Tak to jest z tymi medialnymi przyjaźniami.

MODELOWY KANDYDAT

Historia pokuje, że od bycia celebrytą do zostania politykiem wcale nie taka długo droga (a i w drugą stronę też to działa). Michał Kirker chciał zostać modelem w programie TVN „Top Model", jednak okazał się zbyt pulchny jak na standardy tego programu. Choć przekonywał, że warto pokazywać w mediach modeli w różnych rozmiarach, to jury było nieprzejednane. – Ktoś musi te XXL nosić. Jest wielu mężczyzn takich jak ja z brzuszkiem piwnym, z boczkami, którzy mimo wszystko też się interesują modelingiem – reklamował się uczestnik show. Kirker znalazł dla siebie inną drogę. W wyborach samorządowych, w których startował na prezydenta Jaworzna, dostał się do drugiej tury. Wspierany przez Koalicję Obywatelską stanął w szranki z rządzącym od 22 lat Pawłem Silbertem, startującym pod szyldem KW Jaworzno Moje Miasto. – Mieszkańcy zbyt długo byli niewysłuchani. Nikt nie chciał z nimi rozmawiać, słuchać ani rozwiązywać ich problemów. Buta, nepotyzm i arogancja to niestety cechy, z których dali się poznać aktualni włodarze Jaworzna – mówił niedoszły model na jednym ze spotkań wyborczych. Trzydziestolatek zdobył 46,11 proc. głosów, a jego rywal 44,45 proc. i ma realną szansę na zostanie prezydentem Jaworzna. Już jest taki jeden, który ze studia TVN wszedł do polityki. Szlaki zostały przetarte. ©℗

eprasa.pl 69da641fd5

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, iż ostatnio coraz częściej w przestrzeni publicznej, a nawet medialnej, pojawia się temat dotyczący powszechnej służby wojskowej i poboru, postanowiliśmy się nieco bliżej przyjrzeć tym zagadnieniom głównie po to, iżby się upewnić, iż nie będą one dotyczyły nas.

I rzeczywiście – okazuje się, iż posiadając solidne wykształcenie humanistyczno-społeczne, nie reprezentujemy sobą żadnej wartości dla polskich sił zbrojnych. Na ćwiczenia mają być wzywane kuce z polibudy, bo potrafią programować i bawić się dronami. No jeśli wojsko to ma być klepanie kodu i latanie zabawkami, to sorry.

Of kors – nie żebyśmy się skarżyli, bo w ogóle nie mielibyśmy zamiaru stawiać się na żadnych ćwiczeniach. Jesteśmy dumnymi posiadaczami kategorii E, a w dodatku, gdybyśmy jednak byli w jakiś sposób zmuszani do służby wojskowej, poważnie zastanowilibyśmy się nad zmianą płci.

Otósh bowiem się okazuje, że służba w wojsku to kolejny męski przywilej, który nie dotyczy waginoosób. Jest to kolejny krąg piekła kobiet, które, jak widać, także w obszarze militarnym są niedoreprezentowane i dyskryminowane.

A wracając do wykluczania ze względu na dyplom: serio, jaka nowoczesna armia może pozwolić sobie na zrezygnowanie ze wszechstronnie wykształconych socjologów i absolwentów wiedzy o tańcu? Of kors, może i nie wiemy, jak się trzyma karabin i którym końcem bagnetu trzeba ukłuć wroga, ale za to potrafimy robić całkiem niezłe memy, więc do propagandy bylibyśmy jak znalazł. No ale, podkreślmy, nie chcemy xD. Jak są tacy mądrzy, to niech sobie radzą bez nas.

Poza tym wiecie, nie chcemy brać udziału w zjawisku pod nazwą „Wojsko Polskie" także z przyczyn etycznych i nie mamy tu koniecznie na myśli stosowania przemocy. Chodzi nam raczej o kwestie równościowe i antydyskryminacyjne. Źle byśmy się czuli w takiej instytucji również z innych, etycznych, przyczyn.

Otósh polska armia, jak już wspominaliśmy, faworyzuje obecność mężczyzn. Poza tym jest bardzo niepokojąco monoetniczna, brak w niej mniejszości narodowych, rasowych i innych. Nie chcielibyśmy swoimi osobami legitymizować takiego patologicznego stanu rzeczy.

No i pozostaje kwestia generalicji i sztabów. Czy tam w ogóle są jakieś waginoosoby czy mamy tam kolejny szklany sufit do przebijania? Skoro udało się wywalczyć parytety w zarządach, na listach wyborczych, to czemu nie tam? Okazuje się więc, iż ostatnimi bastionami konserwatywnego patriarchatu, bez parytetów i poszanowania mniejszości, są… Kościół i armia, a więc instytucje jednocześnie bardzo hierarchiczne i takie, które w zasadzie promują wyłącznie biologicznych mężczyzn. No sami powiedzcie, czy to jest przypadek? Nie sądzimy xD. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Słyszę cię w głowie

Cześć, Włodek. Siadaj. Napijesz się czegoś?
…

Dlaczego nic nie mówisz? Co ty tam piszesz? „Gdzie masz kamery?". Jakie kamery? Ja w gabinecie u siebie nie mam żadnych kamer. „A mikrofony?". Mikrofonów też nie mam. O co ci chodzi?
…

Dlaczego się chowasz za zasłonę? Co tam znowu piszesz? „Nie rżnij głupa, Szymuś, wiem, że to nie był przypadek". Że niby ta transmisja z waszego spotkania? Zapewniam cię, że to było niecelowo. Testy sprzętu…
…

„Zandberg poszedł na kurs telepatii i przekazał nam swoją wiedzę. Tak nas nie nagracie!". Oż ja cię! Słyszę cię w głowie! Że co? Whisky ci nalać? ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Wystąpię dzisiaj do prokuratury o przesłuchanie przy użyciu wariografu Kaczyńskiego".

ROMAN GIERTYCH, *wiceszef klubu KO, zapowiadając wniosek do Prokuratury Krajowej w związku z katastrofą smoleńską*

eprasa.pl 69da641fd5

dwaj panowie

To, co najpiękniejsze: czas powyborczych rozliczeń. Wiewiórki z Nowogrodzkiej ćwierkają, że dwie persony wzmocniły się niepomiernie: szeregowy poseł i nadpremier Jarosław znany także jako Naczelnik – za sprawą wyniku ogólnego. Oraz Przemysław Czarnek – za sprawą imponującego wyniku PiS w województwie lubelskim. Nie zmienia to faktu, że PiS-olodzy – podobnie jak kiedyś kremlinolodzy – uważnie studiują zdjęcia z wieczoru wyborczego, by na podstawie doboru nazwisk wokół Naczelnika ustalić nowe tendencje.

Jedną wiadomość dementujemy. Gdyż pojawiły się wieści, że były premier Mateusz jest w niełasce, bo stał sobie gdzieś z boku. Otóż przyczyna jest niepolityczna. Mateusz wciąż leczy połamaną nogę i porusza się o kulach. Gdy pokazano na wieczorze wyborczym wyniki, entuzjazm był tak wielki, że dziki tłum rzucił się na scenę, by otoczyć radosnym wianuszkiem Jarosława. Nie dość więc, że wszyscy wyprzedzili Mateusza, to jeszcze go przy okazji mało nie stratowali.

Były premier Mateusz mimo kontuzji pozostaje jednak aktywny. W tym tygodniu będzie brylował w europarlamencie u boku Orbána oraz Fabrice'a Leggeriego, byłego szefa Frontexu, który ma startować do PE z list partii Marine Le Pen. Co więcej, wybiera się na Węgry, gdzie odbędzie się zjazd konserwatystów CPAC (Konferencja Polityczna Akcji Konserwatywnej). Dostał oficjalne zaproszenie i je przyjął. Podajemy ten fakt, gdyż dotąd informowano jedynie, że z Polski wybiera się tam jedynie Marek Kuchciński.

Apropos relacji polsko-węgierskich: niektórzy pytają, czy są jakieś nowe wiadomości w sprawie potwora z Loch Ness, czyli mitycznej nowej telewizji prawicowej zakładanej przez PiS. Inwestorzy portugalsko-węgierscy okazują się bardzo dobrze poinformowani na temat różnych napięć w PiS i tego, kto kogo w partii lubi/wspiera. Co może tłumaczyć, dlaczego sprawa się przeciąga. Na przykład zapytali ostatnio, z kim oni właściwie mają rozmawiać, z Mateuszem czy Jarosławem.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Falę komentarzy wzbudziło pojawienie się na wieczorze wyborczym za plecami szeregowego posła Jarosława osoby Jacka Kurskiego. Komentarze są słuszne, Kura bliski jest startu do europarlamentu. Co do składu list, to na razie Nowogrodzka ustaliła obsadę tzw. mniejszej połowy.

Pojawiają się pytania o sztab wyborczy w wyborach europejskich: kiedy, kto ma kierować i czy będzie to Kura? Ciekawa rzecz – na Nowogrodzkiej wielu jest przekonanych, że skoro w wyborach samorządowych de facto formalnego sztabu nie było i jakoś poszło, to w eurowyborach pójdzie tym bardziej.

Ustalanie składu eurolist trwa nie tylko w największych partiach. Mamy wieści z Konfederacji – jedynką na Dolnym Śląsku ma być niejaki Stanisław Tyszka, kiedyś gowinowiec, potem kukizowiec, obecnie konfederata.

U czerwonych braci kocioł. Partia Razem grozi, że opuści klub Lewicy. A że posiada siedem szabel, to po ich odejściu klub poselski czerwonych liczyłby 17 posłów. Czyli wystarczyłoby urwać jeszcze trzech i Czarzasty straciłby w Sejmie klub. Byłyby tylko dwa konkurencyjne lewicowe koła poselskie. A te, jak wiadomo, nie mają prawa nie tylko do funkcji marszałka rotacyjnego

eprasa.pl 69da641fd5

(rotuj się, kto w Boga wierzy), lecz także wicemarszałka.

Ktoś może zapytać, skąd te napięcia. Wyjaśniamy. Między innymi to wybory w Krakowie tak spolaryzowały czerwonych braci. Młody Gdula ciśnie, by Razem w drugiej turze wsparło kandydaturę Miszalskiego z Peło. Natomiast Razem łaskawszym okiem spogląda w stronę Gibały.

Tak czy inaczej w Krakowie druga tura rozstrzygnie się zgodnie z logiką walki klas, która zaostrza się w miarę postępu rewolucji. W Krakowie na razie większość mają bolszewicy, czyli wyznawcy Miszalskiego, zwycięzcy pierwszej tury. Rolę mienszewików pełnią zwolennicy Gibały. Jak to? – możecie się oburzyć. Wszak Miszalski to przyjaciel deweloperów i kapitalista pełną gębą! Odpowiemy pytaniem: A czy Lenin był robotnikiem?

Wieść gminna niesie, że kampania Aleksandra Miszalskiego kierowana jest z tylnego siedzenia przez niejakiego „Długiego". Tak w Krakowie nazywa się Andrzeja Długosza, znanego jak cichy specjalista Platformy od PR. Uważamy to za wielce prawdopodobne, zważywszy na to, że materiały dyskredytujące Gibałę pojawiają się w rozmaitych nieoczywistych miejscach. Łącznie z portalami osobników uważanych za śledczą alt-prawicę.

Jeszcze o Krakowie. Mienszewik Gibała, jak słyszeliśmy z okolic jego współpracowników, ma na drugą turę pomysł pt. „mniejsze zło", co tłumaczy się jako „każdy, byle nie Platforma", a oznaczać ma uzyskanie sympatii prawicy w drugiej turze Gibały przeciw Miszalskiemu. Gibała uznał jednak, że nie ma sensu ubiegać się o jakieś oficjalne poparcie ze strony PiS, bo to mu tylko zaszkodzi. Ale chce dotrzeć do wyborców Zjednoczonej Prawicy ze swoim mesydżem. Dlatego zamierza przed drugą turą pojawiać się w szeroko rozumianych mediach prawicowych.

Uważamy wywalenie Śmigula za akt ciężkiej homofobii i oczekujemy interwencji Brukseli oraz jakiegoś kolorowego marszu w jego obronie

Ciekawe wieści doszły do nas zza kulis kampanii w Poznaniu. Tam na ostatniej prostej ludzie urzędującego prezydenta Jaśkowiaka namawiali nieoficjalnie do głosowania na kandydata PiS, Zbigniewa Czerwińskiego. I udało się: w ostatniej chwili Czerwiński minimalnie wyprzedził kandydata Trzeciej Drogi, niejakiego Przemysława Plewińskiego. Nie, Jaśkowiak nie zwariował. Odkrył po prostu, że z PiS wygra w każdych warunkach, natomiast z Plewińskim będzie miał kłopoty. Tak to, widzicie, jest, kiedy lokalne establiszmęty stawiają na nowego człowieka. A w Poznaniu establiszmęty są przecież bardzo bogate i wpływowe.

Tymczasem w Warszawie – spokój. Drugiej tury nie będzie. I miejsce rafciowania na ekranach w komunikacji miejskiej zajęły inne tematy. Na przykład ogłoszenia fundacji finansującej OKO.press, która prosi o 1,5 proc. podatku hasłem Władysława Bartoszewskiego: „Prawda leży tam, gdzie leży". Naśladownictwo, przypominamy, to najwyższa forma uznania, ale nas interesuje coś innego. Przecież każdy, kto rozumie znaczenie tego hasła, rozumie także, że ostatnim miejscem, w którym ktoś mu hołduje, jest OKO.press.

Zamykając na razie temat wyborów samorządowych, chcieliśmy się odnieść do zaskakującego faktu: sondaż exit poll dawał PiS mniejsze poparcie od realnych wyników. Cóż, nie jesteśmy zaskoczeni. Po prostu dopisujemy do listy 100 konkretów Peło jeszcze jeden: „żeby ludzie znów bali się mówić prawdę ankieterom". Check! Zrealizowane.

W związku z nową falą czystek w rozmaitych instytucjach podległych ministrowi podpułkownikowi Sienkiewiczowi zmuszeni jesteśmy przypomnieć fragment „Satyry na leniwych chłopów": „Gdy pan przyjdzie, dobrze orze / Gdy odejdzie – jak najgorzej" (nieco uwspółcześniliśmy pisownię). Otóż Zły Donald z Sopotu od dawna domagał się od ppłk. Barta większej robotności i zaangażowania w walce z PiS-owską zarazą. Od tego uzależniał umiejscowienie Barta na listach do europarlamentu. Bart zrozumiał aluzję i zabrał się do roboty.

Nas najbardziej zaciekawiła dymisja szefa PISF Radosława Śmigulskiego. Jest to w końcu persona, która publicznie wyznała, że nie tylko najczęściej dotowała filmy Agnieszki Holland i Małgośki Szumowskiej, lecz także dumna była z tego, że wsparła wyprodukowanie „kilkunastu filmów o tematyce LGBT" i że „żadna inna instytucja publiczna w historii nie wsparła w takiej skali projektów audiowizualnych o tej tematyce". Krótko mówiąc, uważamy wywalenie Śmigula za akt ciężkiej homofobii i oczekujemy interwencji Brukseli oraz jakiegoś kolorowego marszu w jego obronie.

Jedną z pozbawionych głowy instytucji jest Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej, skąd wywalono Żaryna seniora, wskazując w jego miejsce jako p.o. Adama Leszczyńskiego, autora niesławnej „Ludowej historii Polski". Z tego właśnie powodu gruchnęła wieść, że dotychczasowi patroni Instytutu, czyli Dmowski i Paderewski, zostaną zastąpieni nowym – Jakubem Szelą. Miny żartownisiów zrzedły, gdy chwilę potem okazało się, że zostanie nim Gabriel Narutowicz. W sprawie nominacji Leszczyńskiego mamy tylko jeden komentarz: nawet PiS nie wpadł na pomysł, żeby szefem muzeum POLIN zrobić Grzegorza Brauna. ©℗

eprasa.pl 69da641fd5

CAŁKOWITE ZAĆMIENIE SŁOŃCA

Miliony ludzi w Ameryce Północnej 8 kwietnia były świadkami całkowitego zaćmienia Słońca. Niesamowity spektakl można było obserwować od Meksyku poprzez Stany Zjednoczone do Kanady. W niektórych miejscach faza całkowitego zaćmienia trwała nawet 4,5 minuty.

Aby oglądać całkowite zaćmienie gwiazdy Układu Słonecznego, do miejsc leżących na ścieżce przybyły miliony turystów. Część miłośników astronomii zaćmienie oglądała z okien samolotów. Kiedy następnym razem Księżyc przesłoni tarczę Słońca? Już 2 października w Ameryce Południowej będzie można obserwować tzw. zaćmienie obrączkowe – Księżyc nie zasłoni jednak wówczas całej tarczy słonecznej. Na niebie widoczny będzie tzw. pierścień ognia. Na kolejne zaćmienie całkowite trzeba poczekać do 2026 r. 12 sierpnia wystąpi ono w Grenlandii, Islandii, Hiszpanii, Portugalii oraz Rosji.

Z Polski ostatnie całkowite zaćmienie Słońca było widoczne w 1954 r. Do kolejnego dojdzie dopiero w roku 2135. Wcześniej – w latach 2075 i 2093 – z naszego kraju widoczne będą zaćmienia obrączkowe. ***(jap)*** © ℗

FOT. DUSTIN SNIPES, MASON MASHON AND PETER MCKINNON/RED BULL CONTENT/AP/EAST NEWS

eprasa.pl 69da641fd5

eprasa.pl 69da641fd5

Polowanie na onuce

Łukasz Warzecha

Oskarżanie kogokolwiek o wspieranie rosyjskiej narracji należy przyjmować z wielką ostrożnością. Wystarczy bowiem prezentować linię przeciwną jedynie słusznej, skrajnie proukraińskiej, by stać się obiektem zainteresowania służb specjalnych

Czeski rząd pod koniec marca wciągnął na swoją listę sankcyjną, stworzoną w konsekwencji rosyjskiego ataku na Ukrainę, kilka podmiotów, w tym portal Voice of Europe. Według przedstawicieli czeskich służb podmioty te zajmowały się rozpowszechnianiem rosyjskiej propagandy na zamówienie i za pieniądze Kremla. Od tego momentu sprawa zatacza coraz szersze kręgi. Ma też rozdział polski, lecz także ewidentne drugie dno. Można postawić tezę, że jesteśmy świadkami dużego „montażu" – by sięgnąć po tytuł powieści Władimira Wołkowa, której tematem jest dezinformacja – którego celem jest uratowanie głównego nurtu europejskiej polityki przed poważnymi stratami w najbliższych wyborach do Parlamentu Europejskiego. Paradoks polega na tym, że Wołkow opisywał mechanizmy dezinformacji stosowanej przez Sowietów, podczas gdy teraz możemy mieć do czynienia z twórczym dostosowaniem tych metod do potrzeb zachodnich demokracji.

Żeby zrozumieć, jaki jest cel tego „montażu", musimy najpierw ujrzeć kontekst, w którym się on odbywa.

STRACH EUROPEJSKIEJ ELITY

W ubiegłym tygodniu rzutem na taśmę przez Parlament Europejski przeszedł pakt migracyjny. W zasadzie do ostatniej chwili nie było wiadomo, czy ten akt budzący olbrzymi sprzeciw części krajów członkowskich uda się w PE przepchnąć. „Politico" informowało rano tego dnia, że prezydent Francji Emmanuel Macron telefonował do Donalda Tuska, aby ten skłonił swoich europosłów do przynajmniej wstrzymania się od głosu. To się nie udało – wszyscy eurodeputowani z KO opowiedzieli się przeciwko paktowi ręka w rękę z europosłami z PiS.

Nerwowość, która towarzyszyła sprawie głosowania nad paktem, pokazuje, o jaką stawkę będzie się toczyła gra w zaplanowanych od 7 do 9 czerwca (w Polsce głosowanie odbędzie się tego ostatniego dnia) wyborach do Parlamentu Europejskiego. Elita unijna już wie, że istnieją ogromne szanse, iż utraci dotychczasową pozycję. Sondaże pokazują, że Europejska Partia Ludowa (EPP) – od dawna największa grupa polityczna w PE – mogłaby stracić pierwszą pozycję, jeśli doszłoby do połączenia Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (ECR) z grupą Tożsamość i Demokracja (I&D). Połączone ECR i I&D mogą mieć ok. 160–180 europosłów. EPP walczy o podobną liczbę mandatów, choć w różnych sondażach liczby są oczywiście trochę różne. EPP z pewnością

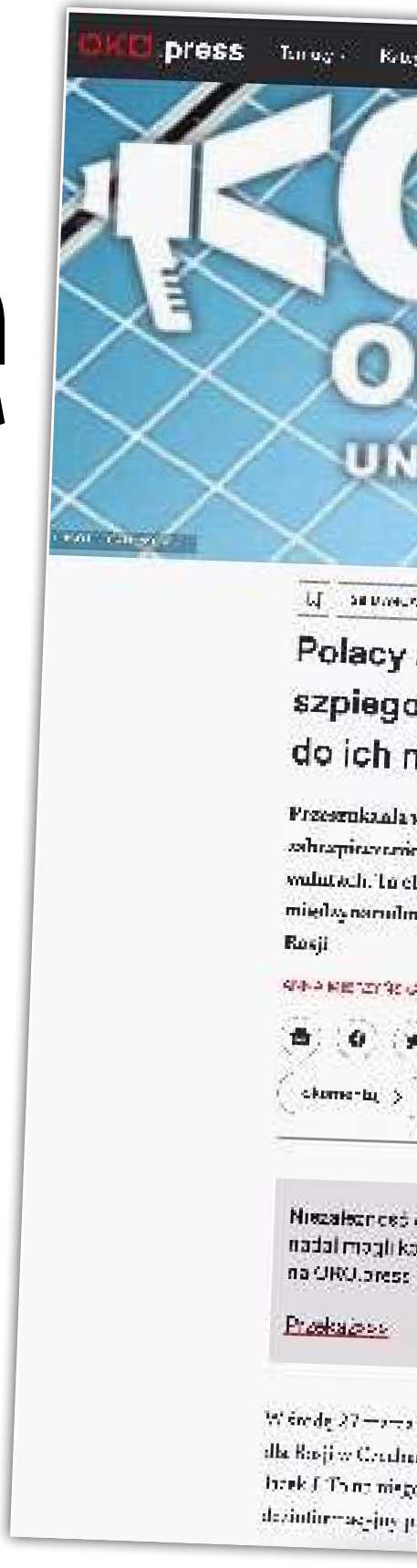

eprasa.pl 69da641fd5

Czytając materiały niezwykle pobudzonych tropicieli „ruskich onuc", takich jak Anna Mierzyńska z OKO.press, można dojść do wniosku, że oskarżenia o współpracę z Kremlem można uniknąć, jedynie zgadzając się całkowicie ze wszystkimi narracjami głównego nurtu

FOT. OKO.PRESS

miałaby nadal większość w połączeniu z Socjaldemokratami (S&D) – między 310 a 330 miejscami. Nie byłaby to jednak większość samodzielna. Przy kolejnych głosowaniach trzeba by dobierać wsparcie z mniejszych grup – w tym lewicowych (Zieloni, Lewica, Renew Europe) – nic nie byłoby gwarantowane. Bez zgody PE zaś nie jest możliwe forsowanie europejskiej legislacji.

O poziomie spanikowania europejskich elit głównego nurtu świadczy raport, opublikowany przed kilkoma tygodniami przez euroentuzjastyczny think tank European Council on Foreign Relations, zatytułowany „A New Political Map: Getting the European Parliament Election Right" („Nowa mapa polityczna: ku odpowiedniemu wynikowi wyborów do PE"). Autorami są dwaj prominentni analitycy, związani z ECFR: Ivan Krastev i Mark Leonard.

Autorzy stawiają tezę, że groźba podważenia pozycji ugrupowań głównego nurtu w czerwcowych wyborach jest realna, a ich przedstawiciele źle podchodzą do rozpoczynającej się kampanii i zamiast skutecznie walczyć o poparcie, wręcz napędzają je stronie przeciwnej.

W ubiegłym tygodniu rzutem na taśmę przez Parlament Europejski przeszedł pakt migracyjny

Autorzy raportu określają ją wprost jako „skrajnie prawicową" i „eurosceptyczną". W przywoływanych przez nich sondażach badano opinie respondentów z 12 państw UE (Polska, Holandia, Austria, Szwecja, Niemcy, Węgry, Francja, Hiszpania, Portugalia, Rumunia, Grecja oraz Włochy), przy czym na użytek tych sondaży i samego raportu przez „skrajnie prawicowe" i „eurosceptyczne" siły w Polsce rozumiano Prawo i Sprawiedliwość, a przez siłę głównego nurtu – Koalicję Obywatelską. Ten podział nie jest oczywiście oparty na faktycznych działaniach ani deklaracjach polityków PiS. Pokazuje raczej punkt widzenia analityków ECFR.

eprasa.pl 69da641fd5

Raport ostrzega, że przeciwnicy polityki głównego nurtu w czerwcowych wyborach zdobędą najwięcej głosów w dziewięciu państwach: w Austrii, Belgii, Czechach, we Francji, na Węgrzech, we Włoszech, w Holandii, na Słowacji i w Polsce. Na drugim lub trzecim miejscu mają być w kolejnych dziewięciu państwach: w Bułgarii, Estonii, Finlandii, Niemczech, na Łotwie, w Portugalii, Rumunii, Hiszpanii i Szwecji.

Krastev i Leonard uważają, że skupianie się sił głównego nurtu na obronie osiągnięć UE w tych dziedzinach, gdzie są one podważane przez przeciwników, nie ma sensu. Te dziedziny to walka ze zmianami klimatu, kryzysem ekonomicznym, kwestia Ukrainy, imigracji oraz zmierzenie się z pandemią COVID. We wszystkich tych sprawach – piszą autorzy raportu – stanowisko obywateli UE, gdy idzie o jej działania, jest krytyczne. Wskazują na to dwa przytaczane badania opinii. W pierwszym zapytano respondentów, czy ich zdaniem UE odegrała ogólnie dobrą czy złą rolę w czterech kryzysowych sytuacjach. Stosunek odpowiedzi pozytywnych do negatywnych wyglądał następująco: COVID – 31 do 35 (reszta to odpowiedzi „nie wiem" lub „nie mam zdania"); wojna na Ukrainie – 29 do 37; kryzys finansowy w UE – 20 do 41; wojna w Strefie Gazy – 10 do 35.

W drugim sondażu zapytano: „Czy twoim zdaniem UE ogólnie wykonała dobrą czy złą robotę, zajmując się następującymi sprawami?". Wymieniono pięć zagadnień, a relacja wskazań pozytywnych do negatywnych była następująca: COVID – 50 do 41; inwazja Rosji na Ukrainę – 38 do 49; zmiany klimatyczne – 25 do 61; globalne problemy ekonomiczne – 24 do 61; imigracja – 17 do 71.

Bardzo interesująca była odpowiedź na pytanie zadane w kolejnym sondażu. Respondentom dano wybór – co wolą: redukcję emisji CO_2 kosztem wyższych rachunków za energię czy niższe rachunki za energię kosztem niespełnienia celów redukcji emisji. Za pierwszym wariantem średnio w badanych krajach opowiedziało się tylko 25 proc., 18 proc. wskazało odpowiedź „ani to, ani to", a aż 41 proc. wybrało niższe rachunki. Redukcja CO_2 jako priorytet wygrała niewielkim stosunkiem odpowiedzi tylko w dwóch krajach: Szwecji (37 do 32 proc.) i Portugalii (31 do 26 proc., tu najpewniej ze względu na łagodny klimat). W Polsce stosunek odpowiedzi wynosił 20 do 48 proc., w Niemczech – 21 do 50 proc., a w Grecji – 18 do 49 proc. Zatem w zdecydowanej większości państw UE obywatele nie godzą się na to, żeby w imię realizacji celów klimatycznych obciążać ich większymi cenami energii.

GRA NA POLARYZACJĘ

Krastev i Leonard dochodzą zatem do wniosku, że próba obrony rzekomych osiągnięć UE w wymienionych sferach tylko skupi na nich uwagę wyborców, zwiększając poparcie dla strony nazywanej przez nich eurosceptyczną. Szczególnie – to ważne w kontekście naszego tematu – podkreślają, że należy unikać koncentrowania się na Ukrainie, bo tutaj nastroje są wyjątkowo niekorzystne.

Zamiast tego zalecają inną strategię, zawartą w czterech punktach. Po pierwsze – z wyborów do PE należy zrobić plebiscyt za Unią Europejską lub przeciw niej w ogóle, czyli grać na maksymalną polaryzację. Po drugie – trzeba mobilizować wyborców prounijnych, którzy zawsze głosowali chętniej i liczniej niż ich przeciwnicy (unikanie wyżej wspomnianych tematów ma pomóc w demobilizacji drugiej strony). Po trzecie – należy skupić się na innych zagadnieniach niż wyżej wskazane. Jako przykład podane są sprawy dotyczące kobiet. Po czwarte – nie wolno robić z Ukrainy jednego z głównych tematów wyborów. Zamiast tego należy przedstawiać nową geopolityczną wizję UE jako przeciwwagi dla USA pod przywództwem Donalda Trumpa.

Tak rysuje się krajobraz polityczny dwa miesiące przed wyborami. Wtedy właśnie działania podejmują czeskie służby. I trzeba dostrzec czeski kontekst polityczny. Rząd Petra Fiali, zbudowany na jednym negatywnym spoiwie – „jesteśmy przeciwko Andrejowi Babišowi" – notuje dramatycznie niskie wskaźniki poparcia, a sam premier Fiala – wręcz katastrofalne, na poziomie ledwo kilku procent. Jest to jednocześnie jeden z najradykalniej proukraińskich gabinetów w UE. Urzędujący od nieco ponad roku prezydent Petr Pavel ma podobne poglądy. Przez czeskich konserwatystów jest uznawany za medialną kreację środowisk proamerykańskich, człowieka bez własnego programu.

CZESKI SPOSÓB

Czesi uderzyli w portal Voice of Europe. Według czeskich mediów za operacją mieli stać Wiktor Medwedczuk, powiązany z Kremlem ukraiński oligarcha, oraz Artem Marczewski, związany z Medwedczukiem menedżer medialny. Powielające rosyjską narrację media i politycy – jak twierdzą dziennikarze gazet „Deník N" w Czechach i „Der Spiegel" w Niemczech – miały być zasilane setkami tysięcy euro. I takie „ustalenia" są bez śladu krytycyzmu oraz wkładu własnego powielane przez kolejne media, w tym polskie. W istocie jednak sprawa jest więcej niż niejasna.

Voice of Europe – dzisiaj już niedostępny na YouTube – przeprowadzał wywiady i debaty, których tematyka nie wykraczała poza poglądy, mające pełną rację bytu w normalnej debacie, obecne od dawna na łamach takich pism jak amerykańskie „Foreign Affairs" lub „Financial Times" czy w raportach takich prestiżowych organizacji jak Carnegie Endowment for International Peace albo Council on Foreign Relations. Politycy, w tym głównie eurodeputowani, wyrażali w rozmowach z Voice od Europe swój sceptycyzm wobec koncepcji Zielonego Ładu, dalszej integracji europejskiej albo strategii przeciągania wojny na Ukrainie. Można się oczywiście z takimi poglądami nie zgadzać, ale uznawanie ich za „pro-

Czesi uderzyli w portal Voice of Europe. Według czeskich mediów za operacją mieli stać Wiktor Medwedczuk, powiązany z Kremlem ukraiński oligarcha, oraz Artem Marczewski, związany z Medwedczukiem menedżer medialny

eprasa.pl 69da641fd5

pagandę Kremla" to oczywisty absurd i próba cenzurowania dyskusji. Być może faktycznie za portalem stały rosyjskie pieniądze – nie wiemy tego, a czeskie służby nie podają żadnego konkretu – ale nie wyróżniał się on szczególnie agresywnym tonem na tle całości dyskusji, dotyczącej strategii UE albo tej, jaką Zachód przyjął wobec Ukrainy.

Jednoznacznie głównonurtowe „Politico" informuje, że w wywiadach na kanale pojawiło się 16 eurodeputowanych, którzy mieli wygłaszać tak „skandaliczne" poglądy jak: „Niektóre kraje chcą po prostu zniszczenia Rosji, co jest przede wszystkim niemożliwe oraz nie leży w interesie naszych krajów" (Thierry Mariani z francuskiego Zjednoczenia Narodowego), „Dołączenie Ukrainy do UE to tylko propaganda" (Hervé Juvin z tego samego ugrupowania) czy pochwała pokoju (Miroslav Radačovský, eurodeputowany ze Słowacji, niezrzeszony). Radačovský w rozmowie z Politico odpowiedział na zarzuty „współpracy" z Voice of Europe w rozsądny i oczywisty sposób: „Moim zadaniem jako polityka jest odpowiadać na pytania, a nie pytać, kto je zadaje".

Czy jednak Czechom można w ogóle wierzyć? Skąd pochodziły uzyskane przez czeskie służby informacje? Czy do czeskiego kontrwywiadu BIS (Bezpečnostní Informační Služba) nie trafiły po prostu gotowce z innego kraju? Z którego? Z Ukrainy? Z USA?

Można zadać poważne pytanie o jakość tych informacji. Spójrzmy na przykład jednego z zaatakowanych polityków – Petra Bystrona z niemieckiej Alternative für Deutschland, kandydata w nadchodzących wyborach do PE. BIS twierdzi, że Bystron brał wprost pieniądze od Rosjan, i oznajmia, że jest w posiadaniu nagrania, które ma taką sytuację dokumentować. Jak jednak relacjonowała czeska prasa, przedstawiciel kontrwywiadu nie przedstawił członkom gabinetu Petra Fiali wspomnianego nagrania, a w dodatku stwierdził, że jest to tylko… plik audio. W dobie sztucznej inteligencji, potrafiącej spreparować bez trudu nawet nagranie wideo, twierdzenie, że jakieś nagranie dźwiękowe, w dodatku nieujawnione, ma być niepodważalnym dowodem w takiej sprawie, jest zwyczajnie niepoważne.

Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego zatrzymała w związku z Voice of Europe polskich obywateli. Rzecznik ministra koordynatora do spraw służb specjalnych Jacek Dobrzyński mówił o domniemanej rosyjskiej siatce

Temat Bystrona błyskawicznie podchwyciły proukraińskie media także w Polsce. Proukraiński profil „Czarne Niebo" napisał na portalu X: „Czeski kontrwywiad wszedł w posiadanie nagrania niemieckiego członka Bundestagu z AfD Petra Bystrona, gdy odbierał pieniądze za szpiegostwo na rzecz Rosji". Nie wspomniał ani o opisanych wyżej okolicznościach, ani o tym, że Bystron stanowczo zaprzecza oskarżeniom.

Podobne sugestie przyjmowania pieniędzy Czesi wysunęli pod adresem polityków holenderskich, nie podając jednak żadnego konkretu. Nie zrobili tego również wtedy, gdy w holenderskim parlamencie zaczęli się tego domagać m.in. politycy Partii Wolności Geerta Wildersa oraz Forum na rzecz Demokracji.

O przyjmowanie pieniędzy oskarżony został również włoski eurodeputowany Matteo Gazzini – choć nie wiadomo, na jakiej konkretnie podstawie. Gazzini, który niedawno przeszedł z grupy I&D do EPP, uczestniczył jakiś czas temu w konferencji, zorganizowanej przez Voice of Europe, podczas której miał wygłosić „kontrowersyjny" pogląd, że UE nie powinna się koncentrować na pokonaniu Rosji, lecz na znalezieniu drogi do pokoju na Ukrainie. Gazzini również zaprzecza oskarżeniom.

Narracja czeskich służb została natychmiast ochoczo podchwycona przez polityków głównego nurtu. Poważne zaniepokojenie wyraziła czeska komisarz do spraw praworządności Věra Jourová, dodając, że nie można pozwolić Rosji, aby wpływała na wynik wyborów do PE. Premier Belgii Alexander De Croo oznajmił, że Rosjanie przekupywali członków PE – nie przedstawiając żadnych konkretów, dowodów ani nazwisk. Niemiecka minister spraw wewnętrznych, socjaldemokratka Nancy Feaser, oznajmiła: „Ważne, żeby ta rosyjska siatka wpływów została odkryta przed wyborami do PE". Gorzką ironią jest, że mówi to przedstawicielka partii, która nie była w stanie wyrzucić ze swoich szeregów Gerharda Schrödera, oficjalnego rosyjskiego lobbysty.

POLSKI WĄTEK

Sprawa ma polski wątek. Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego zatrzymała w związku z Voice of Europe polskich obywateli. Rzecznik ministra koordynatora do spraw służb specjalnych Jacek Dobrzyński mówił o domniemanej rosyjskiej siatce następująco: „Dążąc do realizacji celów, uruchomiono m.in. portal internetowy o zasięgu międzynarodowym Voice of Europe, na którym publikowane są artykuły, oświadczenia, komentarze czy wywiady o tendencyjnym, prorosyjskim wydźwięku, związane z obecną sytuacją międzynarodową, w tym z wojną prowadzoną przez Rosję przeciwko Ukrainie […]. Działania ABW są także efektem zakończonego 19 stycznia br. aktem oskarżenia śledztwa, w którego ramach zgromadzono materiał dowodowy przeciwko obywatelowi RP podejrzanemu o szpiegostwo na rzecz rosyjskich służb specjalnych. Mężczyzna, uplasowany w środowisku polskich i europejskich parlamentarzystów, wykonywał zadania zlecone i finansowane przez współpracowników rosyjskiego wywiadu, które obejmowały m.in. działania propagandowe, dezinformacyjne oraz prowokacje polityczne. Ich celem było budowanie rosyjskich stref wpływu w Europie".

ABW zaś w swoim komunikacie stwierdzała, że celem rzekomej siatki miała być realizacja „założeń polityki zagranicznej Kremla, w tym osłabienie pozycji RP na arenie międzynarodowej, dyskredytacja Ukrainy oraz wizerunku organów Unii Europejskiej".

Warto te słowa przeanalizować. Wynika z nich bowiem, że aby stać się obiektem podejrzeń służb, wystarczy prezentować linię jednoznacznie przeciwną jedynie słusznej, skrajnie

eprasa.pl 69da641fd5

proukraińskiej. Absurdalnie brzmi zarzut o „tendencyjność". W mediach „tendencyjność" to po prostu określona linia redakcyjna. Może w takim razie ABW powinna zacząć się przyglądać mediom takim jak „Gazeta Wyborcza" czy OKO.press, które są tendencyjnie proukraińskie? Może trzeba sprawdzić, czy nie trafiają tam pieniądze z Kijowa?

Jeszcze bardziej uderzający jest komunikat ABW, który jako uzasadnienie działań podaje „dyskredytację Ukrainy" i „wizerunku organów UE". Czy w takim razie powinniśmy uznać, że oskarżenie może nas spotkać za pisanie o wszechobecnej na Ukrainie korupcji albo okradających własny kraj oligarchach? Czy może do aresztu i przed sąd możemy teraz trafić za wspomnienie o tym, że europejska prokuratura prowadzi postępowanie w sprawie domniemanych nieprawidłowości przy podejmowaniu przez panią Ursulę von der Leyen decyzji w sprawie zakupu szczepionek Pfizera?

W ciągu najbliższych dwóch miesięcy wyborcom ma się wbić w głowy automatyczne skojarzenie: kwestionujesz którykolwiek z elementów narracji głównego nurtu – jesteś agentem Putina

ZŁE PRAWO I ZŁE SKUTKI

Na ironię zakrawa to, że oskarżenie zostało zbudowane najpewniej na podstawie art. 130 par. 9 Kodeksu karnego, który zaprojektowała i uchwaliła Zjednoczona Prawica. Mówi on: „Kto, biorąc udział w działalności obcego wywiadu albo działając na jego rzecz, prowadzi dezinformację, polegającą na rozpowszechnianiu nieprawdziwych lub wprowadzających w błąd informacji, mając na celu wywołanie poważnych zakłóceń w ustroju lub gospodarce Rzeczypospolitej Polskiej, państwa sojuszniczego lub organizacji międzynarodowej, której członkiem jest Rzeczpospolita Polska, albo skłonienie organu władzy publicznej Rzeczypospolitej Polskiej, państwa sojuszniczego lub organizacji międzynarodowej, której członkiem jest Rzeczpospolita Polska, do podjęcia lub zaniechania określonych czynności, podlega karze pozbawienia wolności na czas nie krótszy od lat 8". Gdy powstawał projekt tej nowelizacji, zwanej „ustawą szpiegowską", przestrzegałem, że będzie on mógł posłużyć w przyszłości do uderzenia w niewygodnych polityków albo media, bo zawarte tam przesłanki są skrajnie ogólne. I nie zmienia tu niczego to, że muszą zachodzić łącznie z braniem udziału lub działaniem na rzecz obcego wywiadu. W aktualnym komentarzu do kodeksu karnego autorstwa Marka Mozgawy czytamy, że „informacja wprowadzająca w błąd może być obiektywnie zgodna z prawdą, ale umieszczona w kontekście lub podana w sposób sugerujący odbiorcy wyciągnięcie wniosków niezgodnych z rzeczywistością". Tego typu zarzut można postawić większości mediów w Polsce, zwłaszcza że przepis jest skrajnie nieostry. Cóż to bowiem znaczy „sposób sugerujący odbiorcy wyciągnięcie wniosków niezgodnych z rzeczywistością"?

Czytając materiały niezwykle pobudzonych tropicieli „ruskich onuc", takich jak Anna Mierzyńska z OKO.press, można dojść do wniosku, że oskarżenia o współpracę z Kremlem można uniknąć, jedynie zgadzając się całkowicie ze wszystkimi narracjami głównego nurtu. Trzeba było akceptować zamordystyczną politykę covidową, nie kwestionować zasadności wmuszania obywatelom szczepionek, wspierać maksymalne zaangażowanie po stronie Ukrainy, nie wspominać o zakończeniu wojny ani o problemach z imigracją w krajach UE czy nawet nie kwestionować strategii integracji, narzucanej przez główny europejski nurt. Nie wiem, czy w takim razie pani Mierzyńska nie powinna zacząć się przyglądać Koalicji Obywatelskiej, skoro jej europosłowie zagłosowali gremialnie przeciwko paktowi migracyjnemu.

Jak nietrudno było przewidzieć, na celowniku znalazł się także nasz tygodnik. Pani Mierzyńska napisała na ten temat tekst, oparty na metodzie rozumowania Tomasza Piątka, w której wszystko łączy się ze wszystkim i na dowiedzenie współdziałania z Rosją nie potrzeba żadnych twardych dowodów. Mierzyńska przytacza jakieś niesprecyzowane i nie wiadomo, na czym oparte, ustalenia dziennikarzy z wrogiego Viktorowi Orbánowi portalu HVG oraz ze wspomnianej już czeskiej gazety „Deník N", według których rosyjskie pieniądze miały zasilać węgierski portal Visegrad Post. „Do Rzeczy" było partnerem portalu w Polsce, a poza tym „tygodnik »Do Rzeczy« od wybuchu wojny jest oskarżany o szerzenie rosyjskiej propagandy nawet przez polską prawicę. Zaś jego redaktor naczelny Paweł Lisicki od lat jest wspierany przez Instytut Ordo Iuris". I proszę, wszystko się spina. Szczególnie powalającym argumentem jest tutaj „bycie oskarżanym o szerzenie rosyjskiej propagandy". Okazuje się, że dowodem na współpracę z Kremlem, zdaniem pani Mierzyńskiej, jest to, iż środowiska skrajnych ukrainofilów wysuną wobec kogoś oskarżenia o szerzenie „rosyjskiej propagandy".

Nietrudno – mając przed oczami całość obrazu – zrozumieć, jaki jest cel tej operacji. W ciągu najbliższych dwóch miesięcy wyborcom ma się wbić w głowy automatyczne skojarzenie: kwestionujesz którykolwiek z elementów narracji głównego nurtu – jesteś agentem Putina. Mieliśmy z tym już wcześniej do czynienia, nawet przed wybuchem wojny na Ukrainie, w kontekście sporów o strategię pandemiczną. Teraz jednak stawka dla establishmentu jest inna – to utrzymanie wyraźnej przewagi w PE. Stosowane środki także są poważniejsze. To już nie sugestie, ale użycie służb, zatrzymania, aresztowania i bardzo poważne oskarżenia.

Czy to wszystko oznacza, że Rosjanie nikomu nie płacili i nie próbują rozgrywać sceny politycznej w Europie? Bynajmniej. Tyle że kontekst obecnych oskarżeń, ich jakość i natura każą je traktować z najwyższą podejrzliwością i sceptycyzmem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 69da641fd5

Przyklejanie łatek

Zuzanna Dąbrowska

Tajemnicze powiązania, Kreml, katolicki fundamentalizm – Klementyna Suchanow kontynuuje krucjatę przeciw Instytutowi Ordo Iuris

Antyaborcyjna międzynarodówka pod kuratelą Kremla. Ujawniamy e-maile grupy, w której działa Ordo Iuris" – tekst pod tak brzmiącym tytułem opublikował w marcu portal Onet. Równocześnie seria podobnych artykułów, poświęconych innym organizacjom konserwatywnym i pro-life znajdującym się na liście mailingowej Agenda Europe, ukazała się w mediach zagranicznych.

Zawarte w tekście Suchanow tezy to efekt współpracy kilku europejskich serwisów. Poza Onetem były to szwedzki Dagens ETC, holenderski De Groene Amsterdammer, chorwackie Novosti oraz openDemocracy z Wielkiej Brytanii. Ten ostatni był finansowany przez fundację Open Society George'a Sorosa. Jak wynika z wykazu donatorów za rok 2022, brytyjski kolektyw dziennikarski uzyskał 1 mln 255 tys. dol. na cele takie jak m.in. „ujawnianie zagrożeń dla zdrowia i praw seksualnych i reprodukcyjnych oraz równości płci"; „wsparcie śledztw na temat prania pieniędzy i korupcji w Wielkiej Brytanii" oraz „wsparcie materiałów na temat praw człowieka, pracy oraz kwestii gospodarczych i społecznych w przestrzeni poradzieckiej".

CHRZEŚCIJAŃSKIE WARTOŚCI

Tytułowa „antyaborcyjna międzynarodówka" to założona w 2013 r. sieć kontaktowo-informacyjna, obejmująca organizacje antyaborcyjne z całego świata. Obok aborcji zaangażowani w Agenda Europe sprzeciwiali się sankcjonowaniu „małżeństw jednopłciowych", a także afirmowaniu osób określanych jako transpłciowe. Te kwestie jednak znajdowały się na drugim planie. AE została zainicjowana po spotkaniu w Londynie, w którym brali udział liderzy antyaborcyjni z Ameryki Północnej oraz Europy. Za cel mieli sobie postawić utworzenie europejskiego think tanku promującego chrześcijańskie wartości.

Na początku funkcjonowania Agenda Europe Peadar O'Scolai z irlandzkiej organizacji Family & Life miała poprosić uczestników o określenie „realnych do osiągnięcia celów ruchu pro-life", a australijska działaczka konserwatywna Gudrun Kugler miała podkreślać konieczność „rozwoju ogólnoeuropejskiego zespołu mającego na celu promowanie wartości chrześcijańskich", zauważając, że „w Europie nie ma środowiska eksperckiego, które analizowałoby aktualne trendy, opracowywało na nie odpowiedzi, argumenty, alternatywy i definicje". Wskazała, że „realizację tak złożonych zagadnień pozostawia się organizacjom pozarządowym lub ustawodawcom", co pozbawia głosu wciąż stanowiącą w wielu krajach większość (często milczącą) chrześcijan.

Media lewicowo-liberalne zainteresowały się AE w 2017 r., gdy w efekcie ataku hakerskiego na hiszpańską organizację pozarządową HazteOir wyciekły dokumenty. Hakerzy upublicznili je w ramach WikiLeaks. W dokumentach tych znalazły się szczegóły dotyczące wspomnianego spotkania założycielskiego z 2013 r., lista ekspertów do spraw portali społecznościowych, z którymi grupa zamierzała współpracować w Internecie, oraz manifest zatytułowany „Przywrócenie porządku naturalnego: program dla Europy". To ściągnęło krytyczną uwagę dziennikarzy, na których hasła takie jak „porządek naturalny", „tradycyjna rodzina" czy „chrześcijańskie wartości" działają niczym płachta na byka. Jeżeli coś jest tradycyjne, to musi być fundamentalistyczne, a to prowadzi wprost na Kreml, nie ma innej możliwości. Mentalność „dziennikarzy zaangażowanych", takich jak Klementyna Suchanow, nie dopuszcza myśli o tym, że nie każdy, kto nie zgadza się na destrukcję cywilizacji chrześcijańskiej, jest „agentem Moskwy".

Stąd „demaskatorski" tekst na temat Instytutu Ordo Iuris działaczka Ogólnopolskiego Strajku Kobiet rozpoczyna od mocnego uderzenia. „Poznaliśmy e-maile grup antyaborcyjnych współpracujących z Rosją i wiemy, co mówili o strajkach kobiet. Wśród nich bardzo aktywna jest skrajnie konserwatywna lobbystyczna organizacja Ordo Iuris z Polski, a ściślej mówiąc, jej ówczesny prezes Aleksander Stępkowski, dziś sędzia Sądu Najwyższego, i obecny prezes Jerzy Kwaśniewski" – czytamy.

DEDUKCJE ZIDEOLOGIZOWANEJ AKTYWISTKI

Suchanow przekonuje, że AE od początku była narzędziem w rękach Kremla, a dokładniej Władimira Jakunina – oficera KGB, dawnego znajomego Władimira Putina – oraz polityka i przedsiębiorcy Konstanti-

eprasa.pl 69da641fd5

na Małofiejewa, który został objęty europejskimi sankcjami za finansowe wspieranie separatystów w Donbasie. Dziennikarze mieli dotrzeć do e-maili wymienianych w ramach grupy, która konsultowała refleksje i kierunki działań służące rzekomo realizacji celów Kremla. Suchanow pisze o „prawdopodobnych założycielach Agenda Europe". Wyliczając nazwiska, wymienia także Aleksandra Stępkowskiego – współtwórcę i byłego prezesa Instytutu Ordo Iuris (kierował nim w latach 2013–2017 z roczną przerwą), obecnie sędziego Sądu Najwyższego i jednocześnie jego rzecznika. Co znamienne, na koniec owej listy „czarnych charakterów" aktywistka dodaje krótką adnotację, wskazując, że jest to jedynie jej „dedukcja na podstawie różnych materiałów".

Trzeba więc pamiętać, że czytając tekst, opieramy się na dedukcji skrajnie zideologizowanej aktywistki, niekryjącej swoich radykalnych, lewackich poglądów. – Przyjechałam z kraju, w którym w tym momencie nie ma dostępu do aborcji. Aborcja w Polsce jest prawie niemożliwa, a kobiety są prześladowane. Co więcej, nasz rząd myśli o zakazie aborcji dla Polek także za granicą – mówiła podczas poświęconego równości płci forum ONZ zorganizowanego w Paryżu w 2021 r.

Klementyna Suchanow kreśliła wizję Polski jako policyjnej dyktatury. – Tacy ludzie jak ja – jestem aktywistką i pisarką – są obserwowani i namierzani przez policję. Sama miałam z tego powodu operację kręgosłupa. Tracimy pracę, mamy wizyty służb specjalnych. Nasze dzieci są zagrożone – alarmowała.

Autorka książki „To jest wojna: kobiety, fundamentaliści i nowe średniowiecze" nie tylko podkreślała konieczność wprowadzenia w Polsce aborcji niemalże bez ograniczeń, lecz także rozsiewała na paryskim forum swoje teorie na temat „fundamentalistów". – Poza rządami działa sieć dziwnych, pseudoreligijnych organizacji. Nazwijmy je fundamentalistami. Są zjednoczone na całym świecie. Próbują wpływać na politykę naszych krajów. Prawa kobiet nie są ich jedynym celem. Ich głównym zamierzeniem jest ustanawianie nowych, autorytarnych demokracji. Próbują ustawić hierarchię na wzór średniowiecza – grzmiała Suchanow.

onet WIADOMOŚCI

WOJNA W UKRAINIE | KRAJ | ŚWIAT | PREMIUM | TYLKO W ONECIE | HISTORIA | POGODA

Antyaborcyjna międzynarodówka pod kuratelą Kremla. Ujawniamy e-maile grupy, w której działa Ordo Iuris

KLEMENTYNA SUCHANOW

Poznaliśmy e-maile grup antyaborcyjnych współpracujących z Rosją i wiemy, co mówili o strajkach kobiet. Wśród nich bardzo aktywna jest skrajnie konserwatywna lobbystyczna organizacja Ordo Iuris z Polski, a ściślej mówiąc, jej założyciel prezes Aleksander Stępkowski, dziś sędzia Sądu Najwyższego i obecny prezes Jerzy Kwaśniewski.

Jerzy Kwaśniewski, Konstantin Małofiejew i Siergiej Łaurow

Wcześniej, w roku 2018, aktywistka została zatrzymana przez policję po tym, jak w trakcie proaborcyjnego protestu przed Sejmem próbowała napisać na budynku: „Czas na sąd ostateczny. Wyp……..!". Pytana w jednym z wywiadów, czy nie jest to hasło zbyt ostre, odparła: „Skoro są katolikami, to niech spier…... na sąd ostateczny! Już najwyższy czas".

Suchanow chętnie łączy kropki tak, aby potwierdzały jej teorie. Dla części mediów szybko stała się ekspertką do spraw rosyjskich wpływów w Polsce.

„Rosja ma Polskę rozpracowaną od kilku wieków i dobrze wie, co u nas działa, a co nie działa. Niech sobie Polacy będą rusofobami, to wjedziemy tam inaczej. I wjechali nam z Maryją" – stwierdziła. Według aktywistki dyskusja o aborcji to wprost wojna. „Przez pole praw człowieka, a w szczególności przez tę część, która dotyczy praw kobiet, przebiega linia frontu wojny ideologicznej, o której mówimy. W październiku 2016 r. Polki wyszły protestować przeciw karygodnej ustawie. To był spontaniczny, podszyty strachem o życie własne i naszych córek odpór dla szalonych zapędów. Potem dopiero się okazało, że było to coś więcej niż tylko protest, że tak naprawdę Polki, wychodząc na

Klementyna Suchanow chętnie łączy kropki tak, aby potwierdzały jej teorie. Dla części mediów szybko stała się ekspertką do spraw rosyjskich wpływów w Polsce

eprasa.pl 69da641fd5

ulice, wyszły na jeden z frontów toczącej się wielkiej wojny" – mówiła w 2020 r., jeszcze przed wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego, usuwającym z przepisów tzw. przesłankę eugeniczną.

Warto pamiętać, że Rosja nie jest ostoją tego, co jako konserwatyzm uznajemy my nad Wisłą. „Konserwatyzm polski i rosyjski różnią się diametralnie – rosyjski konserwatyzm jest kolektywistyczny (a nie indywidualistyczny, jak w Polsce), w Rosji nawet konserwatyści boją się mówić otwarcie o obronie życia poczętego, bo aborcja jest tam niemal wpisana w mentalność" – pisał na portalu DoRzeczy.pl publicysta i rusycysta Maciej Pieczyński. Aborcji w Rosji można dokonywać bez ograniczeń do 12. tygodnia ciąży (w przypadku zagrożenia życia matki, gwałtu, śmierci męża w czasie ciąży i uwięzienia aborcję można uzyskać do 22. tygodnia). Agresja na Ukrainę tylko podsyciła proaborcyjny trend – w 2022 r. Rosjanki zakupiły o 60 proc. więcej środków do aborcji farmakologicznej niż rok wcześniej.

KOMU ZAGRAŻA ORDO IURIS?

Warto zadać pytanie, czy osoba o tak jasno określonych poglądach jak Klementyna Suchanow jest w stanie w sposób obiektywny, niezaciemniony własnymi zapatrywaniami (a tego należy od niej wymagać, skoro występuje w roli dziennikarza śledczego) opisywać działanie organizacji, której cele są przeciwne do jej własnych?

– Instytut Ordo Iuris, jako nowa jakość na polskiej i europejskiej scenie, wnoszący połączenie skuteczności, profesjonalizmu i sprawnej budowy niezależnego finansowania dzięki tysiącom przyjaciół i darczyńców, został wytypowany na symbol wszystkiego, co groźne dla radykalnej rewolucji społecznej i politycznej – przekonuje w rozmowie z „Do Rzeczy" prezes Instytutu, mec. Jerzy Kwaśniewski. Odnosząc się do tekstu o Agenda Europe, Kwaśniewski podkreśla, że tak naprawdę była to „zwykła lista mailingowa". – Niezwykle przydatne narzędzie parę lat temu. Jako jedyna wytropiona platforma komunikacji środowisk konserwatywnych urosła w tekstach lewicowych aktywistów do rangi tajemniczego zakonu. Tymczasem gdy jeszcze odbywały się sporadyczne spotkania AE, miały one charakter otwarty, a na spotkanie w Warszawie w 2016 r. zapisał się nawet Bart Staszewski [działacz środowiska LGBT – przyp. red.] – zwraca uwagę prezes Ordo Iuris. Mecenas Jerzy Kwaśniewski podkreśla, że Ordo Iuris nie mogło należeć do Agenda Europe, ponieważ „trudno uznawać za członkostwo bycie na liście mailingowej". – Nie istniało coś takiego jak „członkostwo" w AE – dodaje.

Ordo Iuris nie mogło należeć do Agenda Europe, ponieważ trudno uznawać za członkostwo bycie na liście mailingowej. W dodatku, jak zaznacza mec. Jerzy Kwaśniewski: – Nie było czegoś takiego, jak „członkostwo" w AE

Onet przekonuje, że „forum AE służy do wybielania działań rosyjskiego rządu i szerzenia rosyjskiego »punktu widzenia«". Według Suchanow wiele emocji wśród zapisanych na listę Agenda Europe wzbudził obywatelski projekt ustawy „Stop aborcji". Zakładał on usunięcie z przepisów możliwości dokonywania aborcji ze względu na wrodzoną wadę genetyczną dziecka nienarodzonego. Prawo do życia takich dzieci potwierdził wyrokiem z października 2020 r. Trybunał Konstytucyjny, co miało spotkać się z dużym entuzjazmem członków forum AE.

Klementyna Suchanow twierdzi, że Aleksander Stępkowski jako prezes Ordo Iuris w 2015 r. „razem z człowiekiem Małofiejewa Pawłem Parfientiewem planował wspólną pracę nad wypracowywaniem w ONZ zapisów dotyczących dostępu do edukacji seksualnej i praw reprodukcyjnych". Administratorka grupy Gudrun Kugler pytana przez dziennikarzy o związki z Rosją odpowiada: „Jestem zszokowana, słysząc, że Rosjanie nas wykorzystali". Dodała jednocześnie, że nie sądzi, aby „próby Rosjan wpływania na nas w Google Groups były udane". Stwierdziła także, że Rosjanie „nigdy nie odgrywali kluczowej roli w naszej grupie i raczej szybko zniknęli".

Suchanow ostrzega, że „fundamentalistyczna agenda przeniknęła do mainstreamu i jest realizowana przez AfD w Niemczech czy Vox w Hiszpanii, które coraz mocniej próbują osadzić się w polityce swoich krajów, a także wejść do Parlamentu Europejskiego". Następnie gładko łączy Rosję z Węgrami i PiS. „W całej tej operacji dużą rolę odegrały najpierw Węgry, a potem głównie Polska – przede wszystkim przy pomocy Ordo Iuris – stając się przy PiS forpocztą światowych zmian legislacyjnych zgodnych z Agendą Europe. I z geopolitycznymi celami Rosji" – przekonuje. Jakie, rzekomo zgodne z interesami Kremla, cele chce osiągnąć Agenda Europe? Tego nie wiadomo.

Jerzy Kwaśniewski zaznacza, że Klementyna Suchanow została „pozwana za serię kłamstw na temat Ordo Iuris, promowanych w jej artykułach, książkach, wywiadach". – To pula kilkunastu wyssanych z palca i nielogicznie powiązanych rzekomych „dowodów", które w najróżniejszych konfiguracjach Suchanow od lat publikuje niezmiennie pod hasłem „nowe odkrycia na temat Ordo Iuris". Z pewnością te manipulacje są dla nas szkodliwe i wymagają poświęcenia im cennego czasu, który powinien być oddany sprawom ważniejszym. Proces niestety trwa już długo, a jego końca na razie nie widać – mówi „Do Rzeczy".

Prezes Ordo Iuris dostrzega koincydencję czasową – ataki ze strony przyklejających łatki „ruskich agentów" nasiliły się po zmianie władzy w Polsce. – Wobec odcięcia publicznego finansowania dla niemal wszystkich organizacji konserwatywnych nasza niezależność spowodowała skupienie wokół Ordo Iuris wielu środowisk, które dotąd pracowały samodzielnie. Dzisiaj potrzebują do przetrwania naszego wsparcia, wnosząc w zamian ekspercką wiedzę i umiejętności niezbędne do ochrony Polaków przed chaosem bezprawia i ideologicznego ucisku ze strony rządu Donalda Tuska – przekonuje Kwaśniewski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 69da641fd5

Wieczór wyborczy w sztabie PiS FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Jagodno zostało w domu

Piotr Semka

Kolejne dni po wyborach pokazały, że o żadnym sprowadzaniu partii Kaczyńskiego do stanu z 2014 r. nie ma mowy. PiS nabrał wiatru w żagle przed eurowyborami

Pogłoski o naszej śmierci były przesadzone" – parafraza znanej sentencji Marka Twaina wygłoszona przez Jarosława Kaczyńskiego w wieczór wyborczy w sztabie PiS dobrze oddawała nastrój czołówki partii Jarosława Kaczyńskiego, której działacze aż do samego dnia wyborów mieli duszę na ramieniu.

PiS nie był pewien, czy trwające od pół roku spychanie go do narożnika przez ekipę Donalda Tuska nie spowoduje jakiegoś tąpnięcia poparcia. Główna dzisiaj partia opozycyjna w Polsce nie była też pewna, czy pobudzona protestami wieś nie ma jakichś pretensji do PiS za zbyt niemrawą obronę przed zalewem ukraińskich płodów rolnych. Ale najgorsze scenariusze się nie spełniły. PiS zajął pierwsze miejsce z wynikiem 34,27 proc. wobec 30,59 proc. Koalicji Obywatelskiej. To tylko minimalnie mniej niż wynik

eprasa.pl 69da641fd5

wyborów z 15 października, kiedy PiS zdobył 35,38 proc., a Platforma 30,7 proc.

„ZABIERZEMY IM PODKARPACIE"

Wcześniej politycy PO buńczucznie zapowiadali, że odbiją niemal wszystkie wojewódzkie sejmiki. W listopadzie 2023 r. „Gazeta Wyborcza" wieszczyła w tytule: „Bitwa o samorządy. Wielki sprawdzian dla polityków i pogrzeb PiS?". W tak zatytułowanym tekście cytowano prof. Jarosława Flisa, który wieszczył: „Wszystko wskazuje [...] na to, że PiS wróci do stanu posiadania z 2014 r., kiedy miał władzę tylko w jednym sejmiku [...], można zakładać, że PiS straci jeszcze więcej, a PSL pójdzie w górę". W styczniu 2024 r. Kamil Dziubka w Onecie zapowiadał: „Donald Tusk może zadać PiS potężny cios. »Zabierzemy im Podkarpacie«".

Kolejne dni po wyborach pokazały, że o żadnym sprowadzaniu partii Kaczyńskiego do stanu z 2014 r. nie ma mowy. PiS zwyciężył w siedmiu województwach, z czego w czterech na pewno uzyska większość, a w piątym do zdobycia władzy potrzeba przekonania tylko pojedynczego radnego z Konfederacji. W kwestii wyborów do rad powiatów PiS wygrał w 10 województwach na 16. Zmniejszył się też – w porównaniu z sejmowymi wyborami – rozziew między PiS i PO w najbardziej atrakcyjnej grupie najmłodszych wyborców w wieku od 18 do 29 lat. W tej grupie wiekowej Koalicja Obywatelska uzyskała 24,2 proc., ale wynik PiS nie był specjalnie gorszy – 21,6. PiS zachował też dominację w grupie rolników, gdzie według badań exit poll zdobył 57,3 proc. przy kolejnych miejscach 15,1 proc. dla Trzeciej Drogi i 9,6 proc. dla Koalicji Obywatelskiej. Tradycyjnie poza zasięgiem PiS była grupa 12 największych miast, ale w dwóch z nich – w Rzeszowie i Poznaniu – za dwa tygodnie dojdzie do dogrywki z udziałem kandydata PiS. W Rzeszowie dotychczasowy prezydent Konrad Fijołek zmierzy się z Waldemarem Szumnym z PiS. Tak samo będzie w Poznaniu, gdzie 21 kwietnia prezydent Jacek Jaśkowiak będzie walczył z kandydatem partii Kaczyńskiego Zbigniewem Czerwińskim. Sukces tego ostatniego polityka jest bardzo ciekawy. Czerwiński to weteran opozycji NZS z lat 1980–1981, który po 1989 r. dobrze dał sobie radę w biznesie. W Poznaniu tacy jak on przez długie lata byli blokowani przez uparte startowanie w wyborach na prezydenta stolicy Wielkopolski przez Tadeusza Dziubę, nudnego nominata Kaczyńskiego z zakonu PC. Tylko dlatego, że w tym roku szanse wyborcze wydawały się tak beznadziejne, że nikt z tutejszych tuzów nie chciał wystartować, otworzyła się szansa dla Czerwińskiego. A ten poradził sobie całkiem nieźle, choć oczywiście w drugiej turze faworytem pozostaje Jaśkowiak.

Do tego dochodzą drugie tury w sporej liczbie miast, m.in. w Bielsku-Białej, Częstochowie, Legnicy, Radomiu, Siedlcach. Oraz – co dla PiS jest wyjątkowo cenne – drugie tury w grupie miast górnośląskich: Jastrzębiu-Zdroju, Rudzie Śląskiej, Rybniku czy Tychach. Kolejny raz zwrócił na siebie uwagę szef lubelskich struktur PiS Przemysław Czarnek. Prowadzona przez niego kampania pozwoliła zdobyć z marszu większość w sejmiku województwa lubelskiego, i to w tak dynamicznym stylu, że w obozie Platformy już mówi się o dymisji szefa lubelskich struktur PO Stanisława Żmijana.

Bynajmniej nie życzliwy PiS Jakub Majmurek z Krytyki Politycznej tak ocenił wyniki PiS: „Co jednak najciekawsze, mimo kursu na ścianę, oderwanych od rzeczywistości tyrad prezesa partii czy braku propozycji dla regionów – PiS był w stanie zwiększyć poparcie w świętokrzyskim, lubelskim, a nawet podlaskim – choć w tym ostatnim stracił jeden, decydujący mandat. W lubelskim zyskał za to aż trzy […]. Jak widać, kurs na mobilizację twardego elektoratu i hermetyzację przekazu, choć kosztował PiS jeden sejmik, okazał się skuteczny w województwach stanowiących dziś bastiony partii. I to mimo że przekazu Nowogrodzkiej nie powtarzały codziennie, niemal całą dobę, publiczne radio i telewizja" [pisownia oryginalna].

DEMOBILIZACJA WIOSENNA

Dla Platformy największym szokiem był gwałtowny spadek frekwencji. 7 kwietnia do urn poszło 51,5 proc. Polaków, podczas gdy 15 października ubiegłego roku było ich aż 74,4 proc. A przecież liderzy Koalicji wzywali, by powtórzyć wielki zryw i dokończyć antypisowską rewolucję. Gdy w noc wyborczą Donald Tusk z uporem przekonywał, że w kwietniu powtórzył się 15 października, to nie brzmiało to specjalnie wiarygodnie. Nie powtórzył się fenomen wrocławskiej dzielnicy Jagodno, gdzie proplatformerscy wyborcy stali w długich kolejkach do późnych godzin nocnych.

Można zastanawiać się, co spowodowało tę demobilizację. Ekonomista Piotr Kuczyński stawia tezę, że w ten sposób nowa koalicja zapłaciła za podniesienie wpływów z podatku VAT na żywność. Równie dolegliwe dla propagandy Platformy mogło być wręcz demonstracyjne zlekceważenie obietnic spełnienia 100 postulatów na pierwsze 100 dni rządów Donalda Tuska. Liczni dyżurni publicystyczni obrońcy działań Platformy próbowali tłumaczyć, że demobilizacja była naturalna, bo „nie trzeba było PiS odbierać władzy".

Oczywiście nie jest tak, że Platforma nie miała powodu do satysfakcji. Pod wodzą PO Koalicja odebrała PiS władzę w województwach łódzkim i mazowieckim (dwa kolejne województwa – dolnośląskie i śląskie – Platforma odbiła już wcześniej). PO wciąż jest poza konkurencją w wielu ważnych metropoliach, mimo że poziom rządzenia tymi miastami, delikatnie mówiąc, nie zawsze rzuca na kolana. Paradoksalnie najbardziej efektowne zwycięstwo odniosła Hanna Zdanowska w Łodzi, zdobywając 59,3 proc. głosów. Fortecą nie do zdobycia dla przeciwników PO pozostaje oczywiście Gdańsk, gdzie Aleksandra Dulkiewicz zdobyła 57,95 proc. Równie łatwo zwycięstwo przyszło w Warszawie Rafałowi Trzaskowskiemu (57,4 proc.) czy w Białymstoku, gdzie Tadeusz Truskolaski otrzymał 53 proc. głosów. Powodów do narzekania nie mają też prezydenci wielkich miast, od lat żyjących w symbiozie z Platformą – Marcin Krupa w Katowicach (62,4 proc.), Piotr Krzystek w Szczecinie (60,4 proc.) czy Krzysztof Żuk w Lublinie (57,5 proc.).

Jednak są też symptomy nowej epoki, w której wielcy giganci rządzący metropolią muszą zmagać się z narastającym krytycyzmem. Z tego powodu coraz mocniej krytykowany Jacek Sutryk będzie we Wrocławiu walczył w drugiej turze z Izabelą Bodnar z Trzeciej Drogi. Tak samo w Krakowie Aleksandrowi Miszalskiemu z PO nie udało się już w pierwszej turze zastąpić emerytowanego Jacka Majchrowskiego. Miszalski będzie zmagał się z przedstawicielem lokalnego establishmentu, Łukaszem Gibałą.

eprasa.pl 69da641fd5

Platforma te częściowe kłopoty przyjmuje, jak to często już bywało, jeszcze wyrazistszym antypisizmem. Minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz używa wręcz mistycznego języka walki dobra ze złem: „Niech nikt nie ma złudzeń. To nie był jakiś zwykły rząd [chodzi o gabinet Morawieckiego – przyp. P.S.] i zwykła władza, np. nad spółkami Skarbu Państwa. To było zbiorowisko kanalii". W innym tweecie Sienkiewicz przestrzega z emfazą, że „walec nie dyskutuje z asfaltem, którędy ma jechać". Ten coraz bardziej zamordystyczny język udzielił się też Jarosławowi Makowskiemu z PO, który w neobolszewickiej manierze pisał w dniu wyborów: „Bez dobrej edukacji, bez wysokiej kultury, bez wiarygodnych mediów publicznych – a więc bez pracy nad polską duszą – pisizm znów będzie czaił się za każdym rogiem".

Wydaje się, że czołówka PiS naprawdę uwierzyła, że zmiana ekipy „Wiadomości" TVP spowoduje, iż miliony wyborców odkryją, że byli przez PiS oszukiwani. Wypowiedzi wielu polityków PO wskazują też, że ogromne nadzieje wiązano również z trzema działającymi równolegle sejmowymi komisjami śledczymi, które miały zerwać zasłonę z oczu „naiwnych" wyborców PiS. Tak się nie stało i – co więcej – urządzanie nalotów na mieszkania polityków z kręgu Zbigniewa Ziobry czy opowieści o zbrodniach Daniela Obajtka będą odgrywały coraz mniejszą rolę w decyzjach wyborców. Prokuratura ciągle jest na etapie zbierania dowodów, a czołowi śledczy komisji sejmowych nie wypadają specjalnie wiarygodnie.

KOALICJANCI CHWIEJĄ SIĘ NA NOGACH

O jakimś specjalnym sukcesie w wyborach samorządowych nie może mówić Trzecia Droga, czyli połączone siły Polski 2050 Szymona Hołowni i PSL. A przecież wszystko miało działać na rzecz korzyści takiego tandemu. PSL miało odbudowywać swoje wpływy na wsi, a ludzie Hołowni mieli zdobywać dla Trzeciej Drogi miasta. W tych właśnie wyborach mieli wreszcie po latach zabłysnąć kandydaci ruchów miejskich, z którymi wchodziła w wyborcze układy zarówno Trzecia Droga, jak i Lewica. Ale – jak się okazało – w walce z gospodarzami największych polskich metropolii Trzecia Droga zdołała przejść do drugiej tury tylko we Wrocławiu. PSL na wsi nie odbudował swej pozycji z lat 2007–2015. Kolejny raz wyszło na jaw, że ruch Hołowni nie ma zbyt wielu atrakcyjnych twarzy. W wyborach 15 października Trzecia Droga uzyskała 14,4 proc. W wyborach samorządowych żółto-zielona koalicja zdobyła tylko 14,25 proc.

onet WIADOMOŚCI

WOJNA W UKRAINIE | KRAJ | ŚWIAT | •••

WIADOMOŚCI | TYLKO W ONECIE

Donald Tusk może zadać PiS potężny cios. "Zabierzemy im nawet Podkarpacie"

KAMIL DZIUBKA | 24 stycznia 2024, 19:30

premium

Ale wynik Trzeciej Drogi to i tak całkiem solidne osiągnięcie na tle katastrofy Lewicy. Gdy w październiku w wyborach sejmowych ugrupowanie Włodzimierza Czarzastego uzyskało 8,61 proc., wszyscy mówili o klęsce. To co można powiedzieć teraz, gdy kandydaci Lewicy zdobyli zaufanie jedynie 6,32 proc. wyborców? Feministki – mocne lobby partii Lewicy – uwierzyły, że hasło aborcji na żądanie będzie gwarancją sukcesu. Anita Sowińska, wiceminister klimatu i środowiska, przemawiając na wyborczym wiecu w Radomiu 7 marca br., krzyczała: „Politycy próbują nam wmówić, że temat praw kobiet to nie jest temat na wybory samorządowe. Twierdzą, że można o aborcji porozmawiać później, ponieważ są ważniejsze sprawy, że trzeba budować drogi [...]. Nie, mamy dosyć! Jutro będzie futro".

Najbardziej znana kandydatka Lewicy Magdalena Biejat, walcząca o fotel prezydenta Warszawy, z chęcią podnosiła temat aborcji. Jej kampanię znamionował dość drastyczny plakat postępowej graficzki Oli Jasionowskiej, na którym Biejat przedstawiono z czerwonymi rękoma. Wielu konserwatystom ten plakat kojarzył się z jakąś perwersyjną pochwałą wsparcia Biejat dla aborcji na żądanie. Tyle że używanie karty aborcyjnej w ogóle nie wypaliło. Wicepremier Krzysztof Gawkowski, porażony porażką lewicy niechętnie przyznał już po wyborach: „Sprawy kobiet i aborcja nie mobilizują elektoratu Lewicy i trzeba jeszcze dodać kolejne cegiełki".

Osłabienie Lewicy natychmiast postanowił wykorzystać Szymon Hołownia i – jak niesie wieść z obozu koalicji – miał zażądać odebrania Lewicy przynajmniej jednego z ministerstw, grożąc, że w razie odmowy nie odda fotela marszałka rotacyjnego Włodzimierzowi Czarzastemu. Boksowanie w miejscu przez Trzecią Drogę i znaczne osłabienie Lewicy bardzo odpowiada Donaldowi Tuskowi, który woli mieć słabych partnerów. Na czołówce Platformy nie robią też wrażenia histeryczne oskarżenia Czarzastego, że wskutek braku wspólnej listy partii koalicji PiS mógłby być znacznie silniej zepchnięty na margines polskiej polityki. Już po wyborach Marcin Kierwiński z niewinną miną zapowiedział, że do eurowyborów wszystkie trzy ugrupowania koalicji pójdą także osobno, „bo taka już się wytworzyła tradycja".

W CZERWCU ZNOWU DO UNII

Wybory samorządowe są na tyle wieloplanowe, że każdy może pochwalić się jakimś sukcesem – czy to w wyborach w wielkich miastach, czy to w rywalizacji dotyczącej rad powiatów, czy wreszcie liczby zdobytych sejmików samorządowych. Czym innym będą wybory do europarlamentu, które odbędą się w dniach 6–9 czerwca. Tu liczba zdobytych mandatów to twardy wskaźnik sukcesu. Platforma, dla której wybory samorządowe nie poszły tak dobrze, jak chciała, będzie w ciągu najbliższych dwóch miesięcy próbować wyciągnąć młode pokolenie z domów na nowe wybory. PiS nabrał wiatru w żagle i ma za sobą najmniej korzystny dla siebie typ wyborów, czyli samorządowe. W nowej rozgrywce będzie liczył na rolników bojących się Zielonego Ładu i wyborców zaniepokojonych przyjęciem przez Brukselę umowy o solidarności imigracyjnej. Przygotujmy się na kolejne dwa miesiące ostrych potyczek i polemik. Polska polityka nie stygnie.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 69da641fd5

Widmo TVP krąży po polityce

Rafał A. Ziemkiewicz

Okazało się, że brak topornej propagandy w TVP wcale nie demobilizuje wyborców PiS. Bo on mobilizował przeciwników tej partii. Widać też, że wśród kierujących się hasłem „każdy, byle nie PiS" ogromna część dodaje w myślach: „ale PO też nie"

Jacek Kurski znalazł się w kadrze z Jarosławem Kaczyńskim na zdjęciu z wieczoru wyborczego. Czy ma jakiekolwiek szanse wrócić do łask szefa PiS? FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

Parafrazując zdanie ze sławnej powieści: wybory wyszły, jak wyszły, problem, co z tym teraz zrobić. Na razie widać po każdej ze stron zamieszanie – wszyscy przygotowywali się do skonsumowania zupełnie innego wyniku, niż ostatecznie otrzymali, i realizują wcześniej przygotowane plany, jakby nie zauważając, że nie bardzo pasują one do sytuacji.

Zacznijmy od PiS i Jacka Kurskiego, którego sprytne wtargnięcie w kadr z ogłaszającym sukces Jarosławem Kaczyńskim skradło show i wszczęło falę medialnych spekulacji i połajanek. Tym bardziej że Kurski pojawił się przy Komendancie w chwili, gdy Mateusz Morawiecki zszedł już był z podium i zajęty był udzielaniem wywiadów. Potem były premier wyraził się o obecności Kurskiego lekceważąco („Nie patrzyłem, kto tam podbiegł na koniec") i uprzejmie zgodził się z sugestią redaktora Fijołka z Polsatu, że „Kurski był kulą u nogi PiS", skoro bez jego telewizji partia wypadła w wyborach lepiej niż z nią. „Warto się zastanowić, czy bez krzykliwej, napastliwej, agresywnej polityki telewizji publicznej wynik wyborów parlamentarnych nie byłby jeszcze lepszy. Z dzisiejszej perspektywy uważam, że trzeba było się więcej skoncentrować na tematach merytorycznych, tak jak to zrobiliśmy teraz, podczas tej kampanii" – podsumował, przy okazji informując, że wbrew powszechnemu odczuciu jakaś samorządowa kampania PiS była.

Stanowiło to oczywiście odpowiedź na zarzuty, które postawił Morawieckiemu Kurski w niby-tajnym memorandum dla Kaczyńskiego. Osobiste pojawienie się byłego prezesa TVP i zajęcie miejsca tuż przy Kaczyńskim jest sygnałem, że memorandum było początkiem kampanii, która ma przywrócić Kurskiemu zaufanie tego ostatniego. Jest to skomplikowana gra, bo – jak zwykłem powtarzać – problemem naszego politycznego wyścigu jest to, że tak jak Tusk nie ma hamulców, tak Kaczyński nie ma biegu wstecznego. To w końcu nikt inny, tylko lider PiS odsunął Kurskiego („z powodów, które są mu znane" – jak to ujmował klasyk) i zastąpił go Matyszkowiczem, co, najdelikatniej mówiąc, nie okazało się trafnym wyborem personalnym. I w tym właśnie tkwi największy

eprasa.pl 69da641fd5

problem Kurskiego: wytykanie prezesowi PiS błędu, zwłaszcza jeśli naprawdę go popełnił, to pewny sposób, by skończyć jak Jarosław Gowin albo Jan Krzysztof Ardanowski. A Kurski, po odwołaniu przez nową ekipę z synekury w Ameryce, ma odmienne plany i – znając go – wielkie ambicje.

PLAN KURSKIEGO, PROBLEM Z ZIOBRYSTAMI

Włączyć się we frakcyjny atak na Morawieckiego było łatwo – zwalczają go i sasinowcy, i błaszczakowcy, i ziobryści (inna sprawa, że poza tym jednym wszystko inne ich dzieli). Ale jak uzyskać raz jeszcze wybaczenie Komendanta? Plan Kurskiego zakładał ewidentnie kolejną wyborczą klęskę i obsadzenie się w roli tego, który jaki był, taki był, ale jak był, to wygrywaliśmy, panie prezesie, a jak go zabrakło… Ma się to nijak do triumfalistycznych nastrojów, które – inna sprawa, że nieco na wyrost – zapanowały teraz w partii. Spodziewaliśmy się, że Tusk złamie nam szczękę, do tego stopnia, że kompletnie sobie te wybory odpuściliśmy – a on nam zdołał tylko wybić zęba! Sukces! I Morawiecki wykorzystuje te nastroje, przechodząc do porządku dziennego nad tym, że sam miał ogromny wkład w taki, a nie inny wynik wyborów parlamentarnych, wykorzystując przedwyborczą debatę, zamiast do „skoncentrowania się na tematach merytorycznych", do wtykania Tuskowi tych samych szpil, co paskowi w TVP.

Wspomniany triumfalny nastrój zamroził na jakiś czas problem, który po spodziewanej klęsce wybuchłby z całą siłą: co zrobić z ziobrystami, w momencie gdy Ziobry nie ma w aktywnej polityce? Gdyby PiS został znokautowany, świetnie nadawaliby się na kozła ofiarnego. Zapewne nie zostaliby wyrzuceni ze Zjednoczonej Prawicy, skoro publicznie zagroził w takiej sytuacji odejściem z partii Przemysław Czarnek, obecnie numer dwa po Kaczyńskim pod względem popularności w „żelaznym elektoracie" (przyjmując za jej probierz długość oklasków na zjazdach Klubów „Gazety Polskiej" i podobnych imprezach). Na pewno jednak zostaliby „przeczołgani" i zmuszeni do posłuszeństwa – można było wyczytać taki zamiar z niektórych aluzji Kaczyńskiego, potwierdzały go przecieki z Nowogrodzkiej.

Obecnie nie ma do tego nastroju, tym bardziej że zawsze istnieje teoretyczna możliwość stworzenia przez nich wspólnego klubu sejmowego z Konfederacją. Tej ostatniej pozwoliłoby to pozbyć się Brauna, z którym po chanukowym happeningu z gaśnicą nie ma szans odebrać wyborców Trzeciej Drodze – i który zresztą i tak Konfederację wystawi do wiatru, tylko w wybranym przez siebie momencie, bo bliżej mu do Korwin-Mikkego i Michalkiewicza niż do Mentzena i Bosaka, a zwłaszcza do Wiplera.

Wróćmy do niezłamanej szczęki PiS (nawiasem mówiąc, wiem, oczywiście, że pisze się „wybić ząb", a nie „zęba", ale poza tym, że jestem publicystą i influencerem, jestem także pisarzem i jako takiemu wolno mi czasem przedłożyć stylizację ponad gramatykę). Obok Kurskiego wynurzającego się zza ramienia Komendanta najczęściej podawanym w Internecie obrazkiem z wieczoru wyborczego stała się uwieczniona przez operatorów mina Donalda Tuska. Dopatrywano się w niej wściekłości, zawodu – i nie jest to nietrafne, ale moim zdaniem dominującą emocją na ikonicznym zdjęciu jest bezbrzeżne zdziwienie. Miałem taki dobry plan, a „nie pykło" – przecież to niemożliwe!

Tak doświadczony polityk jak Tusk uwierzył, że jeśli nie będzie PiS w państwowych mediach, to nie będzie go w ogóle. Okazało się, że anty-PiS ruszył się za miasto, ale nie po to, by zalać sobą „PiS-owskie" okręgi wyborcze, tylko żeby użyć wiosennej pogody

JAK TUSK UWIERZYŁ W MIT

Trzeba przyznać, że plan Tuska na te wybory, drugie w trójskoku, który miał go uczynić jedynowładcą, naprawdę wydawał się niezawodny. Opierał się na dwóch elementach: pierwszym było złamanie potęgi PiS przez odebranie mu wszystkich sejmików. Wydawało się to łatwe: PiS nie ma zdolności koalicyjnej, a bez swego najważniejszego politycznego narzędzia nie ma szans na sukces na miarę samodzielnej większości gdziekolwiek. Może, w ostateczności, na Podkarpaciu, no to tam sięgnie się po sprawdzone metody korupcji politycznej i przewerbuje kogoś, tym łatwiej że wszędzie indziej wyniki dowiodą, iż Kaczyński jest już skończony.

O jakim narzędziu mowa? Otóż Tusk uwierzył w propagandowy mit, kultywowany od ośmiu lat w środowiskach, które same siebie nazywają po bierutowsku „siłami demokratycznymi". Ten mit wszystkie sukcesy PiS tłumaczy „agresywną, brutalną partyjną propagandą TVP". Łatwo zrozumieć, że „demokraci" woleli wypierać prawdziwe powody swych klęsk, opowiadając sobie bajki o władzy sprawowanej nad mózgami przez Kurskiego i disco polo. Ale jak mógł w te bajki uwierzyć tak doświadczony polityk jak Tusk?

W każdym razie uwierzył: nie będzie PiS w państwowych mediach – nie będzie go w ogóle. Dlatego, jak dziś wiemy, po powrocie z przedświątecznej wizyty w Brukseli w grudniu ubiegłego roku bezlitośnie zrugał Sienkiewicza przy koalicjantach, żądając „natychmiastowego i skutecznego" wyrzucenia PiS-owców z TVP, PR i PAP, i dlatego podjęta przez tego drugiego akcja była tak nieprzemyślana, chaotyczna i na rympał, choć wyznaczony cel, którym było wyeliminowanie TVP Info, spełniła.

I co? I okazało się, że bez TVP nie ma mobilizacji elektoratu anty-PiS. „Umowne Jagodno" – jak określa się to w dyskusjach internetowych – może i ruszyło się za miasto, ale tym razem nie żeby zalać sobą „PiS-owskie" okręgi wyborcze i „dokończyć demokratyczną rewolucję", do czego wzywali liderzy PO – tylko żeby użyć wiosennej pogody. Bo wbrew temu, jak widzą to nie tylko Tusk i jego „elity", lecz także Morawiecki i Kurski w swoim sporze, „agresywna partyjna propaganda" miała wpływ na wynik wyborów parlamentarnych, ale mechanizm tego wpływu był inny:

eprasa.pl 69da641fd5

przekaz TVP Info zmobilizował „żelazny elektorat” PiS (słabiej zresztą niż zakładano), a przede wszystkim zmobilizował, i to w znacznie większym stopniu, wyborców na co dzień niezainteresowanych kibicowaniem partyjnym plemionom, przekonując ich, że trzeba się ruszyć, zrobić jakąś akcję, jeździć do wskazanych internetowym kalkulatorem komisji i stać tam w kolejkach, żeby ten irytujący PiS ukarać i odsunąć. Teraz, skoro Tusk TVP zaorał – luzik, nie ma po stronie „Jagodna” i „Miasteczka Wilanów” powodu do ponownej napinki. A o mobilizację żelaznego elektoratu PiS zadbał tymczasem sam Tusk swą polityczną bandyterką ostatnich miesięcy, od posłania „karków” na Woronicza i uwięzienia Kamińskiego oraz Wąsika do włamania do Ziobry.

Demobilizacja elektoratu, który wyrobił prawie 75-procentową frekwencję w wyborach parlamentarnych, uderzyła przede wszystkim w Trzecią Drogę. Ale nie na tyle, żeby jej wyborcy przeszli do Tuska i podpompowali wynik PO do poziomu powyżej PiS. Tusk – jak wynika z kuluarowych przedwyborczych relacji – pewien był, że jego apel do „pożyczonych” Hołowni wyborców, w połączeniu z napuszczeniem na niego aborcjonistek z Lewicy, uruchomi przepływ z małych antypisów do dużego. I tak z połączenia tych czynników dojść miało do oczekiwanej od dawna mijanki, do tego, żeby wreszcie PO wygrała z PiS, co miało dać jej nową energię i umożliwić skonsumowanie pacynek na „jednej liście obozu demokratycznego” w czerwcu.

Pacynki rzeczywiście wypadły słabo, ale PO i tak nie przebiła swego szklanego sufitu 30 proc. Dlaczego? Można to otwarcie mówić i pisać, bo lewicowo-liberalne elity, żądające tej „jednej listy”, i sam Tusk i tak nie są w stanie przyjąć prawdy do wiadomości: większość Polaków, także tych, którzy szczerze nie cierpią Kaczyńskiego i jego oldbojów, widzi w Tusku notorycznego kłamcę i cwaniaczka, myślącego wyłącznie o własnym interesie, a teraz w dodatku mało sprawczego, bo niby wsadził Wąsika z Kamińskim do pudła, ale i tak ich po tygodniu wypuścił; niby wypędził PiS z mediów państwowych, ale je przy tym rozwalił; niby czyści aparat sprawiedliwości, ale poza rozpierduchą jakoś kiepsko to idzie. Słowem: skutkiem jego kolejnych „sukcesów” jest tylko coraz większy chaos, a chaos męczy.

Elity, żądające „jednej listy”, i sam Tusk nie są w stanie przyjąć prawdy do wiadomości: większość Polaków, także tych, którzy nie cierpią Kaczyńskiego, widzi w Tusku notorycznego kłamcę

PLAN „BEZ MIJANKI”

Mówiąc krótko: wśród wyborców kierujących się hasłem „każdy, byle nie PiS” ogromna część dodaje w myślach: „ale PO też nie”. Nawet jeśli to „anty-PiS-ale-nie-PO” jest w istocie, jak Trzecia Droga, całkowicie posłuszny każdemu skinieniu Tuska, to wyborcy ci potrzebują przynajmniej pozoru, że nie głosują bezpośrednio na niego. To oznacza, że „lista demokratyczna”, o której roją Tusk i jego najbardziej zakuci zwolennicy, musi dać taki sam efekt jak w poprzednich eurowyborach i w ostatnich parlamentarnych na Węgrzech: nawet jeśli Tusk zdoła, prośbą i groźbą, a może i jakimś szantażem (czego nie wiemy, tego nie wiemy), zapędzić na nią i PSL, i Hołownię, i Czarzastego z Biedroniem, to – tak jak w 2019 r. Biedroń czy w 2022 r. na Węgrzech Mi Hazánk – jakiś „anty-PiS-ale-nie-PO” wyskoczy znikąd w ostatniej chwili, urwie kilka procent, i sny o mijance znowu się rozwieją, a wraz z nimi dalsze plany Tuska.

Mimo to – na tym opieram swe przekonanie, że można to bezpiecznie mówić i pisać, bo do zaczadzonej „urojeniem wyższościowym” lewicowo-liberalnej bańki i tak się to nie przebije – idea wspólnej listy do europarlamentu wyskoczyła w powyborczych komentarzach niemal od pierwszego dnia. Widać, że „trwałość rzeczy raz wstawionej do planu jest dziś sławna”, jak w „Towarzyszu Szmaciaku”, i chociaż plan bez mijanki nie ma sensu, to będzie realizowany. PSL już stawiane jest przez media Tuska pod ścianą argumentem, że tak samo jak PO należy do EPL – co akurat przypadkiem jest argumentem merytorycznie trafnym. Start z PO, zamiast z Hołownią, byłby dla PSL korzystniejszy, ale wynik TD w samorządach, acz daleki od oczekiwań, nie uzasadnia jej likwidacji, więc Kosiniak-Kamysz już wyartykułował oczekiwanie, że zaproszenie będzie dotyczyć także Polski 2050, co z kolei nie bardzo ma sens, skoro jedyna europosłanka Hołowni przeszła do frakcji liberalnej (pomińmy już, że zaskarbiła też sobie serdeczną nienawiść Tuska, czego doświadczyła jej córka). Jeśli mimo to Tusk się zgodzi i jeśli Lewica zrobi, co jej każe (a nie wiadomo, czy w ostatnim przedśmiertnym odruchu nie zaryzykuje osobnego startu w nadziei na powtórzenie efektu Biedronia/Mi Hazánk, względnie, że nie zrobi tego np. Partia Razem), to i tak wiadomo, że ta konstrukcja nie zsumuje arytmetycznie poparcia sondażowego każdej z trzech partii w słupek wyższy od PiS.

Najprawdopodobniej jednak się nie zgodzi, bo nazbyt się już przywiązał do idei zlubnaueryzowania koalicjantów, żeby ją porzucić – może najwyżej raz jeszcze, jak we wrześniu 2023 r., odłożyć sprawę na później. To znaczy, że wybory czerwcowe dadzą wynik plus minus taki sam jak kwietniowe i tak się wszystkie partie – oraz my, wyborcy – będą męczyć dalej.

Chyba że Tusk zaryzykuje wyjście naprzeciw przekonaniu Kaczyńskiego, że partia musi mieć „swoją dużą telewizję”, wycofa swoich, pożal się Boże, likwidatorów z Woronicza i umożliwi powrót tam Kurskiemu (Matyszkowicz, jak się zdaje, podpisał z nową ekipą jakąś separatystyczną kapitulację, bo w nieustannie agregowanej propagandzie o zbrodniach „PiS-owskiej telewizji” jest dziwnie pomijany, jakby nigdy nią nie kierował). To żart oczywiście – można sobie pozwalać publicznie na takie żarty, bo gołym okiem widać, że lewicowo-liberalna ekipa nadal ani w ząb nie rozumie, ani dlaczego straciła władzę w 2015 r., ani dlaczego ją odzyskała w 2023 r., ani czemu mijanka w ostatnich wyborach się nie udała. Łatwiej skupić się na mitologizowaniu skuteczności telewizyjnej propagandy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 69da641fd5

Z prof. Waldemarem Gontarskim, adwokatem, rektorem Europejskiej Wyższej Szkoły Prawa i Administracji w Warszawie, byłym pełnomocnikiem rządu RP w Trybunale Sprawiedliwości Unii Europejskiej
rozmawia Ryszard Gromadzki

Wolność jest w nas

FOT. TOMASZ GOLLA/PAP

RYSZARD GROMADZKI: Rządowe Centrum Legislacji opublikowało projekt zmian Kodeksu karnego, które przewidują m.in. karę więzienia do trzech lat za „nawoływanie do nienawiści" ze względu na „orientację seksualną lub tożsamość płciową". Jak te proponowane przez rząd Tuska zmiany mają się do wolności i swobód gwarantowanych przez Konstytucję RP?

PROF. WALDEMAR GONTARSKI: Proponowane zapisy są sprzeczne z art. 31 ust. 3 konstytucji i art. 10 Konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności. Oba akty prawne mają rangę ponadustawową i są wzorcem legalności dla ustawy zwykłej, którą jest proponowana zmiana Kodeksu karnego. O co więc chodzi? Trybunał w Strasburgu zwraca uwagę, że wolność wypowiedzi pojmujemy tak daleko, że czyjeś wypowiedzi mogą nawet oburzać, mogą wywoływać poruszenie, nawet wprowadzając niepokój w państwie lub części społeczeństwa. Takie są wymogi pluralizmu, tolerancji i otwartości na inne poglądy, bez których nie istnieje demokratyczne społeczeństwo – tak orzeka od wielu lat trybunał strasburski (po raz pierwszy 7 grudnia 1976 r. w sprawie przeciwko Wielkiej Brytanii).

Francuski myśliciel i polityk Gabriel Mirabeau, znacząca postać Wielkiej Rewolucji Francuskiej, mówił, że bez wolności wypowiedzi można zdobyć inne wolności – polityczną, gospodarczą czy jakąkolwiek inną – ale bez wolności wypowiedzi nie można ich utrwalić.

Proponowane zmiany moim zdaniem o tyle naruszają przepisy, które mówią, że można ingerować w wolność wypowiedzi, o ile naruszają one prawa innych osób. Chodzi o ewentualne naruszenie zakazu dyskryminacji. Konstytucja w art. 32 mówi o równości wobec prawa i wprowadza zakaz dyskryminacji oraz nakaz równego traktowania, ale – uwaga – od IV w. przed naszą erą do współczesnego orzecznictwa Trybunału Konstytucyjnego, zarówno tego wydanego po 2015 r., jak i wcześniej, znamy zasadę arystotelesowską „równych równo, nierównych nierówno". Równo możemy traktować tylko te osoby, które pod względem jakichś wyróżników są równe. W przeciwnym razie różnicujemy te osoby. Przywołam słynną wypowiedź karnisty prof. Andrzeja Marka, który postawił pytanie: „Czy jeśli mówimy o kimś »Żyd«, to czy

eprasa.pl 69da641fd5

dyskryminujemy taką osobę, jeśli jest ona żydowskiego pochodzenia?". Oczywiście nie – odpowiadał profesor, z czym się absolutnie zgadzam. Dopiero gdybyśmy użyli określenia „Żydzisko", wyrazu nacechowanego emocjonalnie ujemnie, czyli tej nadwyżki nad treścią, dopiero wtedy mielibyśmy do czynienia z pogardą, która cechuje przestępstwo zniewagi polegające na dokuczeniu komuś.

Zakaz dyskryminacji oznacza też stosowanie wyróżnień pozbawiających równości szans. Ale powiedzenie o kimś, kto się manifestuje jako nieheteronormatywny, że on jest nieheteronormatywny, nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek dyskryminacją. Znam włodarzy wielkich europejskich miast, którzy zrobili karierę polityczną na obnoszeniu się ze swoją nieheteronormatywnością. Znamy przecież polskiego polityka związanego z obecną koalicją, który także zrobił karierę polityczną na tym, że publicznie demonstrował, iż nie jest heteronormatywny.

Przykłady, które pan podał, wskazują wprost, że żadnej realnej dyskryminacji osób „nieheteronormatywnych" nie ma. Za to całkiem realna jest próba wykorzystania prawa karnego do zamknięcia ust przeciwnikom dewiacji promowanych w ramach ideologii gender.

Ingerencja prawa karnego w tę sferę jest nieporozumieniem. Mówi się, że prawo karne to „ultima ratio", czyli jest racją ostateczną, gdy zawodzą inne środki. Jeśli ktoś uważa, że czyjeś dobra osobiste sformułowane w katalogu otwartym w art. 23 Kodeksu cywilnego są naruszone, to niech wytacza powództwo cywilne. Angażowanie aparatu państwa do ścigania czegoś takiego byłoby nie tylko sprzeczne z wolnością wypowiedzi, lecz także z konstytucyjną zasadą ustawowej dookreśloności czynu zabronionego.

Jak zastosować zasadę, o której pan mówi, wobec tzw. płynnej tożsamości płciowej? Przecież to czysta aberracja.

No właśnie. Jeśli przyjąć poprawnościową wykładnię, to tożsamość płciowa jest dynamiczna. Jeśli ci ludzie mieliby być potencjalnymi pokrzywdzonymi – a domagają się tego – to łatwo sobie wyobrazić konsekwencje. Dlatego tak rozumiana „mowa nienawiści" jest wyrazem poprawności politycznej, a ta z kolei jest wyrazem liberalizmu, który polega na równości szans, ale nie dla wszystkich, tylko dla swoich.

Czy „mowa nienawiści", za którą państwo polskie chce teraz ścigać i karać, to nie instrument cenzury, kolejny krok w stronę lewicowej tyranii?

W tym wypadku w grę wchodziłaby cenzura prewencyjna, która w Polsce jest konstytucyjnie zabroniona. Jako pełnomocnik Polski składałem do Trybunału w Luksemburgu skargę na ACTA 2. W tamtej sprawie przeciw nam była m.in. Francja, której reprezentanci przekonywali, że w ACTA 2 nie ma cenzury prewencyjnej. Trybunał w Luksemburgu przyznał mi rację, potwierdzając, że w tej regulacji jest cenzura prewencyjna, ale zastrzegł, iż w określonych warunkach jest ona dopuszczalna. Na gruncie polskiej tożsamości konstytucyjnej cenzura prewencyjna jest zabroniona. Sprawa, o której rozmawiamy, jest dla mnie powrotem do PRL-owskiej cenzury prewencyjnej.

Innymi słowy, witajcie w świecie myślozbrodni...

Orwell do potęgi entej. W myśl takiej koncepcji, praktykowanej w imię liberalizmu, ograniczanie praw wyznawców islamu w Europie Zachodniej jest zabronione, ale już z chrześcijanami można robić, co tylko się chce. Regulacje proponowane w Polsce mieszczą się dokładnie w tym nurcie.

Jeżeli rządzącym Polską uda się przeforsować przepisy, które wprowadzą kary więzienia za używanie „mowy nienawiści" wobec osób o odmiennej orientacji seksualnej czy tożsamości płciowej, to czy można się spodziewać procesów np. księży odwołujących się do katolickiej nauki o homoseksualizmie? Biblia trafi na indeks ksiąg zakazanych za określenie homoseksualizmu obrzydliwością czy zboczeniem, jak czyni to św. Paweł w Liście do Rzymian?

W myśl projektowanego prawa karnego nawet zadawanie pytań stanie się czynem zabronionym prawem karnym, a przecież nawet w „Roku 1984" przy myślozbrodni zadawanie pytań jako takie było dopuszczalne. Mamy do czynienia z próbą rewizji standardów cywilizacji łacińskiej. Pracując w Londynie, widziałem, w jak głębokiej defensywie jest cywilizacja łacińska. Można mówić głośno o łamaniu praw wyznawców islamu, ale już nie katolików, choć przecież oni także są chronieni przed dyskryminacją na gruncie Konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności.

Jak przeciętny Kowalski może skutecznie bronić się przed tym szaleństwem? Osaczony przez media, które nieustannie wmawiają mu, że to, co jest wynaturzeniem, ma uznawać za dobre i piękne?

Odwoływać się do argumentów prawniczych, cytując utrwalone orzecznictwo strasburskie. Trzeba walczyć o wolność wypowiedzi, mówić głośno, czym jest polskie dziedzictwo konstytucyjne. Przypominać, czym w PRL było ograniczanie prawa do wolności wypowiedzi. Nie można zgodzić się na prymat poprawności politycznej ponad wolnością ekspresji. Właśnie po to przystąpiliśmy w 1993 r. do Rady Europy, co oznacza związanie Polski przepisami Konwencji o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności. Zapisaliśmy w konstytucji zakaz cenzury prewencyjnej. My, Polacy, tak miłujemy wolność i mamy do tego szczególne prawo, bo Zachód zostawił nas po drugiej wojnie światowej na pastwę totalitarnego reżimu stalinowskiego. Mamy jak nikt prawo moralne upominać się o wolność. Parafrazując: wolność jest w nas, a niebo gwiaździste nad nami.

Nie obawia się pan, że sędziowie uformowani w duchu politycznej poprawności – a takich pewnie jest większość – zaczną skazywać ludzi na kary więzienia za „mowę nienawiści" wobec LGBT?

To wszystko zależy od ludzi, w tym od sędziów. Nie widzę takiego bezpośredniego zagrożenia na poziomie stosowania prawa. Na poziomie zideologizowania zapowiedzi legislacyjnych oczywiście widzę to. Jest mocny dysonans poznawczy między zapowiedzią stanowienia prawa ideologicznego a jego stosowaniem. Nawet jeśli to ideologiczne prawo zostanie ustanowione, a ideologia będzie miała za cel zwalczanie standardów cywilizacji łacińskiej, to na gruncie wykonania tego prawa nie wróżę temu większego powodzenia. Wykonuję zawód adwokata, uważam, że w sądach bym sobie z takim czymś poradził, że przekonałbym sąd do pytania prejudycjalnego do Trybunału Konstytucyjnego, czyli do zawieszenia postępowania i skierowania pytania z wnioskiem o sprawdzenie z wzorcem legalności zawartym w konstytucji czy z Konwencją o ochronie praw człowieka i podstawowych wolności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 69da641fd5

Bodnar kładzie rękę na wpływach z konfiskaty

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Łukasz Zboralski

Ministerstwo Sprawiedliwości najpierw twierdziło, że nie zamierza zmieniać prawa dotyczącego konfiskaty samochodów pijanym kierowcom. Potem nagle zmieniło zdanie. Czy dlatego, że ktoś wpadł na pomysł przekierowania wpływów na fundusz, którym zarządza minister?

Sprawa konfiskaty samochodów pijanym kierowcom (i tym jadącym po narkotykach), którą wprowadził do prawa rząd Zjednoczonej Prawicy, budziła kontrowersje – jednak prawie wyłącznie w internetowych dyskusjach. Społeczne poparcie dla takiej zmiany okazało się gigantyczne. Już po przyjęciu tego prawa przez poprzedni Sejm, w 2022 r., nastawienie Polaków do konfiskaty zbadał United Surveys (dla RFM FM i „Dziennika Gazety Prawnej"). Z tamtego sondażu wynikało, że 65,5 proc. badanych popiera odbieranie pojazdów pijanym kierowcom. Źle ten pomysł oceniało 27 proc.

W tym roku, już po tym, gdy konfiskata zaczęła działać i policjanci zaczęli na lawetach odwozić pierwsze zabezpieczone samochody, poparcie społeczne dla tego prawa zbadała porównywarka ubezpieczeń Rankomat. Nic się nie zmieniło – blisko 70 proc. badanych odpowiedziało, że popierają nowe przepisy. Ba, jest jeszcze ciekawiej. W tym sondażu zapytano bowiem, czy konfiskatę pojazdów powinno się rozszerzyć na inne niebezpieczne zachowania. Tak działa prawo np. w Danii, gdzie kierowcy tracą samochody za zbyt szybką jazdę, czy u naszych sąsiadów za Odrą, gdzie konfiskata pojazdów możliwa jest za tzw. nielegalne wyścigi (ale chodzi tu też po prostu o rozpędzanie się do ogromnych prędkości w miastach), przy czym w Niemczech policja często też zabezpiecza pojazd do momentu prawomocnego rozstrzygnięcia na mocy paragrafu, który pozwala w ten sposób zabezpieczyć ludzi przed tym, by kierowca nie wyrządził im szkody. Okazało się, że w Polsce za odbieraniem samochodów za inne niebezpieczne zachowania jest aż 77 proc. badanych.

MINISTER NIE ZMIENIA, ALE ZMIENIA

Wydawało się więc, że przepis ustanowiony przez poprzedni Sejm nie zostanie zmieniony. Oczywiście nie tylko dlatego, że byłoby to źle ocenione przez większość społeczeństwa (przeciw konfiskacie są raczej skrajni wyborcy konserwatywnych ugrupowań niż wyborcy lewicowo-liberalni) – przede wszystkim dlatego, że to jedno z niewielu narzędzi, które pozwala ochronić społeczeństwo przed kierowcami nieobawiającymi się wysokich kar. Za spowodowanie wypadku śmiertelnego po pijanemu grozi dziś już nawet 20 lat więzienia, jednak ci, którzy mają problem alkoholowy, nie biorą tego pod uwagę. Jeżdżą nawet

eprasa.pl 69da641fd5

mimo wielokrotnych zakazów sądowych. Pozbawianie ich pojazdów – jak wskazują dane m.in. z USA – pozwala w jakimś stopniu ograniczyć ich powrót na trasy, czyli ogranicza ryzyko, że wyrządzą komuś krzywdę.

Można było zakładać, że nowy minister sprawiedliwości akurat przepisów o konfiskacie zmieniać nie będzie. Padła nawet taka deklaracja. Jako dziennikarz trzy miesiące temu pytałem resort sprawiedliwości o podejście do tej sprawy. Z odpowiedzi wynikało, że minister Adam Bodnar nie ma planów odsuwania wejścia w życie konfiskaty. Więcej – minister chciał przeanalizować, jak w praktyce to prawo zadziała. „Przepisy o konfiskacie pojazdów nietrzeźwym kierowcom wchodzą w życie w połowie marca. Są to nowe regulacje w polskim systemie prawnym, dlatego ministerstwo będzie analizować działanie tych przepisów" – odpowiedziało mi wówczas Biuro Komunikacji i Promocji Ministerstwa Sprawiedliwości.

Dzień przed wejściem przepisów w życie coś się nagle w resorcie odmieniło. Wiceminister sprawiedliwości Arkadiusz Myrcha powiedział mediom, że przepisy o konfiskacie „będą martwe", bo przygotowywana jest w tej sprawie nowelizacja. Potem jego zwierzchnik musiał zresztą odkręcać ten przekaz i tłumaczyć, że owszem, nowelizacja jest przygotowywana, ale do jej wejścia w życie prawo będzie działało i kierowcy będą tracić pojazdy.

RAJ DLA PRAWNIKÓW

Dlaczego jednak minister Bodnar nagle zmienił zdanie w sprawie konfiskaty i postanowił przepisy zmienić?

W oficjalnych wypowiedziach przekonywano, że obecna władza uważa, iż lepiej w każdym przypadku pozostawić decyzję o konfiskacie auta w rękach sędziego. Dziś bowiem w niektórych przypadkach jest to obligatoryjne. Sędzia musi orzec przepadek pojazdu, gdy kierowca go prowadzi i ma co najmniej 1,5 promila alkoholu w organizmie lub w przypadku recydywy i posiadania 0,5 promila w organizmie oraz w przypadku spowodowania wypadku, gdy kierowca ma powyżej 1 promila alkoholu w organizmie.

Z jednej strony, oczywiście, pozostawienie decyzji o konfiskacie w rękach sędziego może mieć sens. Z drugiej – trzeba zauważyć, że prawo dotyczące konfiskaty nawet w przypadku obligatoryjnych przepadków zostawiało sędziemu furtkę i w przypadku wyjątkowych okoliczności może on od obowiązkowej konfiskaty odstąpić.

Wiadomo jednak na pewno, co spowoduje pozostawienie decyzji zawsze w rękach sędziego. Po pierwsze, można zakładać, że konfiskata orzekana będzie rzadziej niż obecnie. Polscy sędziowie od dawna nie są surowi wobec pijanych kierowców i od dawna oficjalnie sprzeciwiają się podnoszeniu wobec nich wymiaru kar. Można znaleźć w portalu orzeczeń sądowych wyroki, w których kierowcy łamią już dwa zakazy sądowe prowadzenia pojazdów mechanicznych (najczęściej orzekane za jazdę po pijanemu) i sędzia orzeka karę np. pięciu miesięcy więzienia, ale w zawieszeniu.

Inne dane o podejściu sędziów przerażają bardziej i znamy je z raportu Instytutu Transportu Samochodowego z 2014 r., w którym podsumowano politykę prewencyjną wobec nietrzeźwych kierowców. Gdy można ich było skazywać na okres od miesiąca do dwóch lat więzienia, w 90 proc. sądy orzekały kary nie wyższe niż rok. W dodatku średnio ok. 98 proc. tych kar pozbawienia wolności było warunkowo zawieszanych. Nie inaczej egzekwowano prawo wobec kierowców przyłapanych na wykroczeniu – prowadzeniu po spożyciu alkoholu (0,2–0,5 promila). W 70 proc. wypadków otrzymywali relatywnie niskie kary grzywny w przedziale 300–1500 zł.

Druga konsekwencja pozostawienia decyzji o konfiskacie zawsze w ręku sędziów to otwarcie rynku w tym zakresie dla adwokatów. Gdy konfiskata jest obowiązkowa, to nie ma o co walczyć w sądzie. Gdy jednak można konfiskaty uniknąć, wówczas kierowcy jeżdżący po kielichu, gdy będzie groziła im utrata kilkudziesięciu tysięcy złotych majątku, będą skłonni wydawać duże kwoty na prawników, którzy ich przed konfiskatą w sądzie uchronią.

PRZEKIEROWANIE PIENIĘDZY

Będzie wreszcie trzecia konsekwencja nowelizacji przepisów w sprawie konfiskaty pojazdów. I tę mało kto zauważył. A być może jest to właśnie odpowiedź na nagłą zmianę optyki w resorcie sprawiedliwości.

Wprawdzie projekt nowelizacji do tej pory nie został ujawniony (co wygląda niekorzystnie, gdy pomyśli się o przejrzystości procesu legislacyjnego w Polsce), ale opublikowano go w wykazie prac Kancelarii Prezesa Rady Ministrów wraz z krótkim uzasadnieniem zmiany.

W uzasadnieniu projektu, za którego opracowanie – jak czytamy na stronie KPRM – odpowiada wiceminister Myrcha – czytamy, że oprócz rezygnacji z obligatoryjności przepadku pojazdu „wyłączona zostanie możliwość orzeczenia przepadku pojazdu mechanicznego, gdy jest to niemożliwe lub niecelowe z uwagi na jego zbycie, utratę, zniszczenie lub znaczne uszkodzenie albo jeżeli pojazd w czasie popełnienia przestępstwa nie stanowił wyłącznej własności sprawcy. W takim wypadku sąd będzie mógł orzec nawiązkę na rzecz Funduszu Pomocy Pokrzywdzonym oraz Pomocy Postpenitencjarnej".

Taką zmianą minister Bodnar zagwarantował sobie wpływy do funduszu, którym zarządza resort. Do tej pory w ramach konfiskaty do Funduszu Sprawiedliwości trafiać miały tylko nawiązki w kwocie minimum 5 tys. zł od pijanych kierowców zawodowych wykonujących pracę polegającą na kierowaniu pojazdem. Reszta miała być kierowana po prostu do budżetu państwa. Po nowelizacji na konto FS popłyną dziesiątki tysięcy złotych za każdy pojazd, którego pijany kierowca nie był jedynym właścicielem, lub taki, który został zniszczony.

Tylko w pierwszym miesiącu obowiązywania konfiskaty polska policja zabezpieczyła blisko pół tysiąca pojazdów. Nie wiadomo, ile z nich ostatecznie okaże się pojazdami, za które trzeba będzie tylko zapłacić równowartość. Tymczasem mediana wartości samochodu w Polsce wynosi obecnie ok. 30 tys. zł.

Dzięki nowelizacji minister Adam Bodnar zabezpieczył sobie poważne wpływy do Funduszu Sprawiedliwości, za którego rozporządzanie obecna władza poważnie oskarża poprzednią.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 69da641fd5

Z prof. dr hab. Marią Pomianowską, kompozytorką, multiinstrumentalistką grającą m.in. na sarangi, suce biłgorajskiej, fideli płockiej i wiolonczeli

rozmawia Radosław Wojtas

Nie chciałam być ciekawostką

RADOSŁAW WOJTAS: W jednym z wywiadów powiedziała pani, że „Polska to skrzypce". To nasz narodowy instrument?

PROF. DR HAB. MARIA POMIANOWSKA: Polska jest obszarem monokultury smyczkowej. Bazą całej naszej muzyki ludowej są skrzypce, nasze tradycyjne kapele nie używają czegoś takiego jak instrumenty szarpane, a jeśli nawet, to są to instrumenty napływowe. Z kolei fujarki czy flety to domena pasterzy – siedzących gdzieś, pasących owce i grających – a nie kapel. Jesteśmy więc krajem, w którym bazą całej muzyki ludowej są skrzypce, a zanim one powstały, bazą tą były „praskrzypce", czyli suki i fidele.

Które możemy usłyszeć w filmie, o którym mówiło się jako polskim kandydacie do Oscara. Ale zanim zapytam panią o sukę biłgorajską, na której współtworzyła pani muzykę do „Chłopów", chciałbym pomówić o odkrywaniu przez panią polskiej muzyki tradycyjnej. Bo droga do niej wiodła przez pół – co tam pół! – przez niemal cały świat.

Czasem trzeba wspiąć się na szczyt wysokiej góry, by stamtąd zobaczyć wyraźniej miejsce, z którego się wyruszyło. Tak było ze mną. W Indiach czy w Korei zachwycałam się muzyką transową, improwizacją, bezinteresownością aktu tworzenia. Ale później odkryłam, że jadąc na polską wieś i słuchając np. muzyki rodziny Kędzierskich – którzy grali tylko „polskie nuty", bo nic innego nie znali – pojawia się ten sam typ emocji, ten sam rodzaj głębokiego przeżycia. Nagle zauważyłam, że przeżywam podobne stany emocjonalne podczas słuchania koreańskiej opery pansori i właśnie oberków granych przez mistrzów z Mazowsza. Często muzycznych amatorów, ale przy tym geniuszy. Pracują na roli lub trudnią się innymi rzeczami, a tworzą z potrzeby serca. Zero komercji. I to mnie przekonuje.

Oczywiście zarabianie na muzyce, uczynienie z niej swojego zawodu, nie wyklucza bezinteresowności aktu tworzenia, ale często pojawiają się pułapki. Część moich kolegów weszła w komercję, ja sama miewałam takie oferty. Tylko że jeśli zaczyna się coś robić wyłącznie dla pieniędzy, to zaczyna się odcinać od prawdy tworzenia.

Ta prawda, chęć, przyjemność tworzenia były w pani od zawsze?

eprasa.pl 69da641fd5

Maria Pomianowska z fidelą płocką
FOT. ANDRZEJ ŁOJKO

Bywało różnie. Do szkoły muzycznej mnie przyjęto (to było kilkadziesiąt lat temu), ale wszystkie „porządne" instrumenty były już zajęte. „Porządne", czyli fortepian i skrzypce. Pozostała tylko wiolonczela, czyli – tak ją traktowano – instrument nieprzyzwoity, schowany w klasach gdzieś w podziemiach szkoły, w katakumbach. I dzięki Bogu, że trafiłam na ten instrument, bo budowałam na nim całą swoją późniejszą muzyczną historię. 99 proc. ludzi po szkole muzycznej opowiada o traumach, które z tych szkół wynieśli. I faktycznie tak jest, muzyczny system edukacji w Polsce to nadal jeden wielki problem. To stresowanie dzieci. Zbyt mały nacisk położony jest na uczenie miłości do muzyki. W szkole podstawowej straumatyzowano mnie tak, że przez 25 lat nie śpiewałam na scenie, mimo że bardzo lubię śpiewać. Uważam, że zrobienie czegoś takiego dziecku to wręcz przestępstwo. I tak miałam szczęście z tym „nieporządnym" instrumentem, bo wiolonczeliści, „ci gorsi", okazali się świetnymi, wyluzowanymi nauczycielami. Mój profesor mawiał np. „No, kiszkuj na tej beczce" albo „Żnij, Marysia, »Bóg się rodzi«". Zero stresu. I to mnie ochroniło przed rezygnacją z muzyki. Miałam bowiem moment, w którym stwierdziłam, że mam już dość presji. Po skończeniu średniej szkoły muzycznej wyrugowałam muzykę ze swojego życia na dwa lata, wzięłam ślub, wyjechałam z mężem do Indii. Tam zaczęłam się uczyć grać na sarangi, instrumencie zakazanym dla kobiet. Byłam pierwszą kobietą z Europy, którą uczono na nim grać. I to tylko dlatego, że na lekcje przychodziłam z mężem.

Dlaczego był to instrument zakazany dla kobiet?

Ponieważ sarangi używali muzycy grający w domach publicznych. W przeciwieństwie do np. sitaru, instrumentu świątynnego, sarangi było instrumentem „brudnym". Kolejny po wiolonczeli „nieporządny" instrument w moim życiu.

Indie zmieniły pani podejście do muzyki?

W Indiach odkryłam, że po szkole muzycznej, owszem, mam wyćwiczone palce, ale jestem zablokowana na improwizację, na granie od siebie, na granie bez tremy. I to dopiero tam się nauczyłam, że

Maria Pomianowska z suką biłgorajską, instrumentem zapomnianym, ale zrekonstruowanym i przywróconym do życia
FOT. KATARZYNA KAMER

muzyka to jest przyjemność, że powinna sprawiać radość. To mnie przemieniło, całą traumę klasycznego wykształcenia przewróciło na drugą stronę. Założyłam wraz z mężem zespół, Raga Sangit, zagraliśmy 900 koncertów w dwa lata. Zdałam na studia do Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina do klasy wiolonczeli. Jeszcze na studiach zaczęłam bardzo intensywnie zajmować się muzyką indyjską i chciałam rozwijać się w tym kierunku. Dyplom zagrałam na wiolonczeli, otrzymałam wyróżnienie, ale poczułam, że na tym instrumencie nic więcej nie opowiem.

I na początku lat 90. pojawił się kolejny ważny dla pani instrument. Zapomniana i rekonstruowana suka biłgorajska.

To niezwykła historia. Był rok 1993 i z grupą, którą zawiązałam przy Akademii Muzycznej w Warszawie [dziś Uniwersytet Muzyczny Fryderyka Chopina – przyp. red.], zamierzałam wykonać koncert „Magia smyczka". Miałam na nim zaprezentować wszystkie instrumenty smyczkowe, na których gram, m.in. sarangi, instrumenty mongolskie, chińskie etc. W dniu poprzedzającym koncert pękł mi podstawek w mongolskim morin khuurze. Dramat, bo był to dla mnie ważny na tym koncercie instrument. Maciek Żółtowski, dyrygent i kompozytor, polecił mi lutnika Andrzeja Kuczkowskiego, który dokonał napraw w środku nocy. Pierwszy raz miał w rękach morin khuur, więc zaczął

eprasa.pl 69da641fd5

o niego wypytywać. Opowiadałam o paznokciowej technice gry, obiecałam wrócić z sarangi. Na kolejnym spotkaniu spytał mnie, czy słyszałam o takim instrumencie, który się nazywa suka biłgorajska, bo on razem z Ewą Dahlig wykonał wtedy na potrzeby muzealne kopię tego zaginionego instrumentu. Suka biłgorajska została odtworzona, ale na ścianę, do muzeum, bo nikt nie chciał się podjąć odtworzenia sztuki wykonawczej.

Sztuki wykonawczej w technice paznokciowej, którą pani doskonale znała.

Z przekazów zbieranych przez etnomuzykologów było wiadomo, że na suce grało się w pozycji pionowej, techniką paznokciową, że palce stawiało się pomiędzy strunami i odpychało się je paznokciami. Miałam już wtedy za sobą 10 lat bardzo intensywnej gry na sarangi, znałam instrumenty mongolskie, poszerzałam swoje pole rażenia techniki paznokciowej. Pomyślałam wtedy, że to niesamowita okazja, by wreszcie zrobić coś polskiego. Bo jeżdżę po świecie, po Indiach, dogaduję się tam przez pięciu tłumaczy – jeden przekłada z jakiegoś dialektu na hindi, drugi z hindi na urdu, dalej z urdu na ichniejszy angielski, a później na angielski, który ja mogę zrozumieć… Tyle wysiłku, a tutaj pojadę na polską wieś, pogadam na luzie… Poczułam wyzwanie i wielką radość, że mogę je podjąć.

Rekonstrukcję suki wykonywano na bazie akwareli. Nie było żadnego wzorca?

Muzealna rekonstrukcja powstała wedle akwareli Wojciecha Gersona z końca XIX w., która znajduje się w Muzeum Narodowym w Warszawie. Suka do gry, czyli pierwszy egzemplarz estradowy, została zrobiona według mojego projektu, który opracowaliśmy wraz z Andrzejem Kuczkowskim i z błogosławieństwem Ewy Dahlig. Instrument jest większy od oryginału opisanego na rycinie Wojciecha Gersona. Od lat suka w zaproponowanych przeze mnie rozmiarach jest kopiowana przez prawie wszystkich lutników.

Jeśli zaś chodzi o wzorce, to była jeszcze jedna, niezależna rekonstrukcja suki biłgorajskiej. Robił ją pan Zbigniew Butryn – ludowy muzyk z Janowa Lubelskiego. Niesamowita postać! Odtwarzał sukę na podstawie… znaczka pocztowego. Założył u siebie szkółkę suki biłgorajskiej i uczy na niej grać młodych ludowych muzyków. Kiedy się poznaliśmy, przekazaliśmy mu kopię ryciny Wojciecha Gersona i na jej podstawie budował kolejne suki.

W Iranie kobiety nie mogą śpiewać solo, jedynie w chórkach. Obowiązkowy na scenie jest hidżab FOT. ARCHIWUM MARII POMIANOWSKIEJ

Jakie były efekty zderzania tych dwóch światów – akademickiego i ludowego?

Jednym z większych sukcesów mojej pracy z suką biłgorajską – obok stworzenia techniki gry, stylu i repertuaru – było wzniesienie jej na poziom edukacji akademickiej. Wykształciłam już grono suczystek i suczystów w Polsce. Kilku studentów mam też za granicą.

Mamy obecnie dwa ośrodki suki biłgorajskiej – ludowy i akademicki. Jeśli ktoś chce poznać tę prawdę źródłową, to może jej szukać właśnie w Janowie Lubelskim, a jeśli chce naukowego podejścia, to znajdzie je w ośrodkach akademickich. Jednak życie wcale nie jest takie proste i podziały nie są tak oczywiste, co obrazuje nasza historia. Kiedy spotkałam się z panem Butrynem, popatrzył na moją sukę i spytał, dlaczego ona jest taka duża. Wstyd mi się było przyznać, że zrobiłam to trochę z wygody (menzura sarangi, na którym od lat grałam), a trochę z doświadczeń w grze na różnych rozmiarów instrumentach smyczkowych w Azji (te w średnim rozmiarze na ogół brzmiały najlepiej). Powiedziałam więc: „A tak sobie pomyślałam, że z takiej dużej będzie lepszy dźwięk". I proszę sobie wyobrazić, że za rok pan Butryn dzwoni do mnie podekscytowany: „Pani Marysiu, pani Marysiu, brat wrzucił w komputer wszystkie dane dotyczące suki, żeby sprawdzić, jaki ma być rozmiar i kształt, żeby grała optymalnie, i wyszły wymiary, które pani zaproponowała!". Dla mnie to było niesłychanie zabawne, że klasyczny, wykształcony muzyk z miasta robi coś na intuicję, a muzykant ze wsi „wrzuca to w komputer" i dokładnie przelicza… Prawda w pigułce o dzisiejszych czasach, gdy wszystko ze sobą tak się miesza.

Skąd nazwa „suka biłgorajska"?

Nikt dotychczas tego jednoznacznie nie wyjaśnił. Niektórzy twierdzą, że to dlatego, że instrument „wył jak suka". Ale to absurd. Inna teoria jest taka, że w Kocudzy, czyli we wsi, w której zarejestrowano ostatnie suki, na skrzypce mówiono psy. I że nazwa suki stoi w opozycji do nazwy skrzypiec. Żadna z tych teorii mnie nie przekonuje. To jest przedziwne, a nazwa szokująca. Ale bywa, że nazwa instrumentu staje się jego siłą. Ludzie ją zapamiętują. W kraju – bo zadziwiająca, a za granicą – bo prosta. Wydałam już 27 autorskich płyt. Na początku krępowałam się używać nazwy instrumentu w tytule płyty. Z czasem to się zmieniło. Co prawda, na płycie, która ukazała się w styczniu tego roku, pt. „Nowe oblicza tradycji" z muzyką współczesnych kompozytorów na sukę biłgorajską oktet wokalny, nazwa instrumentu pada tylko w podtytule. Jednak 22 maja ukaże się kolejna moja płyta zatytułowana „Dance of suka", kontynuacja projektu z 2015 r. „Voice of suka". Wtedy to, dziewięć lat temu, odważyłam się użyć nazwy instrumentu w głównym tytule CD. Są na nim moje kompozycje dedykowane zespołowi suk. Bywa jednak, że nazwa sprawia kłopoty.

Jakie?

Niejednokrotnie w mediach społecznościowych banowano moje posty reklamujące koncerty na suce za używanie wulgaryzmów! Jak jeszcze koncertowałam w Rosji i w zapowiedzi mojego koncertu padała nazwa instrumentu, to nie mogłam wyjść na scenę, bo rechot na widowni trwał kilka minut. U nich suka to przecież przekleństwo.

Zresztą co kraj, to inna zwariowana historia. W Iranie np. odwołano mi cztery koncerty, bo za głośno śpiewałam.

Odwołane koncerty za głośny śpiew?

eprasa.pl 69da641fd5

Kobiety w Iranie nie mogą śpiewać solowo na scenie, jedynie z chórkiem. Na koncercie w Teheranie nie dość, że ubrali mnie w hidżab, to jeszcze ustawili za mną ośmiu śpiewających Persów, którzy – mówiąc szczerze – brzmieli trochę jak mruczące niedźwiedzie. Mimo tego uznano, że śpiewałam za głośno w stosunku do nich, a na domiar złego wysunęło mi się trochę włosów spod szmaty i odwołali mi cztery koncerty. Ostatecznie udało się je zagrać, ale wtedy ubrali mnie już tak, że ledwie mogłam się ruszać.

Z kolei w Libanie nie zorganizowano mi muzyków klasycznych, o których zawsze proszę, tylko… heavymetalowców. Ale genialnych, więc zrobiliśmy wspólny projekt! Odłożyli te swoje gitary elektryczne i wzięli gitary klasyczne. Co prawda, pozostali ubrani w skórzane kurtki z nabitymi ćwiekami i cały czas coś palili, ale dogadywaliśmy się. Spytałam nawet, co oni za tytoń palą, bo taki piękny zapach, a oni mi na to, że to haszysz. No i tak, siedząc w oparach haszyszu, stworzyliśmy ten projekt.

Piękne też miałam doświadczenia z cesarzową Japonii, Michiko. Spotykałam się z Jej Wysokością i całą rodziną, ówczesnym następcą tronu, obecnym cesarzem Jego Wysokością Naruhito, córką księżniczką Sayako, drugim synem – obecnym następca tronu – jego żoną i córkami. Pretekstem spotkań była oczywiście muzyka. Bardzo interesowały ich moje instrumenty, a ponieważ byłam z rodzinnego kraju ich ukochanego Chopina, opowiadałam o źródłach muzyki genialnego kompozytora i uczyłam cesarzową kroków poloneza. Wielokrotnie grałam wraz z członkami rodziny cesarskiej zamknięte koncerty w Tokio. Cesarzowa Michiko gra pięknie na fortepianie, obecny cesarz na altówce, a jego siostra, księżniczka Sayako, na flecie. Piękny przykład dla japońskiego społeczeństwa, jak ważna jest w życiu muzyka. Jestem bardzo szczęśliwa, że tak blisko poznałam tę muzykalną rodzinę, z którą mam sporadyczny, ale bardzo ciepły kontakt do dzisiaj. Rodzinie cesarskiej zawdzięczam też przyjaźń i wspólne koncerty z amerykańskim artystą wielkiego formatu – YoYoMa.

Wiele niezwykłych historii mogłabym opowiedzieć. O wspólnych międzykulturowych projektach z Zulusami w RPA, z tradycyjnymi muzykami w Indonezji, Pakistanie, Chinach, Korei, Maroku, z supergrupą reggae'owców w Algierii, Tunezji, Egipcie podczas tzw. wiosny ludów, Senegalu, Etiopii, Szwecji czy Norwegii. Kilka miesięcy temu wróciłam z Filipin, gdzie natrafiłam na ślady polskich mazurków, a w zeszłym tygodniu przyleciałam z Los Angeles, gdzie zagraliśmy z zespołem muzykę z filmu „Chłopi". Nie ruszam się w trasy bez suki biłgorajskiej i fideli płockiej.

Wracając na polski grunt – drugi z zaginionych instrumentów, który przywróciła pani do życia, nosi już przyzwoitą nazwę. Fidel płocka. Jaka jest jej historia?

Kilka miesięcy po otrzymaniu od Andrzeja Kuczkowskiego suki biłgorajskiej, zamówiłam u niego kolejny instrument, tym razem wykopaliskowy, zwany fidel płocka. W 1985 r., podczas wykopalisk w Płocku, znaleziono w studni dobrze zachowany instrument, prawdopodobnie z XVI w., więc – w odróżnieniu od suki – mieliśmy oryginał, na którym mogliśmy się wzorować. Jeśli chodzi o wiedzę na temat suki biłgorajskiej w latach 90., to była ona kilkukrotnie większa niż wiedza na temat fideli płockiej. Trzydzieści lat temu oprócz wąskiego grona naukowców z Ewą Dahlig na czele, która była naocznym świadkiem wydobycia z ziemi oryginału instrumentu, nikt o istnieniu chordofonu płockiego nie wiedział. Nie było też wielu zainteresowanych rekonstrukcją brzmienia odnalezionego instrumentu. To był temat nieruszony i nieznana bezludna wyspa. Wszystko trzeba było zbudować prawie od zera. Opracowałam wraz z Andrzejem Kuczkowskim większe od oryginału wymiary instrumentu. Metodą prób i błędów wymyśliłam, jakich strun używać, jak stroić instrument, jak grać (technika prawej i lewej ręki) i co grać (repertuar). To było bardzo wielkie wyzwanie. Jest jeszcze dość istotna sprawa nazwy instrumentu. Gdy zaczęłam na scenie w roku 1996 prezentować pierwszą grającą kopię wykopaliska, jej dźwięk, historię i budowę, nazywałam ją chordofon płocki, czyli instrument strunowy z Płocka. Naukowcy twierdzą, że w XVI w. na tego typu instrumentach stosowane były zamiennie zarówno technika gry na gitarze (szarpana), jak i gra smyczkiem. Po kilku miesiącach pracy zdecydowałam jednak, że chordofon płocki będzie głównie instrumentem smyczkowym. Po koncertach, wykładach czy pogadankach publiczność miała często problemy z zapamiętaniem terminu „chordofon". Pytali o hydrofor, kordłofon czy chordy smyczkowe. W pewnym momencie doznałam olśnienia. Zmieniam nazwę na fidel płocka, co z aprobatą Ewy Dahlig i Andrzeja Kuczkowskiego uczyniłam. Nowa nazwa instrumentu błyskawicznie „się przyjęła". Od czasu do czasu zdarzały się też zabawne sytuacje. Oto jedna z nich. Pewnego dnia pisałam na komputerze tekst na temat fideli płockiej. Za każdym razem, gdy wpisywałam nazwę instrumentu, wyskakiwała informacja, że to błędne słowa. Poprosiłam zatem komputer o propozycję ich poprawy. I co wyskoczyło? Fidel Castro. Jak wspominałam, w trasy koncertowe nie ruszam się bez suki i fideli. Ich polskość jest moją siłą.

Akwarela Wojciecha Gersona z końca XIX w. Na jej podstawie powstała muzealna rekonstrukcja suki biłgorajskiej FOT. MNW

Dlaczego?

Bo to jest autentyczne. To żywa historia. Bo gdy gram np. na sarangi w Azji, Afryce czy Ameryce, to kim ja jestem? Ciekawostką. Ale kiedy gram na zrekonstruowanym polskim instrumencie, który ciekawie brzmi, kiedy stosuję odtworzoną przez siebie technikę gry i repertuar, to jest to coś zupełnie innego. Bo jestem z Polski i ma to sens. I mogę w ten sposób promować mój kraj w salach koncertowych całego świata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 69da641fd5

Poza dobrem i złem

Piotr Gociek

Utalentowany pan Ripley znowu oszukuje i zabija. Dlaczego ta postać tak fascynuje współczesną widownię? Czy to symbol areligijnej nowoczesności?

Andrew Scott jako Tom Ripley w produkcji Netflixa FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wszystko zaczęło się w roku 1952. Pewnego ranka, patrząc w Positano na plażę z balkonu hotelowego pokoju, Patricia Highsmith ujrzała idącego plażą samotnego mężczyznę. Był mocno wzburzony. Tak w jej wyobraźni narodził się Tom Ripley. Choć w innym wywiadzie mówiła: Dick Greenleaf. Sądzę, że myliła tropy celowo – wszak w jej słynnej powieści „Utalentowany pan Ripley" przychodzi czas, kiedy Ripley i Greenleaf to ta sama osoba. Wspomnijmy pokrótce intrygę: Ripley, drobny oszust szlifujący bruki Nowego Jorku, zostaje wynajęty przez magnata przemysłu stoczniowego, by pojechać do Włoch i namówić dziedzica fortuny Greenleafów do powrotu do domu. Zamiast wykonać zadanie, Ripley wkrada się w łaski Dickiego i przyjdzie czas, kiedy odbierze mu nie tylko pieniądze i życie, lecz także tożsamość.

Powieść ukazała się w roku 1955 i należy do szczytowych oraz najpopularniejszych osiągnięć autorki „Słodkiej choroby" i „Nieznajomych z pociągu". Amoralny Tom Ripley okazał się zaś postacią tak fascynującą czytelników i intrygującą dla samej pisarki, że powstały o nim jeszcze cztery powieści – cykl zwany „Ripleyadą". Fascynował także filmowców – pierwsza kinowa adaptacja powstała we Francji. Film René Clémenta „W pełnym słońcu" („Plein Soleil", 1960) był okazją, by w roli Ripleya zabłysnął Alain Delon, emanujący charyzmą jak nigdy.

W najnowszej wersji – serialu Netflixa stworzonym przez Stevena Zailliana – głównego bohatera gra Andrew Scott. Opowieść jest czarno-biała, inspirowana artystyczną fotografią i kinem włoskiego neorealizmu. Za niezwykłe zdjęcia odpowiada operator Robert Elswit (wieloletni współpracownik Paula Thomasa Andersona), swego czasu nagrodzony Oscarem za zdjęcia do „Aż poleje się krew". Sam Steven Zaillian to też nie byle kto: scenarzysta „Listy Schindlera" (Oscar), „Gangów Nowego Jorku", „Irlandczyka", „Moneyball". Ma też doświadczenie jako reżyser („Szachowe dzieciństwo", „Adwokat", „Wszyscy ludzie króla") i stworzył serial „Długa noc" dla HBO.

ZBĘDNY ROZMACH

Zaillian zabrał się do swojej wersji Ripleya z rozmachem, który zdaje mi się niepotrzebny; seria wydaje się niemożliwie rozciągnięta i do przesady wystylizowana. Cóż z tego, że pojedyncze sceny bywają perełkami, kiedy całość jednak męczy? Dotyczy to zwłaszcza pierwszych dwóch odcinków – kiedy zawiązuje się intryga, Ripley przybywa do Włoch i poznaje Greenleafa oraz jego kochankę Marge. Leniwy, pełen znużenia – jeśli nie wprost nudny – nastrój tych dwóch godzin najbardziej zirytuje tych, którzy wielbią kinową wersję z 1999 r. Anthony Minghella obsadził w rolach głównych Matta Damona, Jude'a Lawa oraz Gwyneth Paltrow – wszyscy byli magnetyczni, a duszna atmosfera romansu i występku – obezwładniająca. Dickie i Marge w serialu (odpowiednio Johnny Flynn i Dakota Fanning) są nieciekawi. Sam Ripley w wersji Andrew Scotta jest nijaki i równie fascynujący, jak stare wymięte prześcieradło. Nie ma w nim ani utraconej niewinności, którą dał tej postaci Matt Damon, ani zwierzęcego magnetyzmu Alaina Delona.

A mieliśmy przecież i innych ciekawych ekranowych Ripleyów. Z drugą

eprasa.pl 69da641fd5

powieścią serii („Gra Ripleya") zmierzył się w 1977 r. Wim Wenders, kręcąc jeden ze swych najbardziej znanych filmów – „Amerykański przyjaciel". Tam popis aktorski dali Dennis Hopper jako Ripley oraz Bruno Ganz jako ofiara jego knowań. W roku 2002 dostaliśmy „Grę Ripleya" (pod tym właśnie tytułem) w wersji reżyser Liliany Cavani – tam podstarzałym Ripleyem był John Malkovich. Kto ma rację? Czyja interpretacja jest właściwa? Można uciec od odpowiedzi na to pytanie, bo Ripley to człowiek bez właściwości, niczym przelewana z naczynia do naczynia ciecz przybierze taki kształt, jaki nada mu forma, w którą go wtłoczymy. Tu pomysł Stevena Zailliana jest trafny – serialowy Ripley, w chwili gdy spotykamy go na ulicach Nowego Jorku, to osobnik zupełnie nijaki. Prywatnie pretensję mam o to, że powinien być młodszy, bo takie wrażenie wyniosłem z powieści Patricii Highsmith, ale przecież wrażenia każdy ma tylko własne, więc nie będę się jakoś zaciekle spierał.

W produkcji Netflixa naprawdę ciekawe rzeczy zaczynają się dziać w epizodzie trzecim, gdy przychodzi czas na pierwsze morderstwo. Podczas morskiej wycieczki łódką Ripley zabija Dickiego i pozbywa się ciała. Ale morderstwo to trudny i niebezpieczny fach. Rozbudowana sekwencja, w której Ripley desperacko walczy o to, by jego plan w pełni się powiódł, zamienia się w kawałek kina w najlepszym stylu Hitchcocka. (Sama Higshmith – dodajmy – ze wszystkich ekranizacji swoich książek najbardziej lubiła „Nieznajomych z pociągu", nakręconych przez Hitchcocka w 1951 r.). Emocje rosną w drugiej połowie serialu, kiedy Ripley jest już dwukrotnym mordercą, za którym podąża włoski inspektor Pietro Ravini (gra go Maurizio Lombardi).

Gra w kotka i myszkę to przecież to, co napędza najlepiej kryminały i thrillery. A Ripley we wszystkich powieściach Highsmith uchodzi cało z największych opresji. Ileż razy wydaje się czytelnikowi, że oszust znalazł się w sytuacji bez wyjścia i policja wreszcie go zdemaskuje? Nigdy jednak do tego nie dochodzi. Ba, w finale pierwszej książki wydaje się, że będzie żył w ciągłym strachu i przygnieciony wyrzutami sumienia: Ripley wyobraża sobie, że policjanci już na niego czekają. „Czy odtąd będzie widział policjantów na każdym nabrzeżu, do którego przybije? W Aleksandrii? Istambule? Bombaju? Rio? Nie ma sensu o tym myśleć. Wyprostował ramiona. Nie ma sensu psuć sobie podróży myśleniem o wyimaginowanych policjantach". Nie ma sensu psuć sobie humoru, bo Ripley jest bohaterem bez sumienia, jest kimś, kto istnieje poza dobrem i złem.

OSZUŚCI ZAWSZE WYGRYWAJĄ?

Kluczem do zrozumienia tej postaci nie są kolejne ekranizacje powieści „Utalentowany pan Ripley", lecz poglądy pisarki na świat i ludzi. Była ona samotniczką i mizantropką, uważała, że oszuści zawsze wygrywają, bo taka jest ludzka natura. W Boga nie wierzyła, a z tych, którzy oczekują szczęśliwych zakończeń, kpiła w swoich książkach okrutnie. Czarny humor mizantropa to jedna z mniej docenianych, a kluczowych cech jej pisarstwa. W wywiadzie dla telewizji francuskiej w 1971 r. mówiła, że im dłużej żyje, tym lepiej rozumie Woltera, który w pewnym momencie zaczął pisać satyry. Tylko w ten sposób da się opisywać świat.

Spory o Ripleya są w istocie zderzeniem świata starego i nowego. René Clément, reżyser „W pełnym słońcu", zmienił zakończenie powieści – w jego wersji Ripley zostaje schwytany. Opowiadał, że nie mogło być inaczej, bo przecież prawdziwa transgresja jest niemożliwa. Zatem jego zakończenie jest realistyczne. Miał w głowie jeszcze jedno zakończenie – które jeszcze bardziej zirytowałoby Highsmith – oto Ripley uchodzi pościgowi, ale sam podejmuje decyzję, by oddać się w ręce sprawiedliwości. Jest to bowiem jedyny sposób na powrót do struktury społecznej. Ripley oszust i wyrzutek marzy przecież o zajęciu cudzego miejsca na społecznej drabinie, bo gdy zaczyna, jest nikim, jest wzorem outsidera. Decyzja o poddaniu się karze byłaby więc spełnieniem marzenia: może nie pełniłby w społeczeństwie funkcji, o której marzył, ale pełniłby jakąkolwiek.

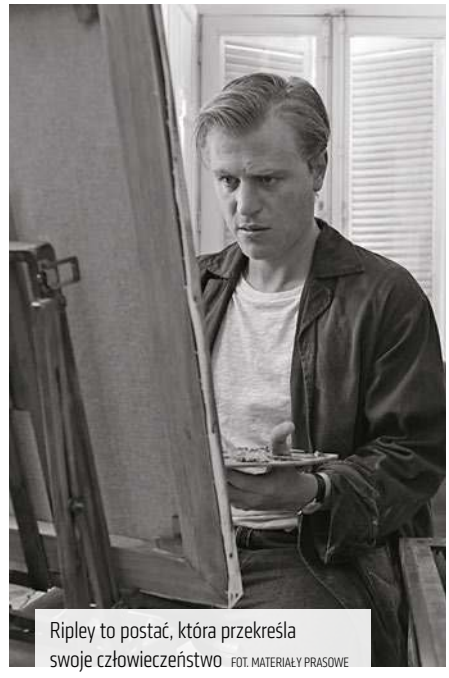

Ripley to postać, która przekreśla swoje człowieczeństwo FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Patricia Higshmith odrzuca takie rozumowanie. W znakomitym eseju „Tom Ripley and the Meaning of Evil" brytyjski filozof John Gray tłumaczy, że bohater Highsmith nie może być spętany takimi więzami, bo w jego świecie nie istnieje coś takiego jak zło. Nie może być więc winy, pokuty, odkupienia, wyrzutów sumienia. To świat bez religii, w którym zło jest przesądem. Gray przypomina też, że nawet na tle ateistów Highsmith była radykalna. Bo i ateiści uważają, że moralność jest zakorzeniona w naturze ludzkiej. Zdaniem Highsmith – wcale nie. „W Ripleyu przeraża nie obraz zła, które tak wiele osób w nim widziało, lecz obraz istoty ludzkiej, której brakuje pojęcia zła" – konkludował John Gray.

Wszystko to doskonale wyjaśnia, dlaczego Ripley stał się tak popularną figurą w popkulturze drugiej połowy XX w. i w czasach współczesnych. W epoce areligijnej postnowoczesności. Nie mogło być inaczej. Ale jednocześnie to tłumaczy, dlaczego mam pretensję do Stevena Zailliana i Andrew Scotta o wybór, którego dokonali, próbując uczłowieczyć Ripleya. (Scott wprost opowiada w wywiadach, że to było jego głównym celem). Otóż nie można go uczłowieczyć i nie ma potrzeby, by podejmować takie działania. Jako przybysz spoza sfery dobra i zła Ripley przekreśla swoje człowieczeństwo. Jest wirusem, którego główną zaletą jest doskonałe imitowanie komórek, które zamierza zniszczyć, by zająć ich miejsce. Jedyną rzeczą, za którą można podziwiać wirusa, jest jego mordercza skuteczność. Reszta to okrutny żart Patricii Highsmith.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 69da641fd5

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

HBO max

Dzieci Hollywood

Nie podoba mi się, że ten facet wciąż chodzi wokół mojego dziecka" – powiedział pewnego razu Joe Bell do jednej z producentek. Działo się to za kulisami popularnego show dużego kanału dla dzieci. Nieletni syn Bella, Drake, spędzał coraz więcej czasu z instruktorem wymowy. Mężczyzna wchodził do jego garderoby, pomagał się ubierać. Chłopiec był dotykany na różne sposoby przez Briana Pecka. Zatroskany ojciec usłyszał w odpowiedzi, że pan Peck jest gejem, więc Bell senior, formułując swe wątpliwości, dopuszcza się aktu homofobii. Gdy nie ustępował i podzielił się swoimi podejrzeniami z innymi ludźmi na planie, został poddany ostracyzmowi. Peck – pedofil drapieżca i wyborny manipulator – zdołał wykorzystać ten fakt, by przekonać dziecko, że pan instruktor jest dla niego ważniejszy od rodziców i lepiej wie, co robić dla jego dobra. Historia skończyła się ponuro. Po latach ofiara, Drake Bell, opowiada o wszystkim przed kamerą.

Serial dokumentalny „Cisza na planie" opowiada o toksycznej kulturze przyzwolenia, która panowała pod koniec lat 90. i w kolejnej dekadzie na planie produkcji Nickelodeonu. Zastraszanie, praca ponad siły, przemoc psychiczna, zmuszanie dzieci do udziału w gagach wątpliwej jakości, daleko posunięta seksualizacja ich wizerunku. Potem wyszło na jaw, że działało w tym środowisku trzech pedofilów, na których dziwne obyczaje korporacja przymykała oczy. A kiedy afera wybuchła, okazało się, że niejedna persona woli podpisywać listy w obronie oskarżonych (a potem skazanych), zamiast solidaryzować się z ofiarami.

Dokument autorstwa Mary Robertson i Emma Schwartz jest nierówny. Kto pracuje w show-biznesie czy mediach, ten wie, że praca w niedzielę czy święta nie jest żadną rzadkością. Nie oznacza to, że producenci są panami i władcami życia swoich pracowników. Ale najważniejszy i najbardziej wstrząsający jest tu skandal pedofilski: dzieci mają traumę do końca życia, wyroki są krótkie, niektórzy sprawcy pracują dalej. Pieniądz jest najlepszą tarczą dla sprawców dopóty, dopóki ich produkcje przynoszą krocie, drapieżniki różnego rodzaju czują się bezpiecznie. Media podnoszą larum, potem zapominają. Aż do następnego skandalu, do kolejnego dokumentu. I tylko strach myśleć o tym, co na światło dzienne nie wypłynęło. ©℗

★★★★☆☆
MINISERIA „CISZA NA PLANIE" („QUIET ON SET: THE DARK SIDE OF KIDS TV")
USA 2024

NOWE SERIALE: „OURIKA"

prime video

Miał być bankierem, będzie gangsterem. Najmłodszy syn rodu Jebli musi wziąć odpowiedzialność za narkotykowy biznes rodziny. Od płonących przedmieść Paryża do gór Maroka, od ulicznych bójek do negocjacji z politykami. Francuski serial kryminalny wymyślony przez rapera Boobę (zagrał też bandziora Metisa). Na pierwszym planie mamy jednak pojedynek Dissy Jebli ze ścigającym go młodym policjantem Williamem. ©℗

Piotr Gociek

- ***sezon 1 „Ourika", Francja 2024***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *miniserial **„Franklin"**, USA 2024* — tv+
- *miniserial **„Dżentelmen w Moskwie" („A Gentleman in Moscow")**, Wielka Brytania 2024* — sky SHOWTIME
- *sezon 1 **„Fallout"**, USA 2024* — prime video

eprasa.pl 69da641fd5

KINO

Jak zdobyć dziewczynę

Kino historyczne od zarania cierpi na schizofrenię. Z jednej strony wielkim nakładem sił oraz kosztów próbuje zrekonstruować przeszłość. Z drugiej – gustuje w postaciach, które myślą, mówią i zachowują się zgoła współcześnie. Premiera „Czerwonych maków" zbiegła się w czasie z 80. rocznicą bitwy, a także z ogłoszeniem wyników sondażu o gotowości Polaków do obrony ojczyzny. Wynika zeń, że gdy zrobi się gorąco, nasza młodzież da drapaka. Jędrek, który przybył do słonecznej Italii z armią Andersa, jest ulepiony z tej samej gliny. Żołnierzy szturmujących Monte Cassino ma za frajerów albo samobójców. Łukaszewicz terminował u Hoffmana, lecz to mylny trop: ladaco z „Czerwonych maków" w odróżnieniu od Kmicica nie przechodzi przemiany. Nadstawia karku tylko dla panienki, do której smali cholewki. Generacja Kolumbów była inna, skłonna do poświęceń. Bieganina Jędrka (pozbawionego hełmu i broni) po zdobywanym wzgórzu zatrąca o groteskę. W dwugodzinnym filmie batalistyka zajmuje może 20 minut. Na więcej nie starczyło pieniędzy. Trudniej rozgrzeszyć upór w powielaniu fabularnych szablonów i chybiony wątek romansowy. A co z polityką historyczną? Dostaje się Rosjanom, Włochom, Anglikom, „kutafonom z Londynu", najmniej Niemcom, których zresztą na ekranie prawie nie widać. Ukryli się, dranie. ©℗

★★☆☆☆☆
REŻ. KRZYSZTOF ŁUKASZEWICZ
„CZERWONE MAKI"
POLSKA 2023

wyst. Nicolas Przygoda, Leszek Lichota, Michał Żurawski

Wiesław Chełmniak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

MIECZ I MAGIA

YouTube

★★★★☆☆
REŻ. FRITZ LANG
„NIBELUNGI"
NIEMCY 1924

wyst. Paul Richter, Margarete Schön, Hanna Ralph

Hitler dopiero śnił o potędze, gdy niemiecka kinematografia już była światowym mocarstwem. Sto lat temu wytwórnie z Berlina połączyły siły, by zekranizować „Pieśń o Nibelungach". Ku pokrzepieniu serc, złamanych przez traktat wersalski. Germańska skłonność do romantyzmu i fatalizmu znalazła wierne odzwierciedlenie na taśmie filmowej. Bohaterowie – od wzorowanego na Achillesie Zygfryda do mściwej niczym Elektra Krymhildy – są naznaczeni klątwą, przed którą nie ma ucieczki. Dwie części, pięć godzin oglądania. Pomijając histeryczne aktorstwo i ślamazarnego smoka, film „Nibelungi" zaskakująco dobrze zniósł próbę czasu. Gottfried Huppertz, autor muzycznej oprawy, nie podrabiał oper Wagnera, monumentalizm łagodzą zaś dekoracje w duchu art déco. Epos Langa długo rezonował w radzieckich i hollywoodzkich superprodukcjach, a on sam przed emigracją podarował Niemcom jeszcze jedno arcydzieło: „Metropolis". ©℗

KAWAŁ Z BRODĄ

KINO

★★★☆☆☆
REŻ. STÉFANIE DI GIUSTO
„ROSALIE"
FRANCJA/BELGIA 2023

wyst. Nadia Tereszkiewicz, Benoît Magimel, Benjamin Biolay

Święta Wilgefortis, módl się za nami. Epoka gorsetów miała pewien wdzięk, lecz dla feministek jest ona tym, czym dla chrześcijan były rządy Dioklecjana – erą prześladowań. Historię zanadto owłosionej Rosalie zdominował wątek martyrologiczny. Od dziecka zmuszana przez ojca do ukrywania odmienności, nie znajduje też oparcia w małżonku, spłukanym inwalidzie wojennym. Harde dziewczę odrzuca pokusę konformizmu i wykorzystuje pierwszy pretekst, by przestać się golić. Skutki tego coming outu przewidzieć łatwo. Lokalna społeczność, sympatyzująca wcześniej z Rosalie, szczerze ją znienawidzi. Lincz wisi w powietrzu. „Wszystkie jesteśmy szczególnymi przypadkami" – przekonuje przeorysza, lecz autorki filmu od światłocienia wolą ckliwą hagiografię. Bohaterka jest piękna, mądra, zaradna i uśmiechnięta. Gdyby nie staroświecki mąż, pewnikiem zrobiłaby karierę w branży rozrywkowej.

Wiesław Chełmniak

GRA TYGODNIA: „FERNBUS SIMULATOR" (DLC POLSKA)

★★★★☆☆

Prawie 700 km nowych tras i polskie miasta zyskujemy za sprawą najnowszego DLC do „Fernbus Simulator". „FS" to symulator jazdy autobusem międzymiastowym. Tematyka niszowa, a z niewielkiego wybory tytułów ten jest godny polecenia. Zwłaszcza teraz, gdy dostaliśmy do dyspozycji kilka polskich miast, m.in. Warszawę, Kraków i Gdańsk. Gra ma swoje plusy, jak choćby nieźle odwzorowane pojazdy, niemało minusów, np. problemy z płynnością i taką sobie oprawę graficzną, ale przecież jeśli przy naszym przystanku zatrzymuje się tylko jeden autobus, to nie kręcimy nosem, tylko wskakujemy! ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *symulator*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent; wydawca:*** *TML-Studios; Aerosoft GmbH*

eprasa.pl 69da641fd5

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Bitwa o „Bitwę…”

Pasjonującą historię wojennych losów „Bitwy pod Grunwaldem” Jana Matejki, obrazu zajmującego absolutnie wyjątkowe miejsce w naszej kulturze i historii, przedstawia Joanna Jodełka w swojej najnowszej powieści, która aż się prosi o zekranizowanie. Jest w niej bowiem wszystko to, czego oczekujemy od polskiego filmu – jednocześnie ważnego i mądrego, z wcale niejednowymiarowymi bohaterami, z solidną podbudową historyczną i czytelnym przesłaniem, a przy tym ciekawego, ba, frapującego. Filmu potrzebnego!

Na razie mamy powieść. Oddającą hołd dzielnym ludziom, którzy uratowali „Bitwę pod Grunwaldem” przed zniszczeniem. III Rzesza, niepotrafiąca pogodzić się z klęską poniesioną przez zakon krzyżacki w największej bitwie średniowiecznej Europy, wydała bowiem wyrok na płótno Jana Matejki. Goebbels przeznaczył 2 mln reichsmarek (sumę podniesiono następnie do 10 mln!) na nagrodę dla tego, kto wskaże, gdzie znajduje się obraz, o którym po jego berlińskiej prezentacji w 1879 r. tak pisano w „National Zeitung”: „Zakon krzyżacki był na barbarzyńskim wschodzie pionierem kultury. Kraje zaludnił kolonistami niemieckimi, a celem późniejszego panowania Polski w tych okolicach było tę kulturę, owoc długiej pracy, wszelkimi środkami wyrugować. Matejko uwydatnia potęgę bezmyślnych władz nad inteligencją. Kiedy się widzi Tatara, zarzucającego niemieckiemu rycerzowi powróz na szyję, by zrzucić go z konia, nasuwa się myśl: oto zwycięstwo barbarzyństwa nad kulturą”.

A „Berliner Fremdenblatt” tak ten „przejaw polskiej chorej melancholii i niezrozumienia historii” podsumowywał: „Taki obraz powstać nie powinien. Należałoby go zniszczyć”. I zapewne spłonąłby on na stosie ku radości potomków dawnych Teutonów, gdyby nie ofiarność i zapobiegliwość pracowników Zachęty, jeszcze przed wybuchem drugiej wojny planujących wywiezienie i zabezpieczenie gigantycznego (ważącego wtedy pół tony) dzieła. A gdy, już we wrześniu 1939 r., od wojska zależało udostępnienie odpowiedniego środka transportu, a wszechwładny oficer zbywał natrętnych cywili argumentami w rodzaju: „Wszystkiego brakuje, a ci chcą mi tu obwoźne muzeum zrobić”, z ust Stanisława Ejsmonda, malarza, wiceprezesa Zachęty, usłyszeć miał: „Jednym samochodem pan wojny nie wygrasz, ale jednym samochodem może pan, panie pułkowniku, tę »Bitwę« jeszcze ocalić! Dla narodu całego! Aby nie spłonęła pamięć o największej glorii polskiego oręża”.

„Bitwę pod Grunwaldem” już wcześniej ratowano przed pierwszą wojną. Wtedy została wywieziona do Moskwy, skąd wróciła po podpisaniu traktatu ryskiego. Teraz wywieziono ją, zachowując wszelką możliwą dyskrecję, do Lublina. Dotarł tam obraz 9 września i jeszcze tego samego dnia Stanisław Ejsmond wraz z towarzyszącym mu drugim malarzem, Bolesławem Surałłą-Gajduczenim, zginęli na skutek nalotu bombowego, tego samego, który pozbawił życia znanego poetę, Józefa Czechowicza. Odtąd dziełem Matejki zajął się intendent Muzeum Lubelskiego, prof. Władysław Woyda, kolejny człowiek świadomy niezwykłego znaczenia „Bitwy pod Grunwaldem”.

Obraz był ukrywany niczym największy skarb. Bo też był to skarb bezcenny. Poszukującym go Niemcom nie udało się go zdobyć, choć stosowali cały wachlarz przekupstw i gróźb. W końcu po fałszywej wiadomości londyńskiego radia, jakoby „Bitwa…” dotarła do Anglii, zaniechano poszukiwań. Tymczasem płótno, kolejny raz przepakowane na specjalny rulon, trafiło do wsi pod Lublinem i tam doczekało końca wojny. „Żadne płótno tego rodzaju i tej wagi [obecny wymiar 426 x 987 cm] – czytamy – nie spędziło ponad tysiąca dni pod ziemią! Jak w grobie”.

Przyjęta przez autorkę formuła powieściowa pozwoliła na wzbogacenie opowiadanej historii o wiele wątków ukazujących całe spectrum antypolskich działań prowadzonych przez hitlerowskie Niemcy. Między innymi o opowieść o grabieży polskich dóbr kultury, w której rywalizowali ze sobą Himmler i Goering, a Hans Frank, pospolity złodziej, wyciągał łapy po wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Gdy ten ostatni postanowił „nawiedzić” Lublin, mądrzy ludzie stojący w mieście pomnik Jana Kochanowskiego zdemontowali i… zakopali tuż obok. Przetrwał. I on, i „Bitwa pod Grunwaldem”.

I jeszcze ciekawostka. W sumie odbyła „Bitwa…” 32 dalekie podróże. Ostatni raz opuściła Warszawę w 1999 r. Pojechała do Wilna, gdzie w ciągu miesiąca obejrzało ją 200 tys. osób. A witana była z honorami, „utkano nawet specjalny dywan, by nie drżała podłoga pod stopami zwiedzających”. My możemy oglądać „Bitwę pod Grunwaldem” w Muzeum Narodowym i cierpliwie czekać na film o jej wojennych losach. Skoro dużą popularnością cieszyła się kryminalna komedia „Vinci” o wymyślonej próbie kradzieży „Damy z łasiczką”, to prawdziwa historia ocalenia arcydzieła Matejki przed zagładą też znajdzie swoją widownię. ©℗

★★★★★

JOANNA JODEŁKA „2 MILIONY ZA GRUNWALD” ZYSK I S-KA, POZNAŃ 2023

eprasa.pl 69da641fd5

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wściekłe pięści

Na Nicka De Semlyena zwróciłem uwagę dzięki książce „Wild and Crazy Guys", w której opisywał ze smakowitymi szczegółami świat amerykańskiej komedii filmowej z lat 80. Było co opisywać, bo i bohaterów miał barwnych: John Belushi, Dan Aykroyd, Chevy Chase, Eddie Murphy – długo by wymieniać. Polski czytelnik ma teraz okazję poznać amerykańskiego krytyka dzięki opowieści nie mniej ciekawej i też powracającej do dekady, którą kiedyś Quentin Tarantino nazwał najgorszym dziesięcioleciem w historii kina. Miliony kinomanów nie zgadzają się w tej kwestii z autorem „Pulp Fiction" – jestem wśród nich.

Książka „Bohaterowie ostatniej akcji. Triumfy, klęski i konflikty hollywoodzkich Królów Rozwałki" trafia do nas w chwili, kiedy tęsknota za latami 80. narasta, a ciekawość fanów zaspokajają filmy dokumentalne o Arnoldzie Schwarzeneggerze czy Sylvestrze Stallone. Ale przecież „bohaterów ostatniej akcji" było więcej; De Semlyen w kolejnych rozdziałach przygląda się karierze Chucka Norrisa, Jeana-Claude'a Van Damme'a czy Stevena Seagala (który z nich wszystkich upadł najniżej, zmieniając się po latach w trolla Putina). Opisuje przemianę Bruce'a Willisa z gwiazdy telewizyjnej komedii w kinowego twardziela. I tak dalej.

Intrygująca to była fala: dla jednych nierozerwalnie związana z czasem optymizmu i zdecydowania polityki Reagana, dla innych był to jedynie dowód degeneracji filmowej rozrywki, która zamieniła się w wielką rewię wybuchów, strzelanin i turnieje prężenia muskułów. Kpijcie, ile chcecie, ale to twardziele mieli rację. Większość hitów kina akcji lat 80. przy każdej powtórce telewizyjnej gromadzi wielką widownię, wciąż rozchwytywana jest przez serwisy streamingowe, pojawia się w ekskluzywnych specjalnych boxach edycji Blu-ray.

Kto wierzył w sukces, a kto tylko cynicznie chciał zarabiać na modzie? Którzy z kinowych mięśniaków skakali sobie do gardeł poza planem? Dlaczego złota era dobiegła końca? (Stallone odpowiada, że przez „Batmana" Tima Burtona, bo od tej chwili kostiumy i efekty specjalne stały się ważniejsze od pięknie uformowanych mięśni). Nick De Semlyen snuje swą opowieść barwnie, gromadzi insiderską wiedzę, nie szczędzi szczegółów skandali i skandalików. Czyta się to świetnie, często z uśmiechem na twarzy. ©℗

★★★★☆☆

NICK DE SEMLYEN „BOHATEROWIE OSTATNIEJ AKCJI" WYDAWNICTWO OPEN BETA

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Świadectwo wewnętrznej emigracji pisarza, który w reakcji na dojście do władzy Hitlera nawrócił się na katolicyzm. Zapiski z lat 1938–1944; w roku 1945 ich autor zginął w obozie w Dachau.

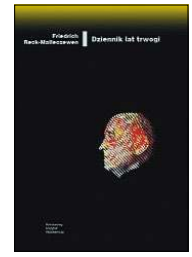

FRIEDRICH RECK-MALLECZEWEN „DZIENNIK LAT TRWOGI" PIW

Podtytuł: „Jak umysł kreuje język". Jedna z najpopularniejszych książek znanego psychologa i językoznawcy – to objaśnienie jego teorii i badań powstało z myślą o szerokiej publiczności.

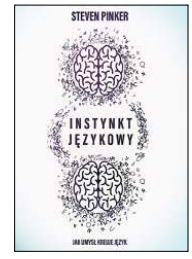

STEVE PINKER „INSTYNKT JĘZYKOWY" ZYSK I S-KA

Polscy czytelnicy znają jedną z ciekawszych amerykańskich pisarek młodego pokolenia z powieści „Arkadia" czy „Fatum i furia". Teraz otrzymują zbiór opowiadań, od którego zaczęła się jej kariera. Zasłużenie.

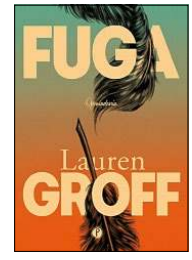

LAUREN GROFF „FUGA" WYDAWNICTWO PAUZA

Wczesne, uważane za zaginione opowiadania Pratchetta. Już zabawne i pomysłowe, jeszcze nie tak mizantropiczne. A na finał pierwsza przymiarka do tego, co później stało się serią „Świat Dysku".

recenzuje Piotr Gociek

TERRY PRATCHETT „POCIĄGNIĘCIE PIÓRA" PRÓSZYŃSKI I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „JENNY FINN"

Niby kolejna opowieść grozy osadzona w czasach wiktoriańskich, „penny dreadful" o dziwacznych stworach i tajemniczych morderstwach. Jednak Mike Mignola i Troy Nixey sięgają głębiej: ich alternatywna rzeczywistość to świat, w którym ludzka cywilizacja powstaje nie z inspiracji Boga, lecz demiurga. Nie dziwi więc, że jest to świat koszmarów rodem z Lovecrafta.

Piotr Gociek

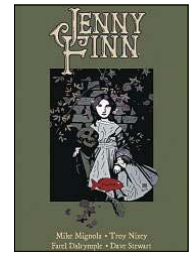

AUTORZY RÓŻNI „JENNY FINN" EGMONT STORYHOUSE 2024

eprasa.pl 69da641fd5

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Polarnicy w Puławach

Wpełni i oficjalnie otwarto je w lutym, ale w zimie to średnia przyjemność, za to ciepłą wiosną lub upalnym latem można pomyśleć o chłodzie i odwiedzić nowe muzeum na mapie Polski – Muzeum Badań Polarnych w Puławach. Dlaczego w Puławach? A dlaczego nie, skoro to w tamtejszym gimnazjum w latach 30. XX w. nauczał Aleksander Kosiba, organizator pierwszej polskiej wyprawy na Grenlandię i późniejszy profesor Uniwersytetu Wrocławskiego?

O dokonaniach polskich polarników i o znaczeniu badań polarnych nie mówi się zbyt wiele. W jedynym poświęconym im polskim muzeum opowiadają o nich różne eksponaty – od tych największych, jak śmigłowiec, który służył naszym polarnikom i przedmiotom ze stacji badawczych (np. sanie, narty, skuter śnieżny), poprzez fotografie filmy, wywiady, dzieła sztuki, aż do okazów fauny, np. czterometrowej szczęki wieloryba. ©℗

FOT. MUZEUM BADAŃ POLARNYCH W PUŁAWACH

GDZIE? ***Muzeum Badań Polarnych w Puławach***
KIEDY? ***ekspozycja stała***

FOT. KORDEGARDA

SADLEY I UCZNIOWIE

„Wojciech Sadley należy bezspornie do tytanów polskiej tkaniny artystycznej" – pisze Katarzyna Haber, kurator wystawy „Wojciech Sadley i uczniowie", która prezentuje prace Sadleya oraz Bogusławy Jaroszewicz-Fogler, Zygmunta Łukasiewicza, Małgorzaty Martynowicz Laird oraz Anny Michniewicz. „Rzeczą nieczęstą jest, by artyści wywodzący się z jednej pracowni, [...] razem pracujący i wystawiający, mieli tak odmienny i zindywidualizowany język twórczy" – zauważa Katarzyna Haber. ©℗

GDZIE? ***Warszawa, Kordegarda***
KIEDY? ***do 19 maja***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Ku tradycji

Trzy lata temu Cedric Burnside otrzymał za płytę „I Be Trying" nagrodę Grammy w kategorii Najlepszy Tradycyjny Album Bluesowy. Najnowsza płyta 46-letniego gitarzysty jest również utrzymana w stylistyce Hill Country bluesa.

Blues z regionu Hill Country charakteryzuje się uwypuklonym rytmem, stałymi riffami gitarowymi, niewielką progresją akordów oraz naciskiem na muzyczny klimat określany jako „hipnotyczne boogie". Najsłynniejszym wykonawcą tego stylu był „Mississippi" Fred McDowell. Jego utwór „You Got to Move" wykonywali Rolling Stonesi i znajduje się również na omawianej płycie. Przyjacielem Freda był dziadek Cedrica, RL Burnside.

„Jedną z cech Hill Country bluesa jest monotonny, hipnotyczny rytm. Jest zawsze obecny bez względu na to, w którym kierunku płynie muzyka" – tłumaczy Burnside. Płyta „Hill Country Love" zawiera zarówno tradycyjne bluesy akustyczne, jak i elektryczne zespołowe granie. Została nagrana w 150-letnim budynku w Ripley w stanie Missisipi, przypominającym stare juke joint, czyli miejsca weekendowych spotkań czarnych społeczności. Słuchając płyty, ma się wrażenie przebywania na zabawie przyjaciół. Muzyka płynie wartko, utwory są nieskomplikowane, grane bez fajerwerków czy blichtru, ale za to są wykonywane z zaangażowaniem i przepełniają je autentyczne emocje. ©℗

★★★★★★
CEDRIC BURNSIDE
„HILL COUNTRY LOVE"
PROVOGUE

★★★★☆☆
UNRI
„INFINITE REFLECTIONS"
ASTIGMATIC

Jazzowo-elektroniczna muzyka tła o hip-hopowych beatach. Ładnie buja, nie przeszkadza, a nawet wprowadza w miły nastrój. Liderem projektu jest perkusista Chiminyo (Cykada, Maisha), jeden z liderów nowego UK Jazzu.

★★★★★☆
THE JESUS AND MARY CHAIN
„LASGOW EYES"
FUZZ CLUB

Bracia Jim i William Reid przed 39 laty wraz z debiutanckim albumem „Psychocandy" zmienili bieg muzyki alternatywnej. Po latach kłótni, nadużywania narkotyków i rozpaczy grupa nagrała najbardziej mroczny, a zarazem najlepszy album od trzech dziesięcioleci.

eprasa.pl 69da641fd5

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TRZECIA WOJNA ŚWIATOWA O POLSKĘ

Operacja „Unthinkable" – Supertajny brytyjski plan ataku na Związek Sowiecki

Wyklęci w oczekiwaniu na pomoc – Polacy mieli przystąpić do walki z krasnoarmiejcami, gdy na wschód będą zmierzały alianckie jednostki

Złoto Decebala – Na początku naszej ery na terenach dzisiejszej Rumunii panował przebogaty władca, którego poczynania przyprawiały o ból głowy rzymskich cesarzy

Odyseja Wielkiego Treku – Biali z RPA wciąż pamiętają o bohaterskich wyczynach voortrekkerów sprzed niemal 200 lat

Amerykański sen Stalina – Udział firm z USA w budowie sowieckiego przemysłu był kluczowy dla rozwoju ZSRS

Przekleństwo Medyceuszy – Dynastia rządząca Toskanią degenerowała się w zastraszającym tempie. Ostatni członkowie rodu w niczym nie przypominali swoich przodków

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 69da641fd5

Z prof. Adamem Wielomskim, historykiem idei, publicystą i politologiem
rozmawia Wojciech Golonka

Budynek na Ukrainie zniszczony w wyniku działań wojennych
FOT. ADOBE STOCK

Bruksela chce zabrać niepodległość

WOJCIECH GOLONKA: Mieliśmy rozmawiać o geopolityce wokół wojny na Ukrainie, zacznijmy jednak od krwawego zamachu w Moskwie 22 marca: czy wpłynie on na przebieg wojny?

PROF. ADAM WIELOMSKI: Prawdopodobnie nie. Widać w tej chwili, że Rosjanie próbują powiązać ukraińskie SBU z tym zamachem, aby przedstawić światowej opinii publicznej Ukrainę jako państwo terrorystyczne. Gdyby znaleźli dowody, to dla Kijowa byłaby to katastrofa wizerunkowa, szczególnie w oczach Stanów Zjednoczonych, od lat walczących z islamskim terroryzmem. Mogłoby to spowodować odcięcie się Waszyngtonu od ekipy Zełenskiego. Jednak nawet jeśli założylibyśmy, że w Kijowie popełniono błąd zorganizowania czy sfinansowania tego zamachu, to udowodnienie tego będzie czasochłonne. Z tego, co podają rosyjskie władze, wynika, że terroryści dokonali ataku dla pieniędzy, a sponsorzy i organizatorzy kontaktowali się z nimi wyłącznie przez Internet. Namierzenie i znalezienie organizatorów raczej nie będzie szybkie, o ile już nie rozpłynęli się w czeluściach wirtualnego świata. Osobiście nie wierzę w ukraińskie sprawstwo kierownicze, gdyż ryzyko politycznej katastrofy w razie znalezienia takiego dowodu wielokrotnie przekracza właściwie zerowe zyski dla toczącej się wojny.

Czy zgodzi się pan z Viktorem Orbánem, że prawdziwy podział wokół wojny na Ukrainie to w rzeczywistości spór globalistów z suwerenistami?

Jeśli spojrzymy na wojnę na Ukrainie z tej perspektywy, to szybko spostrzeżemy paradoksalność pewnej sytuacji. Z jednej strony Ukraina broni swojego suwerennego bytu jako państwa przed neoimperialnymi zakusami Rosji, co zaprzeczałoby diagnozie premiera Węgier.

Jeśli jednak spojrzymy na tę wojnę z perspektywy, kto w niej kogo popiera, to szybko dojdziemy do wniosku, że diagnoza Orbána jest prawdziwa. Ukrainę popierają dwa wielkie ośrodki globalistyczne, a mianowicie Stany Zjednoczone i Unia Europejska, dążące do stworzenia tego, co Klaus Schwab określa mianem „zarządu światowego", gdzie państwa mają zostać zmarginalizowane, a w przyszłości może nawet zniesione, gdzie będzie realizowana ideologia globalistyczna, zapanują światowy rynek i supremacja globalnych wielkich banków i korporacji. Ponadto mamy państwa antyukraińskie, które zbuntowały się wobec tego „zarządu światowego", grzebiąc projekt globalizacji, a mianowicie – Rosja, Chiny, Brazylia, Iran, ostatnio także Arabia Saudyjska i wiele innych. Ukrainę popierają zwolennicy tzw. świata jednobiegunowego, całkowicie zdominowanego przez Zachód. Przeciwko Ukrainie występują państwa negujące ten porządek, afirmujące zasadę suwerenności i popierające tzw. świat wielobiegunowy.

W wojnie tej polskie elity polityczne, samodefiniujące się jako część Zachodu i akceptujące podrzędny status naszego kraju w panującym układzie bez żadnego wahania, stanęły po stronie projektu globalistycznego i nie ma tutaj znaczenia, czy mówimy o KO, Polsce 2050, Lewicy, PiS czy nawet większości Konfederacji mającej twarz Przemysława Wiplera. Takie państwa jak Węgry, Słowacja i Turcja postanowiły poczekać i zobaczyć, co będzie dalej, pamiętając o starej zasadzie karcianej, że „mistrzowie licytują ostatni".

Co Polska może stracić lub zyskać przy okazji tej wojny i w jakich okolicznościach?

Generalnie to, że Rosja, Chiny i państwa BRICS postanowiły przeciwstawić się globalizmowi, oceniam jednoznacznie pozytywnie. Wiadomo było, że może to doprowadzić do wojny z obecnym hegemonem, gdyż nikt nie oddaje swoich wpływów bez walki. Niestety, dla Polski jest rzeczą fatalną, że do (pierwszego) starcia militarnego między Zachodem a Rosją i Chinami doszło akurat kilkaset kilometrów od naszych granic, na Ukrainie. O ile na upadku globalizacji Polska może tylko zyskać, o tyle na wojnie rosyjsko-ukraińskiej możemy tylko stracić. Niektóre skutki widać gołym okiem: fala imigrantów powodująca załamanie się Polski jako państwa jednonarodowego, co w przyszłości może doprowadzić do konfliktów etnicznych; gigantyczne wydatki na pomoc dla imigrantów i dla walczącej Ukrainy; spowolnienie wzrostu ekonomicznego związanego z punktem poprzednim; odpływ kapitału ze stref objętych wojną lub nią zagrożonych (państwa przyfrontowe); rozbrojenie polskiej armii, która nie oddając strzału, straciła pewnie z połowę posiadanego sprzętu. Tych pięć punktów jest namacalnym faktem.

Największym zagrożeniem jest oczywiście wybuch otwartej wojny NATO-Rosja, o ile armie NATO weszłyby na Ukrainę i umundurowani żołnierze NATO-wscy starliby się z żołnierzami rosyjskimi. Zauważmy, że jest to opcja, której starannie

eprasa.pl 69da641fd5

unikano w czasie zimnej wojny, aby żołnierze NATO nigdy nie walczyli bezpośrednio z żołnierzami Układu Warszawskiego. Dlatego obydwa bloki toczyły zawsze wojny zastępcze w Korei, Wietnamie, Angoli etc. Bezpośrednie starcie oznacza duże prawdopodobieństwo eskalacji aż do wybuchu wojny nuklearnej, której sprawcą zapewne byłaby strona przegrywająca, zdesperowana, a posiadająca guzik atomowy.

Nie łudźmy się: w razie wybuchu wojny nuklearnej pierwszym celem rosyjskim nie będzie Ukraina, gdyż Rosja obawiałaby się promieniowania i opadów radioaktywnych na własne terytorium. Pierwszymi celami będą dwa główne państwa tranzytowe dla dostaw na Ukrainę, czyli Polska i Rumunia. Tak jak NATO planowało atak nuklearny na PRL, aby uniemożliwić dostawy i posiłki dla inwazyjnej armii sowieckiej w NRD, tak dziś Rosja planuje podobne uderzenia na państwa, przez które dostarczane jest zaopatrzenie dla Ukrainy, czyli Polskę i Rumunię. Wprost pisze o tym w jednym ze swoich artykułów doradca Siergieja Ławrowa, a mianowicie prof. Siergiej Karaganow, wymieniając jako potencjalny cel ataku w Polsce Poznań.

Właśnie dlatego Węgry i Słowacja robią, co mogą, aby uniknąć eskalacji wojny. Obydwa te państwa leżą między Polską, Ukrainą a Rumunią. Chmura atomowa ich nie ominie, nawet jeśli same nie byłyby celem ataku jądrowego.

Jaki był cel napoleoniady Emmanuela Macrona, kiedy wiadomo, że Francja nie jest gotowa do innej konfrontacji z Federacją Rosyjską niż na poziomie atomowym?

Politolodzy francuscy piszą od kilku lat, że Macron marzy, aby być takim Napoleonem lub de Gaulle'em „en miniature". Francuski prezydent właśnie taką rolę próbuje odgrywać, acz myślę, że poza tą megalomanią pomieszaną z kompleksami jest ku wojowniczej postawie tego polityka kilka racjonalnych powodów. Wymieniłbym: 1) mało się o tym w Polsce mówi i pisze, lecz Grupa Wagnera – spacyfikowana w Rosji – bardzo czynnie działa jako najemnicy i rosyjska grupa lobbystyczna w tzw. Sahelu (kraje saharyjskie), wypierając z kolejnych państw wpływy francuskie, szczególnie w Nigrze, co powoduje w Paryżu skrajną irytację; 2) jak to w ujawnionym nagraniu rzekł kiedyś Mateusz Morawiecki, „wojna zmienia perspektywę w pięć minut", a Macron i partie establishmentowe są na skraju utraty władzy na rzecz nacjonalistów Marine Le Pen, co grozi i utratą władzy, i upadkiem Unii Europejskiej; 3) aż do tego momentu Paryż (w odróżnieniu od Berlina) nigdy nie wykorzystywał wojny na Ukrainie jako argumentu na rzecz federalizacji UE i stworzenia armii europejskiej, ale to chyba się zmienia ze względu na opór państw Europy Wschodniej, który trzeba przełamać strachem przed wojną.

Generalnie z tej napoleoniady Macrona nic nie będzie. To papierowy tygrys. Francja jako jedyny kraj zachodnioeuropejski posiada duże zdolności bojowe, ale ma armię typowo ekspedycyjną do walk w Sahelu czy na Madagaskarze. Znakomicie przygotowaną do przerzutu komandosów i lekkich wozów bojowych po całej Afryce, ale nieprzygotowaną do ciężkich walk pancernych i w okopach. To jest armia powietrznodesantowa, a nie lądowa. Głowic nuklearnych Francja ma bodaj 296, co przy rosyjskich 6,5 tys. wrażenia wielkiego nie robi. Paryż ma chyba także problemy z rakietami przenoszącymi takie głowice. W czasie ataków rakietowych na Syrię (2018) żadna z francuskich rakiet nie trafiła w cel. Być może inżynierowie francuscy sobie z tym już poradzili, ale trudno być tego pewnym.

Zachodni politycy stale sugerują możliwy w niedalekiej przyszłości atak Rosji na NATO. Jaki byłby jego cel i czy dojdzie on do skutku?

Rosja pierwsza i bez powodu NATO nie zaatakuje. Być może chciałaby, ale jest po prostu zdecydowanie słabsza. Ostatecznie byłaby zdolna do konfrontacji z samą Europą Zachodnią, o ile ta byłaby pozbawiona wsparcia amerykańskiego. Zaatakowała Ukrainę właśnie dlatego, że Kijów jeszcze nie był członkiem NATO. Ukraina po Majdanie próbowała zmienić swoją przynależność geopolityczną, w efekcie stając się „ziemią niczyją" między NATO a Rosją. Zauważmy, że wojna zaczęła się miesiąc po deklaracji Wołodymyra Zełenskiego na Monachijskiej Konferencji Bezpieczeństwa w styczniu 2022 r., że celem Kijowa jest właśnie akcesja do NATO. Gdyby Ukraina się w tym pakcie znalazła, to Rosja już nie mogłaby jej zaatakować bez groźby wojny z całym NATO, co mogłoby doprowadzić do wojny nuklearnej. Dlatego Putin mógł zaatakować albo wtedy, albo już nigdy. Przynajmniej nie w przewidywalnej perspektywie.

Dlaczego zatem politycy wciąż podkreślają perspektywę tej wojny?

Straszenie nas rosyjską agresją, której daty są nam raz za razem podawane i przesuwane po tym, gdy minęły, ma kilka celów: 1) Amerykanie próbują przestraszyć swoich europejskich sojuszników zagrożeniem, aby wydawali więcej pieniędzy na obronność (słynne 2 proc. PKB), z których część zostałaby wydana na zakupy u amerykańskich producentów uzbrojenia, nakręcając własną koniunkturę; 2) w przypadku takich krajów jak Polska działa to dyscyplinująco na podległość autochtonicznych elit wobec amerykańskich ambasad; 3) podobny jak w punkcie pierwszym cel mają Niemcy i Francuzi, których eksport broni stanowi razem ok. 25 proc. światowych rynków w tym zakresie, z tą różnicą, że państwa takie jak Polska mają obligatoryjnie kupować broń wyprodukowaną w UE; 4) Niemcy od kilku lat, a Francuzi od „napoleoniady" Macrona używają straszenia wojną, aby spacyfikować opór państw Europy Wschodniej przed federalizacją UE.

Podkreślmy ten ostatni punkt, a przede wszystkim przyświecającą mu logikę przyczynowo-skutkową: 1) wykreowano strach przed agresją Rosji; 2) obronić nas może tylko armia unijna; 3) aby armia unijna działała, musimy mieć wspólną politykę obronną; 4) aby punkty drugi i trzeci mogły zaistnieć, musi zostać zniesione prawo narodowego weta, aby jeden kraj nie mógł zawetować użycia armii unijnej; 5) aby znieść prawo weta, trzeba zmienić traktaty unijne, znosząc prawo weta narodowego na rzecz zasady większości głosów, czyli przekształcając Unię Europejską w państwo federalne. Mówiąc wprost, plan jest taki: ze strachu przed zagrożeniem naszej niepodległości ze strony Moskwy mamy sami dobrowolnie oddać naszą niepodległość Brukseli, zdominowanej przez Niemców i Francuzów. I czego państwo nie rozumiecie?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

prof. Adam Wielomski
– historyk idei, politolog i publicysta.

eprasa.pl 69da641fd5

Polska obrona silna jak nigdy

Mariusz Błaszczak

„Mimo wydawania 4 proc. PKB na obronę Polska jest rozbrojona i nie ma samodzielnych zdolności obronnych" – napisał w okładkowym tekście „Do Rzeczy" nr 14/2024 Tomasz Cukiernik. Poniżej polemika z tym artykułem Mariusza Błaszczaka, byłego ministra obrony narodowej w rządach PiS

Artykuł pt. „Jaki jest stan polskiej obrony?", który pojawił się w ostatnim wydaniu „Do Rzeczy", skłonił mnie do przygotowania polemiki. W moim przekonaniu – co potwierdzają fakty i działania, które przeprowadziłem, pełniąc zaszczytny urząd ministra obrony narodowej – argumenty przedstawione przez autora artykułu pana Tomasza Cukiernika, dotyczące kwestii produkcji amunicji, priorytetów modernizacyjnych czy też zabezpieczenia logistycznego, są chybione.

KWESTIA AMUNICJI

W artykule w sposób bardzo uproszczony odniesiono się do kwestii zdolności polskiego przemysłu obronnego do produkcji amunicji różnych kalibrów. Nie można opisywać tych zdolności i oceniać całego procesu budowy kompetencji polskiej zbrojeniówki z perspektywy tylko jednego zamówienia na amunicję prowadzonego przez Komisję Europejską. Rząd Prawa i Sprawiedliwości podjął ważne działania, które – jeżeli będą kontynuowane – w najbliższym czasie przyczynią się do znacznej rozbudowy produkcji amunicji.

Po pierwsze, w marcu 2023 r. Rada Ministrów przyjęła „Narodowy Program Amunicyjny", który – jeżeli będzie kontynuowany – w stosunkowo szybkim czasie pozwoli zbudować krajowy potencjał produkcyjny. Uchwała zakładała inwestycje Skarbu Państwa w przemysł obronny w wysokości do 2 mld zł oraz zakup ok. 800 tys. sztuk amunicji za kwotę 12 mld zł. Z mojej inicjatywy program został uzupełniony o budowę zdolności do produkcji komponentów do produkcji amunicji. Warto również zwrócić uwagę na dysproporcje finansowe pomiędzy naszym programem amunicyjnym a tak ochoczo przywoływanym przez autora tekstu programem Komisji Europejskiej. Unia postanowiła rozdzielić zaledwie 500 mln euro na wszystkie kraje członkowskie. To kropla w morzu potrzeb i znacznie mniej, niż rząd PiS planował przeznaczyć na Narodowy Program Amunicyjny.

Po drugie, na mocy Ustawy o obronie Ojczyzny, która weszła w życie w kwietniu 2022 r., zastąpiono archaiczny „Plan mobilizacji gospodarki", który wywodził się jeszcze z czasów PRL, nowym dokumentem – „Planem zabezpieczenia potrzeb Sił Zbrojnych realizowanych przez przedsiębiorców". Dokument ten jest dostosowany do realiów współczesnej gospodarki i możliwości produkcyjnych przedsiębiorców. Zabezpieczyliśmy w nim moce na potrzeby produkcji środków bojowych, które mogą być uruchomione, gdy zaistnieje taka konieczność.

Po trzecie, we wszystkich postępowaniach na zakup sprzętu wojskowego jako zasadę przyjąłem pozyskiwanie go wraz z istotnym zapasem środków bojowych. Zasada ta dotyczyła w szczególności zakupów sprzętu zagranicznego, czyli czołgów K2 i Abrams, armatohaubic K9, wyrzutni HIMARS oraz Chunmoo.

Autor artykułu krytykuje także funkcjonujące w Polsce rozwiązania prawne dotyczące produkcji i obrotu amunicji. Ustawa z dnia 13 czerwca 2019 r. o wykonywaniu działalności gospodarczej w zakresie wytwarzania i obrotu materiałami wybuchowymi, bronią, amunicją oraz wyrobami i technologią o przeznaczeniu wojskowym lub policyjnym (a nie „ustawa o obrocie specjalnym", o której mowa w artykule, ponieważ takiej nie ma), wbrew tezie postawionej przez pana Cukiernika, nie uzależnia uzyskania koncesji na produkcję amunicji od tego, czy jest ono prywatne czy państwowe. Dlatego też również prywatne firmy specjalizują się w produkcji amunicji. Ponadto ze względu na swoją specyfikę tego rodzaju działalność musi być nadzorowana przez państwo i temu właśnie służy mechanizm koncesji.

LOGISTYKA

Nie zgadzam się z zarzutem autora, jakoby Polska była pozbawiona zdolności do logistycznego zabezpieczenia funkcjonowania sprzętu wojskowego. Umowy zawierane z USA i Koreą zakładają budowanie takich zdolności w ramach przedsiębiorstw polskiego przemysłu obronnego oraz bezpośrednio Sił Zbrojnych RP. Potwierdzeniem takiego podejścia jest m.in. zawarcie we wrześniu 2023 r. umowy offsetowej ze spółką Boeing związaną z planami zakupu 96 śmigłowców uderzeniowych AH-64E Apache. Umowa przewiduje ustanowienie na terenie Polski zaplecza obsługowo-naprawczego istotnych elementów wyposażenia tych śmigłowców. Przedmiotem umowy offsetowej

eprasa.pl 69da641fd5

FOT. JAN

jest m.in. pozyskanie zdolności w zakresie wsparcia, napraw i obsługi technicznej kluczowych komponentów śmigłowca używanych w walce i rozpoznaniu, w tym układów naprowadzania i wskazywania celów. Problem polega na tym, że obecny rząd nie chce dokończyć kontraktu na śmigłowe Apache pomimo dobrej oferty kredytowania, którą przedstawiły Stany Zjednoczone.

Podobne zdolności logistyczne tworzone są na potrzeby m.in. czołgów Abrams oraz sprzętu zakupionego w Korei. 31 marca 2023 r. została podpisana umowa w zakresie utworzenia konsorcjum Polskiej Grupy Zbrojeniowej wraz z Wojskowymi Zakładami Motoryzacyjnymi w Poznaniu i południowokoreańską firmą Hyundai Rotem Company w sprawie czołgów K2PL oraz sprzętu towarzyszącego. Z kolei 26 czerwca 2023 r., w siedzibie Wojskowych Zakładów Motoryzacyjnych w Poznaniu, została zawarta Umowa Teaming Agreement pomiędzy amerykańskim producentem czołgów Abrams General Dynamics Land Systems i Polską Grupą Zbrojeniową. Dzięki temu rozpoczęło się tworzenie Regionalnego Centrum Kompetencyjnego Abrams w Wojskowych Zakładach Motoryzacyjnych. W procesie tworzenia Centrum mają wziąć udział koncerny amerykańskie i spółki należące do PGZ, które zostaną włączone w łańcuch dostaw producentów amerykańskich. Głównym celem tej współpracy jest zabezpieczenie potrzeb logistycznych użytkowanego sprzętu amerykańskiego. W pierwszym etapie dla Sił Zbrojnych RP, a w przyszłości dla wojsk US Armed Forces stacjonujących w Polsce, Europie Centralnej i Wschodniej oraz innych krajach europejskich.

APACHE – PRZYSZŁOŚĆ NASZEGO WOJSKA

Kompletnie chybiony jest argument dotyczący braku przydatności śmigłowców Apache na współczesnym polu bitwy. Przede wszystkim wnioski z konfliktu na Ukrainie nie pozwalają na sformułowanie takich wniosków. Wręcz przeciwnie – potwierdzają zasadność posiadania tego rodzaju sprzętu wojskowego. Działania rosyjskich śmigłowców uderzeniowych Ka-52 niestety przyczyniły się m.in. do zahamowania ukraińskiej kontrofensywy (stosunkowo wysokie straty związane były z ich intensywnym wykorzystaniem, często niezgodnie z doktryną użycia). Program śmigłowców bojowych intensywnie wdrażany jest także m.in. przez armię chińską (śmigłowce Z-10 i Z-20). Śmigłowce bojowe AH-64 Apache, które powinniśmy jak najszybciej pozyskać, są w pełni zintegrowane z czołgami Abrams. Zapewnia to efekt synergii na polu walki – śmigłowce mogą być wykorzystywane jako ruchome systemy dowodzenia i wsparcia bezpośredniego.

OBRONA POWIETRZNA

W zamieszczonym w tym samym wydaniu „Do Rzeczy" wywiadzie z panem Mariuszem Cielmą znalazła się krytyka systemów obrony przeciwlotniczych, które są na wyposażeniu polskiej armii. Pan Cielma słusznie zauważa, że postsowieckie systemy Newa mają możliwość zwalczania jednocześnie tylko jednego celu. To prawda, natomiast opisując zakupiony przeze mnie nowoczesny sprzęt obrony przeciwlotniczej, np. Narew, nie wspomina, że ma on możliwość zwalczania kilku celów jednocześnie. Ten system już broni polskiego nieba, znacznie zwiększając jego bezpieczeństwo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest politykiem PiS, byłym wicepremierem i byłym ministrem obrony narodowej.

ODPOWIEDŹ NA POLEMIKĘ

Polemiczne twierdzenia byłego ministra obrony narodowej Mariusza Błaszczaka są nietrafione, a co więcej – zachęcają do kolejnych analiz w zakresie braku gotowości i kryzysu w Wojsku Polskim, który jest skutkiem ośmioletnich rządów i błędów Zjednoczonej Prawicy. Przede wszystkim minister Błaszczak nie podważył prawdziwości postawionych w artykule istotnych tez o rozbrojeniu Wojska Polskiego w związku z wysłaniem uzbrojenia na Ukrainę, uzależnieniu wojska od systemów zachodnich, braku możliwości samodzielnej obrony szlaków wodnych na Bałtyku czy pozbawienia się możliwości produkcji czołgów. Tym samym milcząco przyznał tym tezom słuszność.

Sformułowanie „Polska jest silna jak nigdy" prowokuje do zadania pytania: Kiedy siły zbrojne RP były słabsze niż siły zbrojne RP w 2024 r.? Jakikolwiek rok się wybierze, analiza LICZB może wskazać na rezultaty nieprzychylne dla aktualnego stanu. Za punkt wyjścia należy brać potencjał, nie zaś plany. Kiedy mieliśmy mniej wyszkolonych żołnierzy (rezerwy!)? Kiedy jest więcej kobiet żołnierzy zwolnionych z obowiązku obrony ze względu na sprawowanie opieki nad dzieckiem? Kiedy było mniej bojowych wozów piechoty, czołgów, zestawów przeciwlotniczych? Kiedy było mniej zapasów?

W artykule nie odnoszono się wyłącznie do ostatniego zamówienia na amunicję prowadzonego przez UE, a całości stanów MAGAZYNOWYCH i zdolności produkcyjnych. Nie zaś PLANÓW! Stany te są rażąco niskie z powodu zaniechań polskiego rządu, który nie tylko nie rozwinął zdolności produkcyjnych, lecz także naruszył zapasy na czas „W". Cała pierwsza kadencja Zjednoczonej Prawicy (2015–2019) odbyła się pod hasłem wzmocnienia obronności. Pan minister zaś nadal się broni, wskazując, co BĘDZIEMY mieć ze względu na zamówienia składane od 2022 r.

Jeżeli w nowym „Programie zabezpieczenia potrzeb Sił Zbrojnych realizowanych przez przedsiębiorców" (nie zaś „Planie", jak raczył się pan minister pomylić) wszystko jest jak należy, to dlaczego w 2023 r. nie uruchomiono jego zapisów o produkcji amunicji 155 mm, butów czy mundurów? Gdzie są te zapasy amunicji? Gdzie magazyny?

Pan minister krytykuje zarzut absurdalnych utrudnień w zakresie produkcji broni i amunicji w Polsce, argumentując to potrzebą nadzoru państwa. Problem w tym, że poprzez ten tak ścisły „nadzór" nie mamy żadnych innych zdolności niż resztki po zakładach z okresu PRL.

Co do zdolności logistycznych śmigłowców AH-64 pan minister jest optymistą, a w artykule wskazano na trudności z utrzymaniem takowych dla leopardów, W-3 Sokół czy MiG-29.

Niestety, czas rządów PiS z perspektywy obronności został zmarnowany, a aktualny rząd Donalda Tuska z dumą głosi kontynuację... ***Tomasz Cukiernik, Jacek Hoga***

eprasa.pl 69da641fd5

FOT. ADOBE STOCK

Sprawa Jezusa trwa nadal

ks. Przemysław Artemiuk

Oczywiście nie w sensie, który nadał temu wyrażeniu Willi Marxsen (zm. 1993). Niemiecki teolog, będąc sceptyczny wobec możliwości odkrycia faktyczności Zmartwychwstania, sugerował, by skupić się na wierze, która przetrwała wśród uczniów pomimo śmierci ich Mistrza. Paweł Lisicki z kolei doskonale zdaje sobie sprawę, że bez zmartwychwstania Jezusa Chrystusa chrześcijaństwo po prostu nie istnieje. Dlatego w swojej najnowszej książce „Prawdziwie zmartwychwstał. Śledztwo w sprawie najważniejszego wydarzenia w historii" podejmuje się apologii tej fundamentalnej kwestii. Czyni to systematycznie i z niebywałą erudycją

eprasa.pl 69da641fd5

Praca redaktora naczelnego „Do Rzeczy" stanowi oryginalne kompendium poświęcone tytułowej kwestii. Paweł Lisicki nie tylko analizuje podstawowe źródła dotyczące Zmartwychwstania, rozciągające się od nowotestamentowych wyznań wiary do ewangelicznych narracji paschalnych, nie tylko bada wiarygodność dwóch znaków charakteryzujących Chrystusowe powstanie z martwych, którymi są pusty grób i chrystofanie, lecz także mierzy się z dawnymi i nowymi zarzutami krytyków tej prawdy wiary. Zna je doskonale. Potrafi wykazać ich niespójność i ideologiczne zaślepienie. W odpowiedzi prezentuje apologię, która osadzona jest w tradycji Kościoła, i nie boi się sięgać do najnowszych prac biblistów i historyków, broniących Chrystusowego powstania z martwych. Redaktor naczelny „Do Rzeczy", argumentując za Zmartwychwstaniem, broni jego historyczności i wskazuje na transcendentny wymiar tego wydarzenia. Kwestia Chrystusowego powstania z martwych pozostaje zatem nadal aktualna. Przyjrzyjmy się dyskusjom i sporom toczonym wokół tej fundamentalnej kwestii.

JĄDRO CHRZEŚCIJAŃSKIEGO KERYGMATU

W Nowym Testamencie regularnie pojawiają się dwa greckie słowa, które są kluczami do zrozumienia wydarzeń wielkanocnych. Pierwsze – egegertai („jest wskrzeszony", „zmartwychwstał") oraz drugie – ofthe („dał się widzieć", „ukazał się"). Uczniowie, jako naoczni świadkowie, potwierdzają spotkania z Jezusem, który „zmartwychwstał" i „pozwolił im się widzieć". To doświadczenie zostaje zapisane w najstarszym wyznaniu wiary, credo korynckim, które (nie będąc jego autorem) przekazuje nam św. Paweł w Pierwszym Liście do Koryntian (15, 3b–5): „Przekazałem wam na początku to, co przejąłem, że Chrystus umarł za nasze grzechy według Pism, i że został pogrzebany, i że jest wskrzeszony/zmartwychwstał (egegertai) dnia trzeciego według Pism i że dał się widzieć/ukazał się (ofthe) Kefasowi, a potem Dwunastu".

Skoro naoczne świadectwa dotyczące Zmartwychwstania nie pozostawiają żadnych wątpliwości, to zapytajmy, co sprawia, że wiara w tę fundamentalną prawdę budziła dawniej i budzi dzisiaj sprzeciw.

WĄTPLIWOŚCI STAROŻYTNYCH

Pierwsi pisarze chrześcijańscy, broniąc prawdy o Zmartwychwstaniu, musieli zmierzyć się z myślą żydowską i grecką. Dla Greków prawda ta była po prostu absurdalna i nonsensowna. Już św. Paweł w Atenach doświadczył ze strony pogan negacji Zmartwychwstania. Ironiczny śmiech Greków na areopagu nie pozostawiał wątpliwości co do ich sposobu myślenia. Akceptowali wprawdzie nieśmiertelność duszy, odrzucali jednak możliwość cielesnego zmartwychwstania. W ich rozumieniu życie po śmierci oznaczało całkowite wyzwolenie duszy z ciała będącego dla niej więzieniem. Negacja zmartwychwstania wydaje się zatem logicznym następstwem, nikt bowiem nie chce ponownie wracać do stanu cielesnej niewoli. Doskonałym świadectwem tego rodzaju przekonań jest myśl filozofów: Celsusa (II w.) i Porfiriusza (zm. 305). Pierwszy z wyraźną dezaprobatą twierdził, że zmartwychwstanie „to nadzieja zaiste godna robaków. Czyż bowiem jakakolwiek dusza ludzka pragnęłaby powrócić do zgniłego ciała?". Drugi z kolei, zdecydowanie mocniejszy w swojej krytyce chrześcijaństwa, głosił, że zmartwychwstanie jest wydarzeniem bezsensownym i nierealnym. Porfiriusz z niebywałą awersją odnosił się do cielesności, nie dopuszczał nawet do stworzenia pośmiertnej figury dedykowanej swojemu mistrzowi, Plotynowi. Zdaniem greckich filozofów cielesne zmartwychwstanie jest nie tylko bluźniercze, lecz także sprzeczne z rozumem.

Skoro naoczne świadectwa dotyczące Zmartwychwstania nie pozostawiają żadnych wątpliwości, to zapytajmy, co sprawia, że wiara w tę fundamentalną prawdę budziła dawniej i budzi dzisiaj sprzeciw

Żydzi z kolei nie traktowali głoszonej przez chrześcijan nauki o zmartwychwstaniu jako całkowitej nowości. Idea ta była bowiem obecna w Izraelu, zanim pojawił się Jezus. Jej ślady odnaleźć możemy w zapowiedzi nagrody dla Sługi Jahwe u Izajasza (53, 10–11a), w proroctwie o sądzie zapisanym w Księdze Daniela (12, 1–3) oraz w historii męczeństwa matki wraz z siedmioma synami z Drugiej Księgi Machabejskiej (2 Mch 7), gdzie zmartwychwstanie jawi się jako nagroda za świadectwo krwi. W czasach Jezusa kwestia powstania z martwych dzieliła żydowskie stronnictwa faryzeuszów i saduceuszów. Pierwsi wierzyli w zmartwychwstanie umarłych w czasach ostatecznych, chociaż ich poglądom towarzyszył odwołujący się do prawa wyraźny formalizm. Drudzy zaś, powołując się jedynie na Torę Mojżeszową, lekceważyli księgi prorockie i myśl apokaliptyczną. Inspirując się filozofią stoików i epikurejczyków, odrzucali wiarę w aniołów, istnienie duszy i zmartwychwstanie ciał. Właśnie z saduceuszami Jezus podjął dyskusję. Odwołując się jedynie do Tory, Mistrz z Nazaretu odrzucił ich materialistyczne poglądy i skutecznie uzasadnił wiarę w zmartwychwstanie (Mt 22, 31).

Niezależnie jednak od poglądów poszczególnych stronnictw zapytajmy: Dlaczego współcześni Chrystusowi Żydzi nie uwierzyli w Jego powstanie z martwych? Wydaje się, że przyjęcie tego faktu wymagałoby od nich również uznania Go za Mesjasza. A to było dla nich nie do zaakceptowania. Dlatego ze smutkiem musimy zauważyć, że wprawdzie wiara w zmartwychwstanie nabrała u faryzeuszów znamion wyznania, nie dotyczyła jednak postaci Jezusa. Ostatecznie Żydzi potraktowali Go jako fałszywego Mesjasza.

OŚWIECENIOWE INTERPRETACJE

Nowożytność, poszukując prawdy poza chrześcijaństwem, wyraźnie przesunęła akcent z Boga na człowieka, wywyższając rozum, oddała mu we władanie świat. Odtąd nie Objawienie było miarą wszystkiego, ale ludzka myśl. W dobie oświecenia odrzucono credo, zastępując je cogito. Panowanie rozumu nie ograniczało się jedynie do spraw doczesnych. Rozciągało się także na religię, którą potraktowano niezwykle surowo. Objawienie sprowa-

eprasa.pl 69da641fd5

dzono do praw natury, a miejsce dogmatów wiary zajęła religia naturalna.

Nie inaczej było z Chrystusowym zmartwychwstaniem, które próbowano wyjaśnić w sposób naturalistyczny, dostosowując paschalne narracje do oświeceniowych kategorii. H.S. Reimarus (zm. 1768), interpretując tekst Ewangelii według św. Mateusza (28, 13), przekonywał, że całe chrześcijaństwo opiera się na oszustwie, którego mieli dokonać uczniowie w sposób świadomy, wykradając ciało Jezusa z grobu. Oni również wymyślili historię o Jego powstaniu z martwych i zjawieniach. Sto lat później H.E.G. Paulus (zm. 1851), próbując ratować chrześcijaństwo w duchu racjonalistycznym, ze spokojem deisty stwierdzał, iż mamy do czynienia nie z kradzieżą, ale z kłamstwem Jezusa. W rzeczywistości bowiem On wcale nie umarł na krzyżu, a jedynie zapadł w letarg. Pod wpływem warunków panujących w grobie przebudził się i wyszedł. Potem zaczął głosić, że jest Zbawcą, który pokonał śmierć.

Koncepcja ta nawet wśród deistów wydawała się niedorzecznością. Dlatego D.F. Strauss (zm. 1873), odrzucając ją jako całkowicie bezsensowną, zauważył, że przyczyn Chrystusowego powstania z martwych należy szukać w świadomości uczniów. Skoro Ewangelie nie są w kwestii Zmartwychwstania zgodne, pokazują bowiem różne wersje omawianego wydarzenia, oznaczać to może tylko jedno: mamy do czynienia z jakąś formą wizji czy halucynacji przekazywanej przez uczniów. Ich widzenia, zapisane na kartach Ewangelii, to produkt subiektywnych i traumatycznych przeżyć. Najbliżsi nie unieśli doświadczenia Jezusowej śmierci, dlatego stworzyli opowieści o Jego powstaniu z martwych.

BULTMANN I THIRD QUEST

Wiek XX przyniósł najpierw zwrot w postrzeganiu Zmartwychwstania. Przestały liczyć się fakty, a nowe spojrzenie zdominował egzystencjalizm. Jezus, jak głosił R. Bultmann (zm. 1976), zmartwychwstał w kerygmacie, to znaczy, że tylko wtedy, kiedy jest przepowiadany, możemy Go spotkać. Powstanie z martwych nie jest wydarzeniem, w którym mamy akcentować historyczność. Chodzi raczej o spojrzenie egzystencjalne: Chrystus umarł i zmartwychwstał dla mnie, abym to ja miał nowe życie. Lekceważąc historię, bibliści przestają interesować się samym Chrystusem, a skupiają się na ludzkich odczuciach, pytając: „Jak sprawa Jezusa trwa dalej?".

Inni XX-wieczni badacze, reprezentujący ciągle żywy nurt Third Quest, przeciwnie – pozostają w kręgu badań historycznych i dlatego w sposób sceptyczny traktują narracje paschalne. Ich zdaniem teksty Ewangelii, które opowiadają o Zmartwychwstaniu, to nie historia, ale „produkt" wiary pierwotnego Kościoła, w żaden sposób niepoddający się badaniom naukowym. Kwestia Zmartwychwstania nie jest dla nich możliwa do przyjęcia, ponieważ nie mieści się w kategorii badań historycznych.

W KRĘGU POLSKIEJ MYŚLI REZUREKCYJNEJ

Kwestia Zmartwychwstania była istotnym zagadnieniem zarówno dawnej apologetyki, jak i jej kontynuatorki, czyli współczesnej teologii fundamentalnej. Przyglądając się dorobkowi polskich badaczy, należy wymieć najpierw profesorów Warszawskiej Szkoły Apologetycznej (1956–1992), dla których Zmartwychwstanie Chrystusa stanowiło temat pierwszy i fundamentalny. Badając je, Wincenty Kwiatkowski (zm. 1972) i Władysław Hładowski (zm. 2004) przyjmowali perspektywę historyczną – będąc bowiem znakomitymi metodologami, mieli świadomość pozateologicznego charakteru uprawianej przez siebie apologetyki, dlatego nie wchodzili na teren teologii. Teologowie fundamentalni z kolei, by wymienić tylko Mariana Ruseckiego (zm. 2012), Henryka Seweryniaka i Marka Skierkowskiego, wykazują „nie tylko sam fakt zmartwychwstania Jezusa (odpierając zarzuty)" i przedstawiają „je jako znak wiarygodności Boskiej misji Jezusa", lecz także dają „odpowiedź na pytanie, w jaki sposób w wydarzeniach paschalnych pełnym blaskiem rozbłyska objawienie Chrystusa jako Syna Bożego i Pana".

PRAWDZIWOŚĆ ZMARTWYCHWSTANIA

Paweł Lisicki w swojej apologii Zmartwychwstania nawiązuje zarówno do apologetyki, jak i do współczesnych badań fundamentalnoteologicznych. Zajmując się faktycznością Chrystusowego powstania z martwych, jako wytrawny apologeta wskazuje na historyczność tego wydarzenia. Interesują go dwa kluczowe znaki: pusty grób i chrystofanie. Aby je uzasadnić, posługuje się kategorią kryteriów historiograficznych, które stosuje w odniesieniu do Zmartwychwstania. Rozumie przez nie źródła dokumentujące wydarzenie. Ponadto wprowadza zasadę „minimum faktów", która polega na poszukiwaniu dowodów o wysokim stopniu pewności. „W podejściu tym rozważamy tylko te dane, które mają tak mocne potwierdzenie historyczne, iż uznają je prawie wszyscy badacze zajmujący się tym tematem, nawet ci bardzo sceptyczni". W przypadku Zmartwychwstania większość faktów spełnia dwie zasady: „są dobrze poparte dowodami oraz uznawane przez nieomal wszystkich badaczy". Zasada „minimum faktów" posiada szczególne znaczenie w dyskusji ze sceptykami. Posługując się nią, apologeta rozbija także rozmaite teorie alternatywne, które „już od pierwszych doniesień o zmartwychwstaniu Jezusa krytycy formułowali […]. Określa się je zwykle mianem wyjaśnień naturalistycznych, ponieważ odwołują się do jakiejś przyczyny naturalnej tego wydarzenia, nie zaś do przyczyny nadprzyrodzonej". Teorie alternatywne zawierają liczne niespójności i dlatego dzisiaj wielu myślicieli ignoruje je, nie traktując ich poważnie.

Paweł Lisicki ma jednak świadomość, że zmartwychwstanie Jezusa posiada nie tylko wyraźny wymiar historyczny. Jest ono również wydarzeniem transcendentnym, sama historyczność nie zamyka bowiem bogactwa tej tajemnicy. Jest to wydarzenie zasadniczo różne od innych wydarzeń z życia Jezusa. Dlatego też, posługując się kategorią świadectwa, apologeta wskazuje, co wydarzenie to mówi „o samym Bogu, czym było dla uczniów spotkanie ze Zmartwychwstałym i jak zmienia ono nasze życie także dzisiaj".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest teologiem fundamentalnym, profesorem Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego i wykładowcą w Wyższym Seminarium Duchownym w Łomży.

PAWEŁ LISICKI „PRAWDZIWIE ZMARTWYCHWSTAŁ. ŚLEDZTWO W SPRAWIE NAJWAŻNIEJSZEGO WYDARZENIA W HISTORII" FRONDA 2024

eprasa.pl 69da641fd5

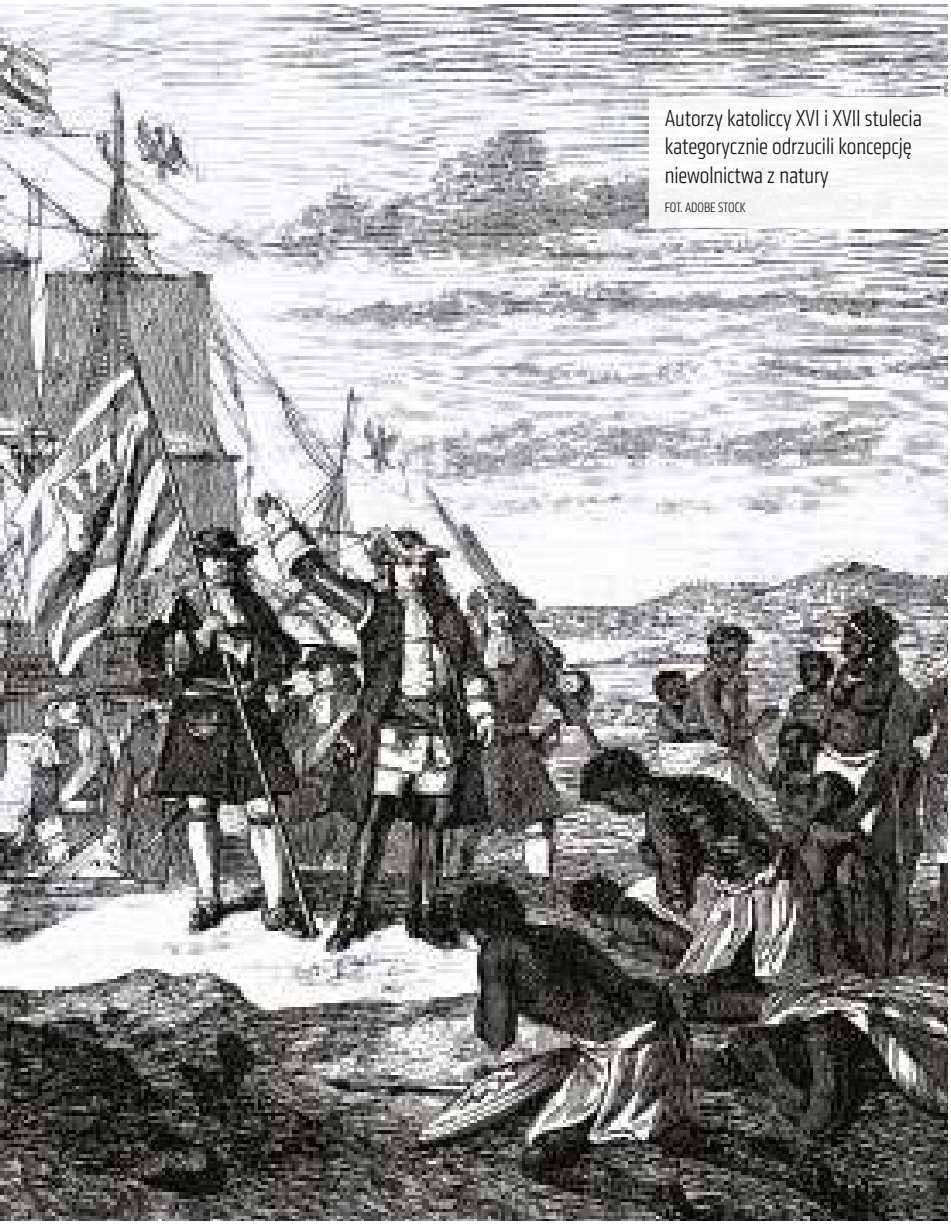

Autorzy katoliccy XVI i XVII stulecia kategorycznie odrzucili koncepcję niewolnictwa z natury

FOT. ADOBE STOCK

Kościół i niewolnictwo

Paweł Chmielewski

Kościół katolicki jest notorycznie oskarżany przez środowiska lewicowe o to, że rzekomo bezkrytycznie „popierał niewolnictwo". Podaje się przykłady duchownych czy nawet całych zakonów posiadających niewolników w czasach średniowiecza albo też okrutne praktyki, którym chrześcijanie poddawali Indian i Murzynów w epoce nowożytnej. Zarzuty te na ogół ignorują kontekst historyczny. Marginalizują też ogromną rolę, którą odegrał katolicyzm najpierw w cywilizowaniu, a później w znoszeniu niewolnictwa

Nakładem wydawnictwa Von Borowiecky ukazała się niezwykle obszerna i drobiazgowa praca autorstwa polskiego badacza Grzegorza Kulika. Jej tytuł z pozoru wspiera lewicową narrację. Brzmi: „Katolickie zasady niewolnictwa w nauczaniu teologów XVI i XVII wieku". Skoro były jakieś „katolickie zasady" w tej kwestii, to kto mógłby przeczyć, że Kościół rzeczywiście popierał zniewalanie bliźnich? A jednak lektura ponad 1000-stronicowej (sic!) i opartej na setkach źródeł historycznych książki Kulika pokazuje, że jeżeli tzw. społeczność międzynarodowa dość powszechnie zgadza się dzisiaj co do niegodziwości niewolnictwa, to jest tak również dzięki wielowiekowemu wysiłkowi Kościoła.

Kościół narodził się w świecie, którego niewolnictwo było od wieków integralną częścią – i dotyczy to nie tylko Rzymu. Niewolnictwo było znane również Żydom. Pan Bóg, objawiając się Izraelitom, wszedł w ludzką historię, w której podział na wolnych i niewolnych był czymś tak oczywistym, jak następowanie nocy po dniu. Autorzy

eprasa.pl 69da641fd5

biblijni mieli oczywiście świadomość, że pierwszych ludzi Bóg stworzył wolnymi, ale na skutek zepsucia przez grzech ten stan rzeczy uległ zmianie. Żydzi nie kwestionowali nigdy niewolnictwa jako takiego.

ŚWIAT PEŁEN NIEWOLNIKÓW

Objawienie Boże w Starym Przymierzu przyniosło jednak pewną nowość, niejako zapowiadając późniejsze wysiłki Kościoła na rzecz humanizacji i likwidacji niewoli. Według Starego Testamentu Żydzi nie powinni zniewalać innych Żydów – ci, którzy wierzą w jednego Boga, powinni pozostawać ludźmi wolnymi. Jeżeli działo się inaczej – np. z powodu popadnięcia w długi albo sprzedania się przez jednego w niewolę ze względu na skrajną biedę – nie mogło to być dożywotnie; w pewnym momencie konieczne było wyzwolenie każdego Żyda. Nie dotyczyło to innych narodów, w czym można się dopatrywać typowego dla Żydów etniczno-kulturowego ekskluzywizmu.

Również Chrystus działał w świecie pełnym niewolników, nie tylko ze względu na obyczaje żydowskie, lecz także jeszcze bardziej – rzymskie. Kto szukałby w Ewangelii potępienia niewolnictwa, ten go nie znajdzie; odkryje jednak coś być może jeszcze ważniejszego. Rzymianie chętnie karali niewolników śmiercią krzyżową. Każdy, kto czytał o historii powstania kierowanego przez trackiego niewolnika Spartakusa, pamięta, że po klęsce niewolniczego buntu wzdłuż antycznej Via Appia stanęło kilka tysięcy krzyży. Bóg, przyjmując ciało człowieka i wydając się na śmierć, zgodził się nie tylko „po prostu umrzeć" – np. ze starości – lecz także umrzeć właśnie niewolniczą śmiercią. Pan Jezus utożsamił się w ten sposób z losem niewolnika, w pewnym sensie fundując nowe, chrześcijańskie spojrzenie na niewolnictwo: chociaż człowiek ma liczne cele związane z jego życiem doczesnym, to ostatecznie jest nakierowany na zbawienie; w tej perspektywie prawdziwa wolność jest możliwa całkowicie niezależnie od stanu społecznego. Znalazło to swój wyraz w listach św. Pawła, który, choć nie zwalczał niewolnictwa jako takiego, uczył bardzo wyraźnie, że bycie wolnym albo niewolnikiem z perspektywy nowej wiary nie ma po prostu żadnego znaczenia. W Chrystusie „nie ma już niewolnika ani człowieka wolnego" – pisał apostoł. Skoro sam Bóg umarł jak niewolnik, to również niewolnik zachowuje pełną ludzką godność w oczach Stwórcy. Grzegorz Kulik pokazuje w książce, że Chrystus utożsamiał się z niewolnikami także w innym bardzo ważnym wydarzeniu opisanym na kartach Ewangelii: obmył swoim uczniom nogi, co gorszyło ich właśnie dlatego, że tradycyjnie było to zadaniem niewolników. To wszystko na trwałe przekształciło rozumienie niewolnictwa. Może najlepiej znanym tego wyrazem jest typowo chrześcijańska jedność w męczeńskiej śmierci, którą poniosły zamordowane u progu III w. Perpetua i Felicyta – wolna obywatelka Cesarstwa i jej niewolnica.

Mogłoby się wydawać, że nawet jeżeli Kościół nie mógł zrobić nic z niewolnictwem w pierwszych wiekach swojego istnienia, to co najmniej od czasów edyktu Teodozjusza czyniącego katolicyzm oficjalną religią Imperium Romanum – już tak. Autorzy wczesnochrześcijańscy nie uważali jednak, by mieli jakiś szczególny powód, by to czynić; nie tylko dlatego, że w ogóle nie zajmowali się reformami społecznymi sensu stricto, starając się raczej schrystianizować i napełnić duchem Ewangelii te struktury, które zastali. Dla sprawiedliwej oceny postawy Kościoła konieczne jest też postawienie pytania o genezę niewolnictwa. Rzymianie nie zniewalali jakiejś określonej rasy albo narodu. W starożytności niewolnikiem można było stać się z czterech zasadniczych przyczyn. Głównym tytułem do zniewolenia był podbój. Zgodnie z przyjętą w starożytności praktyką zwycięzca mógł zrobić z pokonanym, co chciał, co często kończyło się po prostu zabiciem wszystkich przegranych. Skoro tak, to oszczędzenie życia, nawet jeżeli losem miała być niewola, uchodziło za coś lepszego. Starożytni, a za nimi również autorzy chrześcijańscy, łacińskie słowo określające niewolnika „servus" wywodzili od czasownika „servare", czyli oszczędzać.

Drugim legalnym tytułem zniewolenia było popadnięcie w długi lub też sprzedanie się w niewolę z powodu skrajnej biedy. Tak naprawdę również tutaj mamy alternatywę pomiędzy śmiercią a niewolą. Trzecim – skazanie na niewolnictwo wskutek popełnienia ciężkiego przestępstwa, co znowu odsyła nas do tej samej alternatywy (a czego echem jest w pewnym sensie stosowana do dziś kara dożywotniego pozbawienia wolności). Wreszcie niewolnikiem mógł stać się człowiek na mocy urodzenia, mający rodziców – a zwłaszcza matkę – niewolników. Ten ostatni punkt wyda się nam niewątpliwie najbardziej kontrowersyjny, ale starożytni tak na to nie patrzyli: zasada, zgodnie z którą potomstwo dziedziczy stan społeczny swoich rodziców (a konkretnie: matki), była głęboko wpisana w prawo rzymskie.

W związku z tym autorzy chrześcijańscy po prostu akceptowali niewolnictwo jako zaistniałą rzeczywistość prawną w świecie dotkniętym grzechem. Nawoływali jedynie do tego, by niewolnicy ćwiczyli się w cnocie posłuszeństwa, a panowie byli dla nich łagodni; mogli też zachęcać do wyzwalania zwłaszcza chrześcijańskich niewolników. Dominantą starożytnej chrześcijańskiej narracji było jednak lekceważenie statusu społecznego ze względu na prymat zbawienia. Jakkolwiek współczesnego człowieka to razi, dla chrześcijan starożytności czy średniowiecza fakt tymczasowości życia doczesnego i realności życia wiecznego był tak oczywisty, że rodziło to określone konsekwencje dla oceny panujących stosunków społecznych.

PRAWA NATURALNE

Wczesne średniowiecze odziedziczyło antyczne zwyczaje i poglądy, ale, mimo tego, chrześcijaństwo stopniowo przekształcało również spojrzenie na niewolnictwo, cały czas je humanizując. Chrześcijanie zdecydowanie odrzucali klasycznie rzymskie spojrzenie na niewolnika jako na mówiące narzędzie – instrumentum vocale. Miało to określone konsekwencje praktyczne. Skoro każdy niewolnik ma ludzką godność, a niewolnictwo jest instytucją świata skażonego grzechem i jako takie nie jest zgodne z zamierzoną przez Boga naturą, to prawo pana wobec swojego niewolnika nie jest nieograniczone. Autorzy chrześcijańscy wskazywali, że – inaczej, niż było to u Rzymian – właściciel niewolnika nie może go po prostu zabić; nie może go

eprasa.pl 69da641fd5

też głodzić, pozbawiać snu czy nadmiernie karać, bo prawa do życia, jedzenia etc. są prawami naturalnymi – i jako takie poprzedzają ludzką instytucję niewolnictwa.

Chrześcijanie występowali też na rzecz prawa niewolników do zawierania małżeństw – i to nawet wbrew woli właściciela. Wokół tego tematu toczyła się wielowiekowa dyskusja; chrześcijańscy teologowie, w tym św. Tomasz z Akwinu, wychodząc od naturalnych uprawnień każdego człowieka, konsekwentnie zabiegali o to, by niewolnik mógł w zgodzie ze swoją własną wolą zawierać związek małżeński, wypełniać małżeńską powinność i płodzić dzieci. Względem stosunków panujących w starożytności było to bardzo dużym postępem. W średniowieczu przestano też uważać, że wojna jest zawsze tytułem prawnym do zniewalania. Przyjął się obyczaj, zgodnie z którym chrześcijanie nie mogli czynić innych chrześcijan swoimi niewolnikami. Dla relacji między społecznościami średniowiecznej Europy miało to ogromne znaczenie, nawet jeżeli nie obejmowało wszystkich ludzi, to znaczy niechrześcijan. Upowszechniono też przekonanie, zgodnie z którym chrześcijanin nie może być niewolnikiem Żyda czy muzułmanina, co doprowadziło w końcu do zaprzestania sprzedaży ludności europejskiej do Afryki i na Bliski Wschód. Bez chrześcijaństwa nigdy by tego nie było: autorzy kościelni wskazywali, że panowanie niechrześcijanina nad chrześcijaninem stwarza po prostu sytuację zagrożenia wiary.

Nowy rozdział historii niewolnictwa otworzyły dalekie wyprawy morskie Europejczyków. W XIV w. swoistym laboratorium problematyki niewolnictwa stały się Wyspy Kanaryjskie, a w wieku XV – Afryka Zachodnia. W 1452 r. papież Mikołaj V wydał bullę „Dum diversas" adresowaną do króla Portugalii Alfonsa V, w której pozwolił na zajmowanie terytoriów należących do pogan oraz na zniewalanie podbitej ludności, o ile nie chodziłoby o chrześcijan. Mikołaj – tak jak większość ówczesnych teologów – był przekonany, że wojna prowadzona przeciwko afrykańskim poganom jest wojną sprawiedliwą, bo pośród jej celów

GRZEGORZ KULIK „KATOLICKIE ZASADY NIEWOLNICTWA W NAUCZANIU TEOLOGÓW XVI I XVII WIEKU" WYD. VON BOROWIECKY 2023

znajduje się ochrzczenie ludności podbijanej. Wśród autorów chrześcijańskich istniały już wówczas poglądy przeciwne, np. formułowane ponad 100 lat wcześniej przez błogosławionego Dunsa Szkota, który całkowicie odrzucał wojnę jako legalny tytuł do zniewolenia; ale większość uważała przeciwnie.

Nowoczesna dyskusja na temat niewolnictwa rozpoczęła się dopiero w XVI w.; to stanowi główny przedmiot książki Grzegorza Kulika. Kiedy Europejczycy spotkali się z ludnością rdzenną Ameryki, byli zatrwożeni jej obyczajami. Krwawe ofiary z ludzi, kanibalizm, nagość czy brak piśmiennictwa – takie cechy cywilizacji Indian sprawiały, że w oczach wielu wykształconych chrześcijan ludność ta jawiła się jako nieprzezwyciężenie barbarzyńska, to znaczy: niższa, nie tylko z kultury, lecz także z natury. Część autorów piszących o tej sprawie sądziła, że wobec Indian – a później również wobec Murzynów, nazywanych na ogół Etiopami – należy zastosować ideę Arystotelesa mówiącą o niewolnictwie z natury. Według Arystotelesa ludzi można podzielić na wolnych i niewolnych: wolni są z natury rozumni i cnotliwi, a niewolni – niemądrzy i w nikłym tylko stopniu cnotliwi. Ze względu na obyczaje i sposób życia Indian często uznawano, że tak jest właśnie w ich przypadku, a skoro tak, to obracanie ich w niewolę jest sprawiedliwe, bo są do tego przeznaczeni; nie mogą sami sobą rządzić, dlatego naturalne jest, aby mieli panów.

Taki pogląd mógł karmić różnego rodzaju patologie, a nawet bestialstwa; nierzadko rzeczywiście karmił, bo przykładów skrajnego okrucieństwa białych właścicieli niewolników nie brakuje, zarówno w przypadku zniewolonych Indian, jak i Murzynów. Autorzy katoliccy – i pokazanie tego jest wielką zasługą książki Grzegorza Kulika – w zdecydowanej większości odrzucali jednak ideę niewolnictwa z natury. W wiekach XVI i XVII stawali w obronie Indian i „Etiopów", dowodząc, że są oni tak samo wolnymi ludźmi, jak wszyscy inni, a jeżeli można ich zniewalać, to tylko w sytuacji, w której wyrządzaliby chrześcijanom jakąś krzywdę, np. prowadząc przeciwko nim wojnę. Co więcej, ukształtowała się też koncepcja, zgodnie z którą wojna przeciwko Indianom i Murzynom nie jest sprawiedliwa tylko dlatego, że nie są oni chrześcijanami, a co za tym idzie – niewolnictwo na skutek prowadzenia niesprowokowanych działań wojennych jest niesprawiedliwe. Na takim stanowisku stały dziesiątki autorów cytowanych przez Kulika, jak np. Francisco de Vitoria; byli też tacy jak Epifanio de Moirans, którzy twierdzili, że zniewalanie Murzynów nigdy nie jest sprawiedliwe, bo nawet jeżeli atakują oni chrześcijan, to ze względu na nieświadomość swoich czynów związaną z niską kulturą polityczną nie wiedzą, co czynią. Autorzy katoliccy stuleci XVI i XVII w sumie kategorycznie odrzucili koncepcję niewolnictwa z natury. Kładli też nacisk na rozumienie zniewolenia jako prawa ludzkiego, a co za tym idzie – możliwego w przyszłości do zmiany.

ODKŁAMAĆ HISTORIĘ

Idąc za refleksją starożytną i średniowieczną, wskazywano często, że właściciel ma prawo nie tyle do osoby, ile po prostu do pracy niewolnika; a to pozwalało na coraz większą humanizację losu niewolników – przynajmniej w teorii, bo w praktyce, jak wiadomo, nie zawsze to stosowano. Przemoc, nadużycia, gwałty i brutalność towarzyszące nowożytnej historii niewolnictwa nie obarczają jednak nauczania Kościoła, a jedynie tych, którzy się tych win dopuszczali. Gdyby Kościoła słuchano, sytuacja kształtowałaby się odmiennie.

Książka Grzegorza Kulika jest pod wieloma względami pracą monumentalną. Autor na końcu pracy zamieścił własne tłumaczenie obszernego traktatu o niewolnictwie XVI-wiecznego teologa, jezuity Luisa de Moliny. Tekst wydaje się naprawdę dobrym pomnikiem katolickiej dyskusji na ten temat. W sumie nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek mógł w Polsce kompetentnie pisać czy mówić na temat niewolnictwa bez drobiazgowego zaznajomienia się z pracą Kulika; a książka jest napisana na tyle zręcznie, że pomimo swojego rozmiaru pozwala na relatywnie łatwą lekturę. Daje autentyczny wgląd w niesamowicie ciekawy i jak dotąd nader często zakłamywany aspekt historii cywilizacji chrześcijańskiej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 69da641fd5

Piotr Doroszenko w 1676 r. poddał się Moskwie. Zostawił Ukrainę w całkowitej ruinie FOT. DOMENA PUBLICZNA

Ukraina w ruinie

Jacek Komuda

Największym wyzwaniem dla naszego sąsiada nie będzie doprowadzenie do rozejmu z Moskwą, ale opanowanie krachu gospodarczego i politycznego, który uderzy po zakończeniu działań wojennych mocniej niż czołgi. Oby nie skończył się „ruiną" jak w XVII w.

Hetman Bohdan Zenobi Chmielnicki zmarł w Czehrynie 6 sierpnia 1657 r. Zostawiał Ukrainę u szczytu potęgi. Osłabiona i zrujnowana była Rzeczpospolita, a Moskwa, protektorka hetmana, uwikłana w konflikt ze Szwecją. Największym sukcesem był układ rozbiorowy w Radnot, gdzie – jak pisze Janusz Kaczmarczyk – po raz pierwszy pojawiała się niezależna Ukraina. Jednak pakt ten został przekreślony przez klęskę księcia siedmiogrodzkiego Rakoczego w Polsce i to, że Rzeczpospolita zawarła z Moskwą niekorzystny traktat w Niemieży, który jednak pozwolił się skupić na pokonaniu Szwedów i Siedmiogrodzian.

Chmielnicki rozpoczął zatem rokowania z posłem królewskim Stanisławem Bieniewskim – dając mu nadzieję na dojście do porozumienia, choć oczywiście do powrotu kozaczyzny pod skrzydła Rzeczypospolitej nie mogło być mowy. W trakcie tych rozmów Chmielnicki zmarł, wcześniej zaś ogłosił na radzie następcą syna Jurija, nad którym z powodu małoletności i choroby opiekę mieli sprawować Iwan Wyhowski i Tymosz Nosacz.

Zdawać by się mogło, że dla kozackiego państwa, zwanego przez historyków Hetmanatem, zacznie się okres spokoju i wytchnienia po krwawych wojnach z Rzecząpospolitą i najazdach tatarskich. Nic bardziej mylnego. Po śmierci Chmielnickiego państwo kozackie się rozleciało, rozrywane sprzecznościami oraz ambicjami zaporoskiej elity, czyli pułkowników, asawułów, sędziów, pisarzy, których rozgrywki o władzę przypominały dzisiejszą działalność oligarchów na ogarniętej wojną Ukrainie.

UGODA PO LATACH WOJEN

Iwan Wyhowski, który był szlachcicem wziętym do niewoli w 1648 r. pod Żółtymi Wodami (walczył przeciwko Chmielnickiemu), a później został pisarzem generalnym wojska zaporoskiego, zagrał na zbliżenie z Rzecząpospolitą. Był przedstawicielem stronnictwa propolskiego, złożonego z bogatej starszyzny kozackiej, która upodobniała się do szlachty, której majątki przejęła. Byli przeciwni unii z Moskwą brutalnie łamiącą przywileje kozackie. Inicjatywa wyszła naprzeciwko działań dworu Jana Kazimierza, który forsował powrót Ukrainy pod skrzydła Rzeczypospolitej, nawet za cenę dużych ustępstw. Liczni polscy pisarze polityczni związani z dworem uważali, że trzeba pogodzić się z Kozakami. Wojewoda poznański Jan Leszczyński wydał nawet traktat zatytułowany „Pokój z kim? Czy z Szwedem czy z Kozaki, czy z Moskwą?", w którym wyraził opinię, że należy pertraktować z Wyhowskim. Jednak szlacheckie społeczeństwo patrzyło na to inaczej. Wawrzyniec Rudawski uważał później traktat za wyraz prywatnych interesów hetmana. Mikołaj Jemiołowski zaznaczał, że porozumienie zostało wymuszone na znajdującej się w złej sytuacji Rzeczypospolitej. Pamiętnikarz Joachim Jerlicz uważał go za zdradę.

Ugodę wspierał jednak polityk, statysta i awanturnik Jerzy Niemirycz, który wcześniej, podobnie jak Radziejowski, paktował ze Szwedami, potem przeniósł się na Ukrainę i przyjął prawosławie. Za jego radą kozacki hetman zawarł z Rzecząpospolitą 16 września 1658 r. ugodę czy też

eprasa.pl 69da641fd5

unię hadziacką, na której mocy terytorium kozackie miało wejść w skład państwa jako trzeci człon federacji. Obok Wielkiego Księstwa Litewskiego miało powstać Księstwo Ruskie z własnymi administracją, prawami i autonomią, i wojskiem. Do dziś budzi ona kontrowersje.

Zdawać by się mogło, że jest to rozwiązanie słuszne, a po latach wojen i wrogości Ukraina wróci wreszcie do Rzeczypospolitej, gdyż osobno każdy z tych podmiotów politycznych mógł tylko przegrać rywalizację z Moskwą. Tak się jednak nie stało. Negocjacje wzbudziły jeszcze przed podpisaniem Hadziacza sprzeciw Siczy Zaporoskiej – wolnego towarzystwa Kozaków, którzy od dawna pozostawali w konflikcie z bogatą i wpływową starszyzną z Ukrainy. Doszło do buntu bractwa Niżowców, który przypominał jako żywo historię wojny Chmielnickiego z Rzecząpospolitą. Ataman koszowy Jakub Barabasz wyszedł bowiem z Siczy i zaatakował włość, czyli zamieszkałe obszary Ukrainy, przede wszystkim majątki znienawidzonych bogaczy. Wkrótce po jego stronie stanął płk Martyn Puszkar, stronnik moskiewski. Obydwaj napisali donos na Wyhowskiego jako na: „Lacha, który chciał sprzedać Ukrainę Polsce".

Reakcja hetmana była brutalna – 11 czerwca uderzył na Zadnieprze, na Połtawę, gdzie pobił buntowników, Puszkar zginął w walce, a jego obciętą głowę przyniesiono hetmanowi, Barabasza schwytano i powieszono. W takich okolicznościach Wyhowski mógł śmiało zawrzeć 16 września ugodę z Rzecząpospolitą, w wyniku której na mapie pojawiło się Księstwo Ruskie.

MOSKWA DZIELI I RZĄDZI

Odpowiedzią cara Aleksego Michajłowicza były ogłoszenie gramoty wzywającej lud do oporu przeciwko Wyhowskiemu i aktywacja własnego stronnictwa. W kwietniu 1659 r. na Ukrainę wkroczyła armia carska wsparta przez kolejnego buntownika kozackiego – Iwana Bezpały – rozpoczynając oblężenie Konotopu. W tej sytuacji Wyhowski zebrał wojsko, posiłki polskie, uzyskał pomoc tatarskiej ordy i 8 lipca zadał wojskom moskiewskim druzgocącą klęskę. Do dziś zwycięstwo to uznawane jest przez historyków ukraińskich za jeden z największych triumfów kozackich. Jednak jego chwała nie przetrwała długo i pokazuje, że nie tylko Polacy są mistrzami w marnowaniu okazji.

Dwa miesiące wcześniej, 22 maja, sejm Rzeczypospolitej zatwierdził ugodę hadziacką, jednak nie w takiej formie, w jakiej została zawarta. Ograniczono uprawnienia Hetmanatu, który nie mógł bić własnej monety, a hetman nie mógł przyjmować poselstw zagranicznych, co w zasadzie sprawiało, że nie było żadnego Księstwa Ruskiego. Jak podaje Natalia Jakowenko, Ukraina wchodziła w skład Korony jako obszar autonomiczny – na warunkach przypominających ugodę zborowską z 1649 r.

To wszystko podkopało pozycję Wyhowskiego. W dodatku Moskwa rozegrała Kozaków po mistrzowsku: najpierw na Lewobrzeżu zbuntował się podkupiony pułkownik perejasławski Tymofiej Cieciura. Wiktoria bowiem pod Konotopem dała Wyhowskiemu tyle samo stronników, co wrogów, zazdroszczących mu powodzenia. Cieciura był zaś typowym watażką kresowym, zmieniającym stronnictwa i sojusze, co ciekawe – nobilitowanym przez sejm Rzeczypospolitej do stanu szlacheckiego. Teraz połączył się z dwoma innymi niezadowolonymi z rządów Wyhowskiego pułkownikami – Jakimem Somką i Wasylem Zołotarenką, krewnymi Chmielnickiego, obrażonymi na hetmana, że to jemu powierzono oficjalnie regencję do czasu pełnoletności młodego Chmielnickiego. Cieciura wywołał powstanie na Lewobrzeżu, wyciął polski garnizon w Niżynie i zaprosił moskiewskiego księcia Trubeckiego do wkroczenia na Ukrainę. Walki rozpoczęły się już w sierpniu, w jednej z potyczek zginął Jerzy Niemirycz, jeden z twórców ugody hadziackiej, człowiek, który wymyślił Księstwo Ruskie.

11 września 1659 r. zwaśnione strony zwołały czarną radę kozacką w Germanówce na południe od Kijowa. Przybyli tutaj Wyhowski i Cieciura na czele swoich taborów. Doszło do starcia dwóch stronnictw, w czasie walk i krwawych negocjacji zamordowano stronników hetmana – Prokopa Wereszczakę i Stefana Sulimę – którzy byli posłami na sejm i negocjowali przyjęcie ugody hadziackiej. Masy czerni podjudzone przez stronnictwo promoskiewskie zrzuciły z hetmaństwa Wyhowskiego, który musiał uciekać z Ukrainy.

Na kolejnej radzie powierzono buławę Jurijowi Chmielnickiemu, a ten od razu zwrócił się do wojewody Aleksego Trubeckiego z propozycją zawarcia unii przypominającej tę z Perejasławia. Zakładała ona dużą autonomię Hetmanatu – na Ukrainie nie miało być garnizonów carskich, kozaccy posłowie mieli współdecydować o zagranicznej polityce cara we wszystkich decyzjach dotyczących Ukrainy. Wkraczające tu wojsko moskiewskie miało być oddawane pod komendę hetmana zaporoskiego.

Trubecki rozegrał Kozaków tak, jak 100 lat później Moskwa zmuszała nasze elekcje i sejmy do zatwierdzenia swoich żądań oraz kandydatów. Szkoda, że żaden z polskich statystów nie zapamiętał drugiej ugody w Perejasławiu, bo to właśnie w jej trakcie władze carskie nauczyły się, jak sterować podobnymi zgromadzeniami. Wojewoda zaprosił kozacką starszyznę do Perejasławia. Potem wszystko potoczyło się według scenariusza, który znamy w XVIII-wiecznej Rzeczypospolitej. Na Kozaków czekały tłumy przekupionej przez Moskwę czerni, kozackich stronników i potężne wojsko. Trubecki nakazał obwołać młodego Chmielnickiego hetmanem, ale do podpisu położył przed Kozakami zupełnie inne propozycje niż przywiezione przez posłów. Nie było mowy o negocjacjach – artykuły perejasławskie znacznie ograniczały samodzielność Kozaków. Hetman nie mógł usuwać ani mianować pułkowników, wojewodowie moskiewscy mieli zostać wprowadzeni do większości dużych miast i byli utrzymywani na koszt ludności. Hetman nie mógł prowadzić własnej polityki zagranicznej ani zaczynać działań wojennych, natomiast metropolita kijowski miał uznać zwierzchność patriarchy moskiewskiego.

Ugoda wywołała ogromne niezadowolenie wśród kozackiej starszyzny z Prawobrzeża i – jak sugeruje Natalia Jakowenko – od tej chwili datuje się wielki rozdział Kozaczyzny na prawy i lewy brzeg Dniepru. Podział, którego skutki być może widoczne są także dzisiaj.

PRAWY I LEWY BRZEG

Kiedy w 1660 r. carskie armie zaatakowały Rzeczpospolitą, Kozacy walczyli po stronie moskiewskiej. Jednak Wasyl Szeremietiew został pokonany pod

eprasa.pl 69da641fd5

Cudnowem, a spieszące mu na pomoc wojska zaporoskie zostały osaczone pod Słobodyszczem przez armię koronną Jerzego Sebastiana Lubomirskiego i wspomagających go Tatarów.

Duch nie był najlepszy, dlatego młody Chmielnicki podpisał 17 października 1660 r. kolejną ugodę pod Słobodyszczem z Polakami. Przywracała ona warunki układu z Hadziacza, ale nie było już mowy o Księstwie Ruskim. Kiedy ratyfikowała ją rada w Korsuniu, Moskwa miała już przekupionego kolejnego służalca – Jakima Somkę – który po raz trzeci zawarł ugodę z carem w Perejasławiu i został nawet ogłoszony nakaźnym hetmanem. Jurij Chmielnicki z pomocą polską i tatarską usiłował podbić Lewobrzeże, ale został pokonany. Ostatecznie w 1662 r. schorowany i sterany ustąpił ze stanowiska, wstąpił do klasztoru.

W styczniu 1663 r. buławę otrzymał Paweł Tetera, poplecznik Wyhowskiego, szlachcic reprezentujący interesy bogatej starszyzny zaporoskiej, która zmieniła się już we właścicieli ziemskich na Ukrainie, czasem nie ustępując pozycją dawnym polskim magnatom.

Nieco wcześniej na Lewobrzeżu doszło do sporów pomiędzy hetmanem nakaźnym Somką a Zołotarenką i Iwanem Brzuchowieckim, który okazał się najwierniejszym stronnikiem cara. Podstępnie odsunął rywali, uzyskując wsparcie księcia Grigorija Romodanowskiego, dzięki któremu został w czerwcu 1663 r. obwołany hetmanem, a dwaj pozostali zostali straceni jako zdrajcy cara. Czarna rada odbyła się w Niżynie, który oczywiście obstawiony był wojskiem carskim, aby obrady potoczyły się po myśli wysłannika Moskwy.

W sierpniu 1663 r. Król Jan Kazimierz rozpoczął ostatni atak na Moskwę, próbując zmusić cara do rozejmu i podbicia Zadnieprza. Wyprawa wspierana przez Tatarów i Kozaków utknęła jednak na obleganiu licznych fortec, przede wszystkim Głuchowa, którego nie zdobyto. Ostatecznie armia uderzyła na tereny moskiewskie – pod Siewsk, gdzie połączyła się w lutym 1664 r. z wojskiem litewskim. Jednak pochód wstrzymano z powodu wyczerpania wojska. Odwrót zaktywizował promoskiewskich Kozaków. W 1664 r. tereny Prawobrzeża zostały zaatakowane przez oddziały Brzuchowieckiego. Szybko wybuchły tu bunty m.in. Stawiszcz, które tłumił krwawo Stefan Czarniecki, mając do pomocy Kozaków Tetery. Gdy w Rzeczypospolitej wybuchł rokosz Lubomirskiego i wojska koronne opuściły Prawobrzeże, upadła również władza hetmana, mimo że wcześniej kazał rozstrzelać Iwana Wyhowskiego pod zarzutem zdrady i współpracy z Moskwą. Ostatecznie Tetera złożył urząd i wyjechał do Warszawy, gdzie nadano mu stanowisko stolnika połockiego.

Hetmanem Prawobrzeża został teraz Piotr Doroszenko, zamierzający – jak wcześniej Chmielnicki – zjednoczyć Ukrainę pod swą władzą. Podobnie jak tamten dokonał odwrócenia przymierzy – zawierając traktat z Tatarami i rozbijając pod Braiłowem nieliczne chorągwie koronne, gdyż wojsko zajęte było wówczas walką z rokoszem Lubomirskiego. Zwycięstwo to przypieczętowało podział Ukrainy na dwie części, bo w styczniu 1667 r. Rzeczpospolita i Moskwa zawarły rozejm w Andruszowie, dzieląc sporne terytorium na dwie części – Prawobrzeże pozostające przy Rzeczypospolitej i Lewobrzeże – pod Moskwą, której dodatkowo oddany został na dwa lata Kijów. Zaporoże z Siczą miało znajdować się pod wspólną kontrolą obu państw. Zawarcie traktatu wzburzyło Kozaków z obu stron Dniepru. W umysłach starszyzny zaczęła dojrzewać myśl, aby zwrócić się z prośbą o pomoc do nowego protektora – Turcji. Zarówno Doroszenko, który ruszył z Tatarami na Rzeczpospolitą i pobity został pod Podhajcami przez Jana Sobieskiego, jak i Brzuchowiecki zaczęli myśleć o współpracy.

18 czerwca 1668 r. doszło do spotkania hetmanów. Doroszenko kazał zamordować Brzuchowieckiego, a następnie pogrzebać go z honorami w Hadziaczu. Odparł atak moskiewski, lecz kiedy wrócił do Czehrynia, pozostawiony na Lewobrzeżu Demian Mnohohriszny został obwołany hetmanem i zatwierdzony w marcu 1669 r. na radzie w Głuchowie przez władze carskie. Ponieważ jednak nowy wódz krytykował rządy moskiewskie, został przez wrogów schwytany i wydany Moskwie. Carscy wysłannicy nie kierowali się już żadnymi pozorami – wywieziono go do stolicy, gdzie miał być stracony po torturach, ostatecznie zesłano go na Syberię. Hetmanem Lewobrzeża obwołano zaś Iwana Samojłowicza, przy okazji zacieśniając także kontrolę nad podległymi mu Kozakami.

PRZEKLĘTY DOROSZENKO

W tym samym czasie Doroszenko sprowadził kolejne nieszczęście na Rzeczpospolitą. Początek lat 70. XVII w. to bowiem załamanie sił Kozaczyzny, których pułki przestawały stanowić realną siłę bojową, a liczebność Kozaków wyniszczonych wojnami i bratobójczymi walkami spadła. Hetmani nie byli pewni swoich ludzi, ponieważ pojawiły się oddziały serdiuków, czyli Kozaków zaciężnych stanowiących gwardię hetmanów.

Doroszenko widząc, że sam nawet z Tatarami nie ma szans na wydarcie Rzeczypospolitej prawobrzeżnej Ukrainy, uznał zwierzchnictwo tureckie. Jego polityka przypominała jakby dzisiejszą, zbankrutowanego prezydenta Zełenskiego. Z jednej strony roił o Księstwie Ruskim z granicami do Przemyśla, Lwowa, Jarosławia, z drugiej – był zbyt słaby, aby zrealizować swój zamiar, więc... sprowadził na Ukrainę atak Turcji w 1672 r., który zwykłym mieszkańcom przyniósł ogromne krzywdy i cierpienie. Tysiące chłopów, mieszczan i prostych Kozaków poszło w jasyr, Tatarzy spalili i złupili setki wsi, zbezcześcili cerkwie i monastery. Już wówczas dochodziło do zdumiewających sytuacji, jak pod Podhajcami, gdzie miejscowe chłopstwo wspierało oddziały Sobieskiego, woląc Lachów niż Kozaków Doroszenki i Tatarów.

Wkrótce wybuchła wojna moskiewsko-turecka, kiedy oddziały Samojłowicza usiłowały zająć pozostałą część Prawobrzeża. Zbankrutowany Doroszenko próbował bronić się w Czehryniu, opuszczony prawie przez wszystkich, ostatecznie skapitulował 17 października 1676 r., poddając się Moskwie i uznając władzę hetmańską rywala. Początkowo przebywał w posiadłości nadanej mu przez Samojłowicza, potem został wywieziony do stolicy, ale nie zesłany.

Ukraina była już wówczas w całkowitej ruinie. Z chwały kozactwa ostały się tylko terytoria Lewobrzeża, całkowicie uzależnione od Moskwy. Prawobrzeże dopiero od początku XVIII w. poddane było ponownej kolonizacji przez Polaków. Po klęsce hetmana Mazepy nie było już mowy o wolnej Ukrainie, a Prawobrzeże zajęła Rosja w 1793 r., w wyniku rozbiorów Rzeczypospolitej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 69da641fd5

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Likwidacja „elementu”

Różne były formy fizycznej likwidacji prawdziwych i urojonych wrogów komunizmu w Polsce Ludowej po 1944 r. Najbardziej znane to „wyroki” sądowe i ich wykonywanie, bardzo często w trybie doraźnym, czyli natychmiastowym. Wielokrotnie więcej zginęło jednak ludzi w aresztach i więzieniach, podczas okrutnych przesłuchań oraz na skutek warunków w celach – bez lekarstw, pomocy medycznej, z chłodu i niedożywienia.

Jeszcze więcej zginęło osób podczas okresowych, masowych pacyfikacji i obław, gdzie bardzo często ofiarami była bezbronna ludność cywilna, która nie miała się gdzie chronić. Dziś nie znamy pełnych rozmiarów represji oraz skali strat powojennych, bo nie było tego typu badań. Jeśli jednak uwzględnimy straty za tzw. linią Curzona, czyli na ziemiach zabranych przez Sowietów po latach 1944/1945, mogło to być łącznie nawet sto kilkadziesiąt tysięcy osób, w tym znaczna część to były ofiary cywilne, łącznie z kobietami i dziećmi.

Zdarzały się ponadto sytuacje w ogóle nieopisane przez historyków, związane z działalnością tzw. band pozorowanych. Były to operacje aparatu bezpieczeństwa publicznego (różnych formacji), ludowego wojska, „cywilnych” bojówek PPR. Udawały one oddziały podziemia niepodległościowego, stosując prowokacje, rozpoznanie terenu, dokonując podstępnych likwidacji.

Były również bardziej wyrafinowane metody, stosowane długo po zakończeniu działań wojennych. Oto np. w grudniu 1952 r. komunistyczna bezpieka po długich poszukiwaniach ustaliła dane jednego z kolejnych szefów wywiadu Okręgu Podlasie NSZ z okresu okupacji niemieckiej. Był to zawodowy oficer żandarmerii II RP, bezpieka rozszyfrowała go jako kpt. Stefana Rudzkiego ps. Fan/Sfer. Prawdopodobnie nie było to jego prawdziwe nazwisko. Rozpoczęły się poszukiwania, wręcz polowanie, aby go ująć i zmusić do współpracy z UB. Polecenie brzmiało: „Jak najszybsze ustalenie miejsca zamieszkania szefa wywiadu Rudzkiego Stefana ps. »Fan – Sfer« i opracowanie go do werbunku”. Ale jednak jakiś wyższy rangą oficer MBP skreślił ostatnie słowa: „i opracowanie go do werbunku” oraz dopisał na czerwono: „do likwidacji”.

Na stronie tytułowej tego dokumentu jest wpis (też czerwoną kredką, tą samą ręką, ale podpis jest nieczytelny): „na zaplanowanie werbunku Rudzkiego […] nie zgadzamy się. Po ustaleniu wspomnianych w raporcie szefów i aktywnych czł. [onków] wywiadu NSZ przeprowadzić likwidację. Dążyć do jak najszybszej likwidacji tego elementu”. Pod tym dopiskiem jest ubecka parafka i data: 23 grudnia 1952 r.

Jego losy nie są znane… ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Dziwactwa Marszałka

Józef Piłsudski osobiście nie lubił telefonów. Nie znosił procedury łączenia i zlecał ją z reguły adiutantowi Mieczysławowi Lepeckiemu. Ten wspominał, że komendant czasami „telefonował sam, ale było to tylko kilka razy w ciągu kilku lat, nie licząc rozmów z rodziną”. Prowadzenie polityki wymaga jednak łączności ze światem i Marszałek niechętnie wyraził zgodę na instalację telefoniczną w swoim gabinecie.

Współpracownicy, znając niechęć pryncypała do telefonów, dzwonili wyłącznie wtedy, kiedy wymagała tego sytuacja. Lepecki zauważył, że „nawet pan Prezydent przed zatelefonowaniem uprzedzał nas przez adiutanta, a my meldowaliśmy Marszałkowi. Wtedy to pan Marszałek odbierał telefon bezpośrednio”.

Piłsudski nie liczył się z potrzebami innych, niekiedy wzywał do siebie interesantów w środku nocy. Czasami goście komendanta nie wiedzieli, jak potraktować takie wizyty. Znany z nienagannych manier książę Janusz Radziwiłł długo się zastanawiał, jaki strój włożyć (był zaproszony na drugą w nocy). Odpowiedni na wieczór czy też właściwy dla godzin porannych?

Niechęć do telefonów nie była wyjątkiem, Piłsudski nie przepadał również za audycjami radiowymi. Podobno lubił wyłącznie transmisję hejnału z wieży kościoła Mariackiego w Krakowie (po raz pierwszy nadaną 16 kwietnia 1927 r.) oraz prognozy pogody. Nie ukrywał zresztą radości, gdy przewidywania meteorologów się nie sprawdzały. Osobiście nie potrafił nawet regulować odbiornika, wystarczała mu świadomość, że urządzenie zamilknie po wyrwaniu wtyczki z kontaktu.

W podobny sposób Piłsudski początkowo traktował kinematografię – uważał filmy za dziecinną rozrywkę, niezrozumiałą dla dorosłego człowieka. Sam do kina nie chodził, nie mógł więc zapoznać się ze sztuką filmową. Zdanie jednak zmienił na początku lat 30., kiedy pojawiły się przenośne modele aparatów umożliwiające wyświetlanie filmów w GISZ lub w Belwederze.

Piłsudski nie miał sprecyzowanych upodobań filmowych. Nie przepadał za burleską (np. filmami z Flipem i Flapem), ale „nie podobały mu się obrazy ponure.” Preferował „utwory o przewadze muzyki i śpiewu nad akcją”, stąd jego pozytywna opinia o „Tobie śpiewam tę pieśń” (z udziałem Jana Kiepury). Prawdziwą namiętnością Marszałka (i jego rodziny) stały się natomiast obrazy animowane. Lepecki zapamiętał prawdziwy zachwyt Komendanta, który ten wyraził „po ujrzeniu po raz pierwszy kreskówki barwnej Walta Disneya”. Piłsudski polubił kino tak bardzo, że oglądał filmy także podczas swojej ostatniej choroby, kiedy już nie opuszczał łóżka. ©℗

eprasa.pl 69da641fd5

Z Giorgią Meloni, premier Włoch, przewodniczącą partii Bracia Włosi oraz Partii Europejskich Konserwatystów i Reformatorów
rozmawia Jacek Przybylski

Chcemy innej Unii Europejskiej

eprasa.pl 69da641fd5

FOT. ANDREAS SOLARO/AFP/EAST NEWS

JACEK PRZYBYLSKI: Pani zwolennicy mają nadzieję, że stanie się pani nową Angelą Merkel – będzie rządzić długie lata i sprawi, że Włochy staną się oazą stabilności w porównaniu z pogrążającymi się w chaosie Niemcami i Francją. Ponadto brytyjski premier, Rishi Sunak, porównał panią do Margaret Thatcher. Które porównanie podoba się pani bardziej i kto jest pani wzorem do naśladowania we współczesnej polityce?

GIORGIA MELONI: Zawsze uważnie i z szacunkiem patrzę na to, co dzieje się w innych krajach, i na ich przywódców. Jednocześnie zawsze uważałam posiadanie zagranicznych wzorców za zły trend. Każdy naród ma swoją historię. Celem przywódców politycznych musi być więc zbudowanie własnego modelu, a nie powielanie wzorców stworzonych przez innych.

To powiedziawszy, z pewnością mówimy o dwóch przywódcach, Angeli Merkel i Margaret Thatcher, którzy – choć w bardzo różnych latach i kontekstach historycznych – służyli swojemu narodowi z wielką determinacją, pozostawiając wyraźny i trwały ślad. I uczyniły to jako kobiety dzięki swemu talentowi i zasługom. Nie przez kwoty, jak chciałaby lewica.

Merkel i Thatcher miały przywilej sprawować rządy nad swoimi narodami przez długi czas i mam nadzieję, że ja też będę miała taką samą szansę, ponieważ Włochy potrzebują stabilnego i skutecznego rządu oraz wizji i jej realizacji. Na razie mojej historii nie można porównywać z historią Thatcher czy Merkel, jestem dopiero na początku swojej drogi.

„Nie taki straszny prawicowy rząd Giorgii Meloni, jak go malują" – taki tytuł pojawił się w „The Economist" na początku 2024 r. Jednak gdy pani partia wygrała wybory jesienią 2022 r., była postrzegana przede wszystkim jako reinkarnacja faszyzmu okresu międzywojennego i zagrożenie dla wspólnych wartości UE i NATO. Jak udało się pani tak szybko zatrzeć wizerunek partii prawicowej?

Wyjaśnienie jest bardzo proste. Włoska lewica, która sprawowała rządy niemal nieprzerwanie przez ponad 10 lat, nie wygrywając wyborów, używała przeciwko swoim przeciwnikom politycznym broni, której zawsze używa: czyli ich „monsteryfikacji".

Jeśli ktoś jednak bezwstydnie kłamie, to zawsze ryzykuje, że te kłamstwa wrócą do niego jak bumerang, i tak właśnie się stało w tym przypadku.

Niestety, międzynarodowe środowiska lewicowe mają tak mocne ugruntowanie w mediach, że niektóre międzynarodowe tytuły uwierzyły w ich wersję, nawet nie próbując nas poznać.

Prawdziwy obraz zdecydowanego, poważnego i pragmatycznego rządu o lata świetlne dzieli nas od lewicowej karykatury i ci, którzy odznaczają się uczciwością intelektualną, musieli to przyznać. W ostatecznym rozrachunku bycie niedocenianym może być zaletą.

Prawda jest taka, że lewica przykleja innym etykiety „niereprezentowalności", aby uniknąć debaty, ponieważ nie podołałaby takiemu wyzwaniu, gdyby musiała polegać na swoich ideologicznych złudzeniach.

Lewica przedstawiała konserwatystów jako wrogów Europy, a sama doprowadziła UE do wielu porażek

To samo lewica zrobiła w stosunku do Europy. Przedstawiała konserwatystów jako wrogów Europy, tymczasem sama doprowadziła Unię Europejską do wielu porażek, przekształcając ją w biurokratycznego giganta, który stanowi prawo we wszystkim, ale nie jest w stanie określić własnej misji geopolitycznej w celu wzmocnienia naszej wspólnej cywilizacji.

Podobnie dzisiaj wiele osób musi przyznać rację konserwatystom w sprawie różnych zagrożeń, przed którymi od lat staramy się ostrzegać Unię Europejską – od ryzyka zakłóceń w łańcuchach dostaw, poprzez konieczność walki z nielegalną imigracją, aż do ryzyka związanego z tym, że forsowana przez UE transformacja jest nie tyle ekologiczna, ile ideologiczna.

Czy wierzy pani, że w nadchodzących wyborach do Parlamentu Europejskiego ugrupowania prawicowe mają szansę odebrać lewicy dużą część mandatów i uchronić Unię Europejską przed szybką przemianą ze związku suwerennych narodów w superpaństwo?

eprasa.pl 69da641fd5

Chcemy Unii Europejskiej innej niż ta, którą mamy dzisiaj. Takiej Unii, która jest w stanie skoncentrować swoje inicjatywy i zasoby gospodarcze tylko na kilku ważnych tematach, w których może naprawdę wnieść wartość dodaną. Mam tu na myśli w szczególności energetykę i infrastrukturę, suwerenność żywnościową, autonomię technologiczną i obronność. Całą resztę należy pozostawić państwom członkowskim, zgodnie z zasadą pomocniczości.

UE musi bronić swoich granic zewnętrznych i nie może zmuszać swoich obywateli do przyjmowania mas nielegalnych imigrantów.

Unia Europejska musi działać na rzecz zabezpieczenia dostaw surowców niezbędnych do rozwoju naszej gospodarki, skrócenia łańcuchów produkcyjnych i urzeczywistnienia autentycznej społecznej gospodarki rynkowej.

Kadencja Parlamentu Europejskiego w latach 2019–2024 charakteryzowała się błędnymi priorytetami i strategiami, takimi jak choćby Zielony Ład, oraz chęcią narzucenia postępowego programu ideologicznego. Zbliżające się wybory europejskie stanowią historyczną szansę. Po raz pierwszy udało się utworzyć centroprawicową większość. Jestem przekonana, że osią tej zmiany będą europejscy konserwatyści.

Jest pani przewodniczącą Partii Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (ECR). Jednak włoska partia Forza Italia i wielu innych graczy w UE chcą, aby dołączyła pani do Europejskiej Partii Ludowej (PPE). Takie posunięcie oznaczałoby potencjalne porzucenie prawicowych sojuszników z Polski, Hiszpanii, ze Szwecji i z innych krajów. Naprawdę rozważa pani pozostawienie obecnych sojuszników?

Nigdy nawet nie myślałam o przystąpieniu do EPP i jestem bardzo zaintrygowana tym, że te zmyślone wiadomości krążą po Europie. Przydatne i interesujące byłoby zrozumienie, komu zależało na ich publikacji i jaki interes mu przyświecał. Jestem dumną przewodniczącą Europejskich Konserwatystów i pełniąc tę funkcję, zdecydowanie angażuję się w powiększanie naszej rodziny politycznej. Rosnąca uwaga skierowana na nas wynika także z osiągnięć mojego rządu, ale przede wszystkim ze spójności wyrażanej przez Grupę ECR oraz z jakości propozycji jej partii członkowskich.

ECR rośnie w siłę i odgrywa coraz ważniejszą rolę w europejskiej polityce. Nasi wyborcy wiedzą, że jesteśmy jedyną siłą polityczną zdolną do przeprowadzenia historycznych zmian. Mamy jednak świadomość, że sami nie zdołamy zrealizować naszych programów. Dlatego musimy budować sojusze.

W Parlamencie Europejskim większości nie są tak stabilne jak w parlamentach krajowych i są definiowane na podstawie różnych kwestii. Moimi celami pozostają jednak eksport włoskiego modelu politycznego oraz zbudowanie silnej i wiarygodnej alternatywy dla lewicy, zdolnej zmienić UE.

Chcemy Unii Europejskiej innej niż ta, którą mamy dzisiaj. Takiej UE, która jest w stanie skoncentrować swoje inicjatywy i zasoby gospodarcze tylko na kilku ważnych tematach. Całą resztę należy pozostawić państwom członkowskim

Jako jedna z pierwszych pogratulowała pani Donaldowi Tuskowi objęcia stanowiska szefa rządu i zapewniła o polsko-włoskiej przyjaźni. Jak ocenia pani obecne relacje pomiędzy Polską a Włochami?

Pogratulowałem Donaldowi Tuskowi dokładnie tak, jak to zwykle robię w przypadku wszystkich europejskich premierów, kiedy są oni wybierani. Moim głównym zadaniem jako szefowej włoskiego rządu jest służenie mojemu narodowi, ale z szacunkiem dla każdego innego narodu.

Polska jest bardzo ważnym krajem, z którym łączą nas solidne stosunki polityczne, gospodarcze i kulturalne. Bardzo dobrze współpracowało mi się z poprzednikiem Tuska, moim przyjacielem Mateuszem Morawieckim, i uważam, że współpraca Włoch i Polski w Unii Europejskiej ma fundamentalne znaczenie, zwłaszcza w kwestiach obronności, walki z nielegalną imigracją i poszanowania suwerenności państw członkowskich w celu zapobiegania destrukcyjnych ingerencji ze strony Brukseli.

Resztę zobaczymy po wyborach, mam jednak nadzieję, że w końcu EPP zrozumie, że prawdziwi wrogowie to nie prawica, i zamiast być podporą dla sił lewicowych, powróci do swojej centroprawicowej roli.

Z pewnością konserwatywnych wyborców w Polsce i we Włoszech łączy wiele, włączając w to krytyczne podejście do nielegalnej migracji. Czy spotkanie przywódców UE z prezydentem Egiptu, Abdelem Fattahem al-Sisim, w marcu tego roku – mające na celu podpisanie umowy o wartości 7,4 mld dol. w zamian za stymulowanie rozwoju w zamian za zatrzymanie napływu migrantów – daje realną szansę na zatrzymanie fali migracji?

Jestem bardzo dumna z roli, którą Włochy odegrały w finalizacji strategicznego partnerstwa między Egiptem a Unią Europejską, a także z roli, którą odegrały w wypracowaniu memorandum z Tunezją i porozumienia z Albanią w sprawie rozpatrywania wniosków o azyl na terytorium Albanii. Mogą one być bowiem punktem zwrotnym w walce z handlem ludźmi.

Inicjatywa dotycząca umowy z Egiptem ma na celu wzmocnienie i wspieranie nowej strukturalnej metody współpracy między dwoma wybrzeżami Morza Śródziemnego zgodnie z promowanym przez rząd włoski tzw. planem Mattei, którego celem jest pomoc w stworzeniu takich warunków, dzięki którym mieszkańcy Afryki nie będą już zmuszeni do emigracji.

Egipt jest jednym z kluczowych podmiotów zapewniających stabilność i bezpieczeństwo na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej i może również odegrać bardzo ważną rolę w zwalczaniu nielegalnej imigracji. Dlatego zdecydowaliśmy się przeznaczyć 200 mln euro na zarządzanie migracjami i wzmocnienie bezpieczeństwa granic. Musimy walczyć z handlarzami ludźmi na każdym szczeblu i pracować nad tym, aby większość wniosków o azyl była rozpatrywana w krajach

eprasa.pl 69da641fd5

trzecich w sposób bezpieczny i respektujący prawa człowieka.

A jednak w grudniu przyznała pani publicznie, że włoskim władzom nie udało się powstrzymać nielegalnej migracji. Dlaczego ten problem jest tak trudny do rozwiązania?

Podczas konferencji prasowej pod koniec ubiegłego roku stwierdziłam, że nie jestem usatysfakcjonowana wynikami osiągniętymi w kwestii ograniczenia nielegalnej imigracji, zwłaszcza wobec ogromu pracy, którą włożyłam w rozwiązanie tego problemu. Zdawałam sobie sprawę, że to ogromne wyzwanie. Jednocześnie mój rząd rządzi dopiero od roku i przed nami jeszcze cztery lata pracy. Kontynuuję więc prace nad tą kwestią zarówno na szczeblu krajowym, jak i europejskim.

Statystyki opublikowane przez Frontex, które wskazują na wyraźny spadek liczby nielegalnych przyjazdów do Europy w pierwszych miesiącach 2024 r. szlakiem środkowośródziemnomorskim, potwierdzają, że środki wdrożone przez rząd Włoch są naprawdę skuteczne.

Od 1 stycznia do 28 marca 2024 r. do wybrzeży Włoch przybyło 11 239 migrantów. To prawie o 60 proc. mniej niż w tym samym okresie ubiegłego roku. Strategia włoskiego narodu, podzielana pierwszy raz także w Unii Europejskiej, przynosi realne efekty. Rezultaty nie przyszły od razu, ponieważ woleliśmy zmianę strukturalną, która wymaga czasu. Po roku możemy jednak ogłosić, że jest to skuteczna strategia. Europa musi ostatecznie zrozumieć, że potrzebne jest kompleksowe zarządzanie zjawiskami migracyjnymi w oparciu o dwa priorytety: wymiar zewnętrzny i walkę z nielegalną imigracją. Dlatego też kluczowe znaczenie będą miały następne wybory europejskie.

Kiedy obejmowała pani urząd premiera Włoch, siły lewicowe w Europie ostrzegały, że doprowadzi to do rozłamu we wspólnym europejskim froncie poparcia dla Kijowa. Tymczasem stała się pani jednym z kluczowych orędowników Ukrainy na Zachodzie. Nawet amerykański prezydent Joe Biden zauważył publicznie, że odkąd objęła pani władzę, udowodnia pani, że „jest sojusznikiem Ukrainy". Dlaczego ta sprawa jest dla premier Włoch tak ważna? I czy sądzi pani, że Zachód ma jeszcze szansę pomóc Ukrainie powstrzymać Rosję?

Statystyki Frontexu, które wskazują na wyraźny spadek liczby nielegalnych przyjazdów do Europy w pierwszych miesiącach 2024 r. szlakiem środkowośródziemnomorskim, potwierdzają, że środki wdrożone przez rząd Włoch są naprawdę skuteczne

Również w tej kwestii lewica była wierna swojej naturze, szerząc za granicą bezczelne kłamstwa w celu zdyskredytowania naszego rządu. Moje stanowisko w tej sprawie zawsze było jednoznaczne. Ponieważ w najważniejszych kwestiach mających wpływ na bezpieczeństwo obywateli poważni ludzie nie zmieniają zdania w zależności od tego, czy są w rządzie czy w opozycji. Od pierwszej minuty potępiłam rosyjską agresję na Ukrainę, stanowiącą niedopuszczalne naruszenie prawa międzynarodowego i integralności terytorialnej suwerennego narodu.

Na Zachodzie nie zawsze rozumie się, że wynik tego konfliktu zadecyduje nie tylko o integralności terytorialnej Ukrainy, lecz także o naszym własnym bezpieczeństwie. Jeśli Ukraina przegra, a Zachód ulegnie, to najwyższą cenę zapłacimy my, Europejczycy, którzy w ostatnich latach nie zainwestowaliśmy wystarczająco dużo w nasze bezpieczeństwo – zarówno militarne, jak i energetyczne. Musimy więc kontynuować wysiłki zmierzające ku temu, aby położyć kres rosyjskiej agresji i przywrócić pokój na naszym kontynencie. Jestem głęboko przekonana, że jeśli Europejczycy i inni sojusznicy z NATO pozostaną zjednoczeni, to Kijów zwycięży.

Czyli zgadza się pani z opiniami części zachodnich polityków i ekspertów wojskowych, którzy ostrzegają, że w nadchodzących latach Rosja może zaatakować jedno z państw NATO?

Ryzyko jest poważne, ale musimy być spokojni i gotowi. Jako Europejczycy musimy wydawać więcej na obronę, robić to lepiej i wzmacniać nasz przemysł wojskowy. Nie możemy powierzać naszego bezpieczeństwa państwom trzecim, ponieważ oznacza to również outsourcing części naszej suwerenności. Musimy wziąć odpowiedzialność za zapewnienie obronności naszego kontynentu w coraz bardziej gorącym i nieprzewidywalnym kontekście globalnym. Jak mawiali starożytni Rzymianie: „Si vis pacem, para bellum". Jednocześnie musimy zachęcać do wszelkich wysiłków na rzecz pokoju na całym świecie.

Zarówno w Polsce, jak i we Włoszech rolnicy protestują przeciwko unijnej polityce zwanej Zielonym Ładem. Czy nie uważa pani, że w coraz bardziej niebezpiecznych czasach Bruksela powinna porzucić przynajmniej część radykalnych planów walki o ograniczanie emisji, które skutkują spadkiem jakości życia Europejczyków i konkurencyjności europejskich firm?

Bez rolników nie ma żywności. Bez jedzenia nie ma przyszłości. To słowa, które często słyszeliśmy w ostatnich tygodniach. Wielokrotnie czytaliśmy je także na znakach i bannerach.

Cóż, niektórzy mówili i pisali, że rolnicy wyszli na ulice, aby bronić swoich przywilejów. Uważam natomiast, że rolnicy mają pełne prawo zabrać głos i poprosić o to, o co prosi każdy pracownik: uznanie odpowiedniej ceny za wykonaną pracę oraz wprowadzenie systemu zasad, który chroni i wspiera tę pracę. Czy byłby to przywilej? Uważam, że to nie przywilej, lecz zdrowy rozsądek.

Rolnictwo jest sektorem strategicznym i jako takie powinno znajdować się w centrum nie tylko polityki państw członkowskich, lecz także polityki europejskiej. Z tego powodu skutecznie wnioskowaliśmy, aby rolnictwo znalazło się wśród punktów porządku obrad ostatniej marcowej Rady Europejskiej. Apelowaliśmy o złagodzenie części ograniczeń Wspólnej Polityki Rolnej i udało się. Droga przed nami nie jest łatwa, ale możliwe jest przyjęcie innego podejścia do kwestii rolnictwa i ochrony środowiska w Europie. My zawsze będziemy pierwsi, aby go bronić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 69da641fd5

Żargon gender zabroniony w

Jan Bogatko

Od 1 kwietnia w Bawarii tzw. język gender jest oficjalnie zabroniony. Nie można go używać w urzędach, mediach i w szkole. Nowoczesność na bruku? Zwycięstwo rozsądku czy nietolerancji? Dyskusja o tym, jak pisać i mówić po decyzji rządu w Monachium, dopiero się rozpoczęła

Ale co to takiego „język gender"? Antykobiecy ruch feministek doszedł do wniosku, że język, którym posługują się ludzie na całym świecie, jest nietolerancyjny, nie uwzględnia bowiem równości płci. Ten nowo wymyślony przez feministki język ma jakoby zapewnić owo równe traktowanie płci. Ale tutaj pojawia się problem: język gender uwzględnia jedynie dwie płcie (a więc przyznaje rację definicji biologicznej płci), zgodnie z którą mamy kobietę i mężczyznę. Tymczasem mówi się nawet o tym, że płci jest tyle, ilu ludzi w ogóle. Ale jak to ująć w języku, który ma przecież służyć komunikacji?

W oparciu o krytykę feministek prowadzoną od połowy lat 70. XX w. pierwsze wytyczne dotyczące unikania używania rzekomego języka seksistowskiego pojawiły się w krajach niemieckojęzycznych w 1980 r. i zostały opracowane przez lingwistki, które należały do założycieli tzw. szkoły lingwistyki feministycznej. Zatem w dobie nawoływań o powszechną inkluzję dzieli się język według płci? Czy kobiety i mężczyźni czytający ten sam artykuł w gazecie rozumieją to samo? Czy też są to dwa różne przekazy?

NIEMCY NIE CHCĄ UDZIWNIEŃ

Żargon gender toruje sobie drogę w mediach, szkole i w urzędach, co jest w istocie symptomem toczącej

eprasa.pl 69da641fd5

Demonstracja przeciwników wprowadzenia zakazu używania tzw. języka gender przez instytucje publiczne FOT. ALEXANDER POHL/SZ-PHOTO/FORUM

Bawarii

się rewolucji seksualnej. Tymczasem tzw. język neutralny płciowo, używany w wielu mediach, bynajmniej nie spotyka się z powszechnym uznaniem ze strony Niemców. Obecnie (na początku lat 20. tego wieku) wprawdzie jedna czwarta ankietowanych przez instytut badania opinii publicznej infratest dimap (badania dla gazety „Welt am Sonntag") opowiedziała się za znakami w rodzaju gwiazdek czy dwukropków, ale ponad dwie trzecie osób dorosłych sprzeciwia się ich używaniu w mediach i w przestrzeni publicznej. Co więcej, rosnąca obecność pisowni gender (większość niemieckich dziennikarzy to wyborcy lewicy) nie wpłynęła na poziom akceptacji tego języka u konsumentów mediów. Zgoła przeciwnie – w skali rocznej niechęć do tego żargonu nawet wzrosła. Kobiety, osoby z wyższym wykształceniem i przedstawiciele młodszego pokolenia są na ogół bardziej otwarci na tzw. język neutralny płciowo, ale nawet wśród nich zwolennicy rewolucji językowej są obecnie, ku utrapieniu lewicy, w dotkliwej mniejszości. Zwolenników języka gender można znaleźć przede wszystkim wśród sympatyków partii Zieloni. Jednak nawet połowa z nich jest obecnie przeciwna jego wykorzystywaniu w mediach i przestrzeni publicznej.

Rewolucja obyczajowa pod sztandarem LGBT itd. forsuje tzw. język neutralny płciowo. Jest to zupełnie zrozumiałe. Każda lewicowa rewolucja, francuska czy rosyjska, zaczynała inżynierię społeczną od języka. Nowa „nauka" to przede wszystkim wymierne w euro granty na projekty z tej dziedziny. Finansują je różne fundacje. Zapewniają one znaczne dochody propagandystom dbającym o swój stan posiadania (mnogość płci i orientacji ukrytych w tęczowym skrócie), udaremniając tym samym opiekę medyczną czy psychologiczną nad ludźmi, którzy chcieliby wyzwolić się spod jej kurateli. Fundacje te, stowarzyszone w niemieckiej sieci „fundacji tęczowych", finansują np. pseudonaukowe prace doktorskie na wyższych uczelniach na temat rzekomej mnogości płci (a co za tym idzie – konieczności walki o ich „równouprawnienie") i „inkluzję" (ich zdaniem osoby cierpiące na zaburzenia miały być we współczesnej cywilizacji jakoby wykluczane ze społeczeństwa).

Jest tych fundacji 11 i działają w całych Niemczech: Stiftung Akademie Waldschlösschen, Hannchen Mehrzweck Stiftung, Arcus-Stiftung, Filia.Die Frauenstiftung, Hirschfeld-Eddy-Stiftung, Bundesstiftung Magnus Hirschfeld, Münchner Regenbogen-Stiftung, fundacja Prout at Work, Sappho Stiftung, fundacja Buntes Leben Stiften i Homosexuelle Selbsthilfe E.V. Podają one, że 11 proc. Niemców należy jakoby do tej społeczności. Wskaźnik ten rośnie od lat wskutek działań tych fundacji!

Władze bawarskie od dawna uprzedzały, że nie chcą napędzanego ideologią języka w urzędowej korespondencji. Kwartał po zapowiedzi odpowiedniej regulacji prawnej, ogłoszonej przez premiera rządu krajowego w Bawarii, Markusa Södera z CSU, rząd w Monachium wydał oficjalny zakaz używania genderowskich znaków ortograficznych w postaci gwiazdek czy dwukropków w korespondencji administracji publicznej, szkołach i na uczelniach. Naruszanie zakazu pociąga za sobą dla urzędników państwowych (to nadal znaczna kategoria uprzywilejowanych pracowników zatrudnionych w służbie publicznej w Niemczech) odpowiedzialność dyscyplinarną.

Żargon genderowski używany w Niemczech i występujący np. w lewicowej prasie, jak monachijska „Süddeutsche Zeitung", przypomina nieco już zapomniany, a w porównaniu z językiem gender niemalże niewinny język nieboszczki PRL w stylu „obywatele i obywatelki", z tym że język niemiecki łatwiej się nadaje do manipulacji interpunkcją przez stosowanie podkreślników, dwukropków czy słynnych już gwiazdek.

TWARDY ZAKAZ?

Szef bawarskiej Kancelarii Państwa w Monachium, Florian Herrmann z CSU, po posiedzeniu rządu oznajmił, że „to powinien być wyraźny przekaz: język musi być jasny i zrozumiały". Zakaz obowiązuje administrację publiczną, szkoły oraz wyższe uczelnie i dotyczy m.in. oficjalnej korespondencji, stron internetowych, listów dyrekcji do rodziców w sprawach uczniowskich, podręczników szkolnych i sprawozdań rocznych. Naruszenie zakazu nie ujdzie odtąd urzędnikom państwowym bezkarnie.

Jak dotąd w wypracowaniach szkolnych genderowskie gwiazdki i inne znaki podkreślane były jako nieprawidłowe, ale nie uznawano ich w Bawarii za błąd ortograficzny. Wprowadzenie zakazu pisowni gender w Bawarii (sprawy te należą w Niemczech do kompetencji krajowych) nie jest w Niemczech czymś wyjątkowym. Do 1 kwietnia 2024 r. w czterech landach niemieckich obowiązywał w szkołach zakaz genderowania, a teraz Hesja zamierza (za co jest ostro krytykowała przez lobby tęczowe i feministki) objąć zakazem genderowania uniwersytety i rozgłośnie w Saksonii. W Saksonii-Anhalcie (w nazwach krajów związkowych myślnik zastępuje spójnik „i") i Szlezwiku-Holsztynie pisownia gender oznacza jednak błąd ortograficzny i ma wpływ na ocenę. Teraz do tej grupy landów doszła Bawaria. Tymczasem dla Rady Niemieckiej Pisowni (Rat für

eprasa.pl 69da641fd5

deutsche Rechtschreibung), która od 20 lat pełni rolę regulatora standardowego języka niemieckiego dla Niemiec, Austrii, Szwajcarii, Tyrolu Południowego, Liechtensteinu i niemieckojęzycznej Belgii, znaki gender nie należą do niemieckiej ortografii i nie zostaną uznane za jej składnik. Tym samym rada podtrzymała swe stanowisko z 2021 r.

Zwraca ona też uwagę na problemy gramatyczne, które mogą powstać w wyniku ich stosowania. „Trzeba obserwować rozwój sytuacji" – uważa rada, pewnie dla świętego spokoju. Joseph Lange, przewodniczący rady, stwierdził jednak, że znaki genderowskie nie są regularnymi znakami, a ich zwolennicy dążą jedynie do uznania ich za znaki nadzwyczajne „dla opisu zjawiska społecznego", a mianowicie ujęcia „wszystkich tożsamości płciowych". Wszystkich, zatem dwóch?

Ponieważ Florian Herrmann, szef Kancelarii Państwa w Monachium, mówił o konsekwencjach, które mogą spotkać urzędników za nieprzestrzeganie nowej regulacji prawnej w zakresie pisowni gender, Bayerischer Rundfunk zwrócił się do resortu spraw wewnętrznych o wyjaśnienie, o jakie konsekwencje tu chodzi. MSW poinformowało bawarską telewizję, że to zależy od wagi danej sprawy, tak bowiem nakazuje kodeks postępowania dyscyplinarnego. Innymi słowy, BR nie dowiedział się nic konkretnego, jedynie usłyszał, że kara zależy od wagi i częstotliwości wykroczenia oraz kontekstu sprawy.

Z kolei resort oświaty i kultury (StMUK) co do odpowiedzialności za naruszenie przepisów uprzedził, że najpierw postawi się na dialog mający uwrażliwić ciało pedagogiczne na potrzebę przestrzegania wytycznych językowych. Resort ma nadzieję, że ostatecznie konsekwencje wyciągnie się tylko wówczas, „kiedy docelowo i całkiem świadomie uporczywie naruszane będą przepisy", i ma nadzieję, że „będą to sporadyczne, wyjątkowe przypadki".

To jedna strona medalu. Druga jest znacznie groźniejsza. Jest nią misjonarski zapał feministek i bojowników w kwestii rzekomo zagrożonego prawa „społeczności LGBT itd.". Rząd w Monachium obawia się… wykluczenia tych studentów, którzy nie ulegną progenderowskiej presji propagandystów nowego porządku.

Dla Rady Niemieckiej Pisowni znaki gender nie należą do niemieckiej ortografii i nie zostaną uznane za jej składnik

Istnieją poważne obawy, że nacisk ten może się ujawnić bardziej niż dotąd, jako że naładowany ideologicznie język ma mocno wykluczający efekt. Tymczasem często jesteśmy świadkami wielkiego misjonarskiego zapału „niektórych kręgów społeczeństwa" – mówi Herrmann – który w pewnym środowisku faktycznie prowadzi do przymusu, gdzie powstaje moralna presja w kierunku genderowania.

Czy decyzja z Monachium stanowi zakaz genderowania? Oczywiście nie, aczkolwiek aktywiści LGBT itd. tak to przedstawiają. Joachim Herrmann (nie mylić z Florianem Herrmannem, politykiem z tej samej partii), minister spraw wewnętrznych w Bawarii, zapewnia, że przepisy prawa i administracji w Bawarii będą tak sformułowane, iż kierować się będą tak samo do każdej z obu płci. I podaje przykład: „uczennice i uczniowie". Zatem – wiele hałasu o nic?

Przewodnicząca Zrzeszenia Bawarskich Nauczycieli i Nauczycielek (BLLV), Simone Fleischmann, wyraża ulgę, że przepis dotyczy jedynie korespondencji i nie wprowadza dalszych zakazów. Jej zdaniem byłoby niedobrze, gdyby miano narzucić np. formę prowadzenia rozmowy. Tak Fleischmann stwierdziła w BR, pominęła jednak to, że to feministki narzucają ten styl. Obawia się ona policji językowej – a przecież ta istnieje wyłącznie w postaci presji orędowników żargonu gender, której obawia się rząd w Monachium. Zdaniem szefowej BLLV młodzież sprzeciwia się wszelkim formom wykluczania, a do tego rozwój społeczny stawia na różnorodność. Dla Fleischmann najważniejsze w tym wszystkim jest to, że pisemne prace uczniów w Bawarii nie będą negatywnie oceniane za genderowanie, jak ona uważa.

IRYTACJA LEWICY

Socjaliści krytykują przepisy z Monachium. Ekspert SPD do spraw oświaty w bawarskim landtagu, Nicole Bäumler, jest oburzona: „Ludzie powinni pisać i mówić, jak chcą. Także nauczycielki i nauczyciele". Dotychczas tego zdania byli jedynie bolszewicy. Do krytyki dołącza organizacja charytatywna Arbeiterwohlfahrt (AWO), stając w obronie rządowego programu o nazwie Aktionsplan Queer dla Bawarii. Rzecznicy AWO, Nicole Schley i Stefan Wolfshörndl, oznajmili, że nie są ani za ogólnym zakazem, ani za obowiązkiem, uważają jednak, iż decyzja rządu w Monachium uderza w rządowy plan dla LGBT. Cytat: „Wiadomo, że język wpływa na myślenie i może przełamać stereotypy". Nawiasem mówiąc, dokładnie tego zdania jest rząd bawarski i z tego właśnie powodu wprowadził zakaz pisowni gender. Oczywiście lewicowa partia Zieloni zdecydowanie potępia ów zakaz, tak jak potępiają go również związki zawodowe, uczelniane organizacje polityczne, organizacje LGBT i konferencja uczniowska (organizacja na szczeblu federalnym).

Lewicę w Niemczech irytuje to, że decyzję rządu CSU w Monachium popiera klub poselski AfD w bawarskim landtagu. Rzecznik klubu po ogłoszeniu przez rząd zakazu pisowni gender oświadczył, że AfD w składanych wnioskach wielokrotnie popierała to rozwiązanie. Tymczasem – stwierdzono w oświadczeniu Alternatywy dla Niemiec – „lewicowo-zielone, ideologiczne wytyczne genderowskiej pisowni stanowią wyraz ubezwłasnowolnienia obywateli". AfD zwraca uwagę, że działanie to redukuje człowieka do tożsamości seksualnej. „Ten seksizm językowy z naciskiem odrzucamy" – czytamy w oświadczeniu klubu poselskiego.

Częste badania opinii publicznej potwierdzają, że ok. trzy czwarte Niemców denerwują gwiazdki, dwukropki czy podkreślniki w tekście czytanym. Według przewodniczącego Zrzeszenia Języka Niemieckiego (VDS), Waltera Krämera, Bawaria podjęła słuszną decyzję. W rozmowie z najpoważniejszą niemieckojęzyczną gazetą codzienną, szwajcarską „NZZ", powiedział on: „Markus Söder przesłał wyraźny sygnał do reszty Republiki Federalnej: język musi być wolny od ideologii i zrozumiały. Stały akcent na płeć człowieka utrudnia komunikację i wznosi bariery".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 69da641fd5

FOT. ADOBE STOCK

ALIMENTY NA PIESKA

Sąd prowincjonalny w mieście Pontevedra w Hiszpanii ostatecznie potwierdził wcześniejsze orzeczenie w nietypowej sprawie rozwodowej. Małżonkowie przy rozstaniu kłócili się nie tylko o dzieci, lecz także o psa. Sąd zdecydował, że rozwodnicy mają dzielić się między sobą po połowie wydatkami na dzieci i czworonoga. To jednak nie wszystko. Ponieważ pies pozostał z kobietą, jej były mąż ma partycypować w wydatkach na psa, płacąc miesięczną kwotę „alimentów" w wysokości 40 euro miesięcznie.

DOZORCA CHCIAŁ BYĆ ARTYSTĄ

Pinakothek der Moderne, galeria sztuki współczesnej w Monachium, zakazała wstępu do niej 51-letniemu mężczyźnie. Był on do tej pory pracownikiem technicznym galerii. Ponieważ uważał się za niezależnego artystę, w pustym korytarzu budynku wywiercił otwory i powiesił tam własny obraz. Uważał, że w ten sposób nastąpi „przełom w jego karierze". Nie nastąpił.

KONSERWATYWNE NAGIE FOTKI

William Wragg to ważny polityk rządzącej Wielką Brytanią Partii Konserwatywnej. Przyznał się właśnie, że poznanemu w sieci mężczyźnie wysyłał swoje intymne zdjęcia. Potem uległ szantażowi, że zostaną ujawnione, i tej osobie przekazał numery telefoniczne innych parlamentarzystów. Homoseksualista szantażysta nawiązał z nimi kontakt i ich także zachęcał do wysyłania nagich zdjęć. Dwóch wysłało je tak samo jak Wragg.

DOBA MA 26 GODZIN?

Władze regionu Vadso przesłały do Komisji Europejskiej projekt o nazwie „MOREtime" (więcej czasu). Apelują do UE o to, by wpłynęła na władze norweskie, które mogłyby ustalić strefę czasową z dobą, która trwa 26 godzin. Władze norweskiego regionu uważają, że gdy doba tam zostanie formalnie wydłużona, może to skłonić więcej osób do osiedlenia się na tym odległym obszarze.

WIELKA BITWA PIEROGÓW

W tegorocznym rankingu najlepszych pierogów świata TasteAtlas pierwsze miejsce przyznano siomay – czyli indonezyjskim pierożkom rybnym w kształcie stożka gotowanym na parze. Drugimi najlepszymi pierogami uznano chińskie goutie, a trzecie miejsce przyznano tangabo. A przecież wiadomo, że najlepszymi pierogami na świecie są pierogi z Polski! ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

E-pułapka na sektor moto

Elektromobilność. To słowo miało wywołać prawdziwą rewolucję w przemyśle samochodowym, w salonach dilerskich, a wreszcie w garażach i na osiedlowych parkingach.

Urzędnicy zmusili producentów aut do zainwestowania kroci w rozwój e-aut. I trzeba przyznać, że oferowane dziś elektryki są dużo lepsze niż te, które oferowano jeszcze kilka lat temu. Wiele ma ciekawy design i przyzwoite zasięgi.

Mimo to Europejczycy nie są wcale tak bardzo skłonni do finansowania własnymi, ciężko zarobionymi pieniędzmi rewolucyjnych pomysłów polityków i urzędników. Opór wobec światłych idei zielonej rewolucji widać nawet w Niemczech, czyli największej gospodarce Europy. Z danych KBA wynika, że marzec był kolejnym miesiącem, w którym sprzedaż nowych elektryków w Niemczech była bardzo słaba. Mimo rabatów oferowanych przez dilerów po zniesieniu rządowych dopłat z salonów wyjechało 31,4 tys. aut z napędem BEV, czyli o niemal 29 proc. mniej niż w marcu 2023 r.

Producenci mówią więc wprost, że skoro popyt na e-auta bez rządowych dopłat jest skromny, to lepiej skupić się na dopracowaniu silników spalinowych...

To niejedyna zła wiadomość dla wojujących pseudoekologów. Portal autokult.pl poinformował o wyniku testów przeprowadzonych przez firmę ubezpieczeniową OCC we współpracy z klubem właścicieli Mercedesa W123. Okazało się, że zadbany mercedes 240D z 1982 r. z silnikiem wysokoprężnym o pojemności 2,4 l emituje podobną ilość CO_2 i tlenku azotu, co nowoczesne auta. Wniosek: nie każde stare auto truje. Ale i tak od lipca do Warszawy nie wjedzie...

eprasa.pl 69da641fd5

Dlaczego Ukraińcy uciekają do Rosji

Maciej Pieczyński

Wielu mieszkańców Donbasu znalazło schronienie przed wojną w kraju, który tę wojnę wywołał. I to często z własnej woli. Dlaczego Ukraińcy uciekają przed Rosją do Rosji?

FOT. ADOBE STOCK

Według agencji TASS w ciągu pierwszego roku „specoperacji" do Rosji uciekło 5,3 mln Ukraińców. Gdyby to była prawda, to byłby to najpopularniejszy kierunek ich wyjazdów po 24 lutego 2022 r. Statystyki te są mocno zawyżone. Zachodni eksperci oceniają skalę migracji z Ukrainy do Rosji na kilkaset tysięcy. Ten zakrawający na zdradę kierunek ucieczki przed wojną wybierają głównie mieszkańcy terenów zdobytych przez wojska rosyjskie. Mówimy jednak o mieszkańcach Donbasu – z reguły rosyjskojęzycznych, którym mentalnie, kulturowo, a często nawet politycznie bliżej do Moskwy niż do Kijowa. Po rozpadzie ZSRS nie zdążyli przestać się czuć ludźmi sowieckimi. Po utworzeniu niepodległej Ukrainy nie zdążyli z kolei poczuć się pełnoprawnymi obywatelami nowego państwa. Najczęściej nie tyle byli prorosyjscy, ile politycznie bierni i obojętni. Nieważne, kto rządzi, byle był pokój i bomby na głowę nie spadały… Po 24 lutego wielu z nich dostrzegło w Rosji agresora i poczuło się patriotami Ukrainy. Ale „wielu" nie oznacza ani wszyscy, ani większość.

PASZPORT – TAK, POMOC – NIE

Według oficjalnych danych MSW Rosji przez cały rok 2022 296 901 obywateli Ukrainy przyjęło obywatelstwo Rosji. Dotyczy to nie tylko uchodźców, lecz także tych, którzy pozostali na terenach okupowanych i przyjęli paszport agresora. Moskwa prowadzi aktywną politykę rusyfikacyjną. Odbudowuje też tereny okupowane, które wcześniej sama zniszczyła. Według danych z końca marca tego roku w tzw. punktach zakwaterowania tymczasowego (ros. PWR – punkty wriemiennogo razmieszczenia) (czyli de facto w obozach dla uchodźców) w całej Rosji przebywa ok. 32 tys. Ukraińców.

Nazwa jest myląca, ponieważ po dwóch latach wojny można mówić raczej o punktach stałego zakwaterowania. Mylący jest również termin „uchodźca", którego używam tutaj w potocznym znaczeniu, bo status uchodźcy uzyskują pojedyncze jednostki. Większość objęta jest ochroną tymczasową. Punkty organizowane są często w przydrożnych hostelach przy autostradach czy przy drogach ekspresowych. Jedyna infrastruktura w pobliżu to zazwyczaj stacja benzynowa, myjnia i warsztat samochodowy. Niezbyt komfortowe warunki, szczególnie dla rodzin z dziećmi. Uchodźcy mieszkają w pokojach wieloosobowych, bez własnych łazienki i kuchni, które są wspólne dla wszystkich mieszkańców punktu. Uchodźcy otrzymują od państwa rosyjskiego jednorazowy zasiłek w wysokości 10 tys. rubli (czyli ok. 450 zł), a także specjalne zasiłki dla emerytów, inwalidów, rodzin z dziećmi i kobiet w ciąży. I to tyle, jeśli chodzi o konkretną pomoc ze strony „wyzwolicieli". Łatwiej niż pomoc materialną czy pracę jest dostać rosyjski paszport. Priorytetem Kremla jest bowiem wynaradawianie Ukrainy, a nie komfort ukraińskich uchodźców, których zresztą nie wszyscy w Rosji tolerują.

Ciężko jest im np. znaleźć pracę. Julia, kosmetolog z Mariupola, w rozmowie z niezależnym portalem Bumaga opowiada, że w czasie walk o jej rodzinne miasto straciła dom w pożarze. Cały miesiąc wraz z mężem i synem spędziła w piwnicy. A potem rosyjscy żołnierze pomogli im dostać się do szpitala. Stamtąd rodzina postanowiła wyjechać do Petersburga z nadzieją, że w metropolii uda się szybko znaleźć pracę. Stało się jednak inaczej. Potencjalni pracodawcy ponoć rzucali słuchawką, gdy Julia mówiła, że przyjechała z Ukrainy. Również ze znalezieniem stałego dachu nad głową poza PWR było trudno. Ogłoszeniodawcy zazwyczaj zaznaczali, że nie wynajmują mieszkań Ukraińcom.

Ponadto sama droga uchodźców do Rosji nie zawsze była tak bezproblemowa jak w przypadku Julii. Wielu z nich

eprasa.pl 69da641fd5

trafiało najpierw do obozów filtracyjnych, w których po kilka dni czekali w kolejkach do wielogodzinnych przesłuchań. Wiktoria, która w zaawansowanej ciąży trafiła na porodówkę i straciła dziecko w wyniku ostrzału, przez trzy godziny była pytana o to, czy zna kogoś z pułku „Azow", a także dlaczego jej mąż został ranny i czy przypadkiem nie walczył po stronie Ukrainy. A jej mąż stracił nogi podczas bombardowania Mariupola i trafił do szpitala w Doniecku. Następnie oboje pojechali pod Petersburg, a stamtąd wyemigrowali do Niemiec. A to wszystko wyłącznie dzięki wolontariuszom. Małżeństwo z Charkowa, Waleria i Gieorgij, postanowiło po wybuchu wojny uciec wraz z rodziną do obwodu tambowskiego w Rosji, gdzie żyli krewni Gieorgija. Na granicy Gieorgija przez 10 godzin przesłuchiwało FSB. Był bity i torturowany. Rosjanom nie spodobało się, że pracował jako monter Internetu światłowodowego i nosił kurtkę moro. Próbowali na nim wymusić przyznanie się do nazistowskich poglądów. Waleria miała wybór: jedzie do Rosji bez męża albo zostaje. Wybrała to drugie. Zamieszkali w wiosce pod Charkowem, pod rosyjską okupacją. Teraz postanowili jednak pojechać na tereny kontrolowane przez Ukrainę, jednak ze wsi nikogo nie wypuszczano. W końcu Gieorgij został aresztowany i zaginął bez wieści. Waleria, już sama, wyjechała do jego krewnych w Rosji. Swoją historię opowiedziała opozycyjnej „Nowej Gazecie Europa".

MIĘDZY MŁOTEM A KOWADŁEM

O sytuacji Ukraińców w PWR-ach opowiada reportaż opozycyjnej telewizji rosyjskiej Dożd. Swietłana i Jelena wraz ze swoimi rodzinami wyjechały do Rosji z miasteczka Rubiżne w Donbasie. Zapewniają, że przed wojną było im tam dobrze. – Wszystkiego nam wystarczało, nie leźliśmy w politykę, żyliśmy własnym życiem. Mieliśmy pracę, a nasze dzieci były zdrowe, i to było najważniejsze – mówi Jelena.

To apolityczne stanowisko jest typowe dla mieszkańców Donbasu. Gdy wiosną 2022 r. Rosjanie wkroczyli do miasta i trwały jeszcze zażarte walki, grupa mieszkańców zorganizowała się i 30 samochodami wyjechała, pod ostrzałem, na wschód. Jelena przyznaje, że wielu ludzi ma do niej pretensje o to, że uciekła do kraju agresora, podczas gdy jej rodacy walczą za nią. – A gdzie mam się podziać z dziećmi? Dokąd? Jak? To nie ja rozpętałam tę wojnę. Nie chciałam jej. Nie prosiłam o nią. Dokąd miałam uciekać? Kto ucieszy się na mój widok? Gdzie? Komu jestem potrzebna? – pyta retorycznie. Jak twierdzi, na Ukrainę nie mogła pojechać, ponieważ rodzice jej męża przebywają na terenie tzw. Ługańskiej Republiki Ludowej. Z kolei jej rodzice mieszkają w Rosji, więc teraz ma do nich bliżej.

Olga, pielęgniarka z Mariupola, w rozmowie z portalem Bumaga opowiada, że wyjechała do Rosji, ponieważ tylko w tę stronę był otwarty korytarz humanitarny, a także dlatego, że w Petersburgu mieszkała jej siostra. Związki rodzinne z Rosją to częsta sytuacja w przypadku Ukraińców z Donbasu. Swietłana, która również uciekła z Rubiżnego, przyznaje, że nie chce, żeby „tam znowu była Ukraina". – Nie wrócimy, bo nas tam teraz uważają za kolaborantów – mówi. Jest też przekonana, że większości mieszkańców jej rodzinnego miasta wszystko jedno, czy będzie ono rosyjskie czy ukraińskie. Byle nastał pokój. Przebywający w Rosji uchodźcy z Donbasu zdają się nie czuć patriotami żadnego z walczących krajów. Skupieni są przede wszystkim na prozie życia codziennego.

Poglądy sporej części mieszkańców Donbasu, którzy uciekli do kraju agresora, najpełniej wyraża następujące wyznanie jednej z uchodźczyń w rozmowie z rosyjskimi mediami niezależnymi: – Chcę żyć jak dawniej. Jak przed 2014 r. Żeby Rosja nie była wrogiem i można było jeździć do Europy i żebyśmy byli jednym narodem – w tych słowach dostrzegalny jest wpływ kremlowskiej narracji, z jednej strony głoszącej potrzebę pokoju, z drugiej – kwestionującej odrębną tożsamość narodową Ukraińców i ich prawo do własnego państwa.

Mieszkańcom Donbasu mentalnie blisko jest do typowo rosyjskiej czy sowieckiej pasywności, pogodzenia się z losem i obojętności na sprawy polityczne, na które – jak twierdzą – nie mają żadnego wpływu. Dlatego nawet jeśli początkowo popierali Ukrainę i nie życzyli sobie żadnego „wyzwolenia", a do Rosji trafili z powodów pragmatycznych (wygodniej, bliżej, więzi rodzinne, brak korytarza humanitarnego w przeciwnym kierunku), to po czasie, mimo nieciekawych warunków, ich nastawienie stawało się bardziej prorosyjskie. Potwierdzają to rozmawiający z nimi dziennikarze. Znamienna jest też historia pewnego pochodzącego z Mariupola młodego małżeństwa, z którym rozmawiał portal Bumaga. Losza oświadczył się Ali tuż przed wojną. Dwa dni po inwazji Ala wróciła z Kijowa, gdzie jako studentka aktorstwa odbywała praktyki, do rodzinnego miasta. Jak tłumaczy, wolała zaryzykować życie niż porzucać narzeczonego i rodzinę. Po kilku tygodniach walk oboje wyjechali do Rosji, bo w Mariupolu nie było pracy, a odgruzowywać zniszczonego miasta nie mieli ochoty. W Petersburgu zajęli się pomaganiem takim jak oni ukraińskim uchodźcom. Wzięli ślub. I niemal całkowicie się zrusyfikowali. Losza twierdzi, że nie chcą wracać na Ukrainę, bo tam tak samo jak w Rosji panuje reżim i ograniczane są wolności obywatelskie. Ala z kolei przekonuje, że ich rodzinne miasto zniszczyły dwie strony konfliktu. A nawet trzy – wliczając cywilów. Ma pretensje do Kijowa o to, że heroizuje obrońców Azowstali, zapominając o zwykłych mieszkańcach Mariupola.

KUBKI Z PUTINEM

Uchodźcom pomagają niezależni wolontariusze. Organizują zbiórki żywności czy odzieży. Z punktu widzenia władzy są podejrzani. Również dlatego, że rozmawiają z opozycyjnymi mediami i wyznają z reguły poglądy antywojenne. W ubiegłym tygodniu zmarł w areszcie śledczym Aleksander Demidenko, emeryt z obwodu biełgorodzkiego, który bezpłatnie oferował nocleg ukraińskim uchodźcom, a poza tym brał udział w antywojennych demonstracjach. Został brutalnie pobity przez kadyrowców, a potem trafił za kraty rzekomo z powodu spożywania alkoholu w miejscu publicznym.

Alternatywą dla wolontariatu są miejscowe parafie cerkiewne czy rosyjski Czerwony Krzyż. Zamiast pomocy materialnej oferują jednak głównie „pomoc duchową", przywożąc uchodźcom… kubki z wizerunkiem Putina czy koszulki z symbolami „specoperacji". W Rosji nadal telewizor jest ważniejszy niż lodówka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 69da641fd5

Chcą polexitu

Tomasz Cukiernik

Fundacja Kampanii Społecznych rozpoczyna kampanię AkcjaEwakuacjaZeu, której celami są uświadomienie Polaków i zmiana ich nastawienia do Unii Europejskiej

FOT. ADOBE STOCK

Zadaniem kampanii AkcjaEwakuacjaZeu jest to, żeby przekonać Polaków, że te wszystkie utrudnienia, które związane są z naszym codziennym życiem, wynikają z regulacji Unii Europejskiej, które Polska musiała wdrożyć do swojego prawa. Problem nie dotyczy tylko życia prywatnego, lecz także działalności przedsiębiorstw. Europrzepisy utrudniają rozwój firm i ograniczają ich możliwości. Ludzie są łudzeni dotacjami, a jednocześnie unijne przepisy tłamszą Polaków coraz bardziej. Kampania chce też zwrócić uwagę na to, że wspólny unijny rynek nie jest żadnym wolnym rynkiem, a rynkiem zniewolonym przez regulacje Unii Europejskiej, sterowanym z Brukseli, która faworyzuje wybrane grupy kapitałowe.

INTERNET JEST PUŁAPKĄ

Wszyscy korzystają z Facebooka, ale informacje organizacji społecznych nie docierają do tych, których chciałyby one przekonać, tylko do tych, którzy już są świadomi. Z powodu takiej bańki organizacjom trudno się przebić. Skoro technologia już nas tak zniewoliła, to jedyną możliwością jest rozmowa z ludźmi. Kiedy Mariusz Piotrowski z Fundacji Kampanii Społecznych im. św. Stanisława Papczyńskiego wychodzi na ulicę, to ludzie podchodzą, chcą rozmawiać. To często osoby, które są do jego idei nastawione negatywnie, ale nawet po kilkuminutowej rozmowie okazuje się, że docierają do nich argumenty. Takie jest jego doświadczenie w kampanii o ochronie życia. Wcześniej po prostu te argumenty w ogóle do nich nie dochodziły. Tak samo jest w przypadku Unii Europejskiej. W efekcie wtłaczania przez media i polityków wyłącznie prounijnej propagandy Polakom wydaje się, że ich dobrobyt wynika z dotacji unijnych, co jest totalnym nieporozumieniem. Nie zdają sobie sprawy, że wzrosty cen za energię elektryczną, ciepło, odbiór odpadów czy paliwa to w znacznej mierze rezultat realizowania unijnych polityk i przyjmowania przez Polskę unijnych regulacji. – Kiedy wychodzi się na ulicę, stawia pewien banner, który ma informację sprzeczną z powszechnym światopoglądem, robi działania konfrontacyjne, to dochodzi do dyskusji – opowiada Piotrowski. – Osoby, które znajdują się w tej bańce, śmieją się z tych transparentów, ale nawet jeśli z negatywnym przekazem udostępnią jego zdjęcie w mediach społecznościowych, to dochodzi do przebicia bańki. Informacja przechodzi, choćby wyśmiana, ale do innej przypadkowej osoby ten przekaz może dotrzeć.

Piotrowski uważa, że jeżeli nie wyjdziemy z tych pułapek, do których zostaliśmy wprowadzeni, to przegramy. Problem będzie dotyczył każdego przedsiębiorcy. Edward Bernays, ojciec PR, pisał, że w demokracji nie rządzą ci, którzy są u władzy, tylko ci, którzy są władcami dusz, czyli ci, którzy całej populacji mówią, co ma myśleć. – Dzisiaj w Polsce najbardziej brakuje ludzi, którzy by uzmysławiali społeczeństwu, w jaki sposób utrudnia się mu życie. W efekcie ludzie za winnych niepowodzeń uważają samych siebie albo szukają winnego w rządzie, który przecież jest zależny od przejmującej coraz większe kompetencje Unii Europejskiej. Dopiero na końcu patrzą na tę całą maszynę biuro-

eprasa.pl 69da641fd5

kratyczną z Brukseli – uważa Piotrowski. – Jesteśmy po to, aby ludziom uświadamiać, że jest zupełnie inaczej, że to te wszystkie utrudnienia z Unii powodują, że nie możemy się rozwijać, że nie potrafimy zapewnić rodzinie lepszego bytu.

Zadaniem tej kampanii jest też uświadomienie Polaków, że władza w Polsce nie jest w polskich rękach, tylko w mediach, za którymi stoją zagraniczne grupy kapitałowe. Media nie są czwartą władzą, tylko pierwszą. Bo to media kreują nowych liderów politycznych oraz sondaże, a politycy doskonale wiedzą, że bez przychylnych mediów nie będą w stanie utrzymać swojej pozycji. Polacy głosują na osoby, które wcześniej zostały zatwierdzone na listach wyborczych przez wykreowanych medialnie liderów partii. Tak samo jak listy wyborcze w Polsce Ludowej ustalała PZPR. Teraz preparuje się je w podobny sposób, tylko bardziej sprytnie. Wielkie grupy kapitałowe mają powiązania polityczne. Zarabiają pieniądze dzięki ustawom czy unijnym dyrektywom.
– Gdzie ta niepodległość Polski? W moim przekonaniu nie jesteśmy niepodległym bytem. Jesteśmy krajem niewolonym. Ten przeregulowany brukselskimi dyrektywami rynek służy nie polskim firmom, tylko podmiotom z kapitałem zagranicznym – mówi Piotrowski.

KIM JEST PIOTROWSKI?

Mariusz Piotrowski jest chyba jedną z niewielu osób w Polsce, która ma doświadczenie i potrafi robić oddolne duże kampanie społeczne. Był inicjatorem i głównym koordynatorem kampanii „STOP 447", dzięki której w ciągu półtora roku udało się zmienić podejście rządu do kwestii bezprawnych roszczeń żydowskich. Wcześniej inicjował i był współorganizatorem kampanii „Zatrzymaj aborcję". Od podstaw potrafi budować duże grupy ludzi, które walczą w ważnej sprawie. Po czteromiesięcznej pielgrzymce z żoną z Przasnysza do Neapolu chcieli pojechać do pracy do Niemiec. Wtedy, pod koniec 2023 r., Piotrowski odbył rozmowę z kolegą, który jest politologiem i pracuje w organizacji zajmującej się propagandą na rzecz Unii Europejskiej. Zaczęli dyskutować o Unii: o zmianach traktatów, o pełzających kompetencjach, o tym, że Unia zmierza do scentralizowanego bytu państwowego. Stwierdził, że jeśli sam nie zbuduje organizacji, która nie zacznie domagać się od Polaków myślenia, to gdy za dwa lata wróci z tych Niemiec do Polski, to będzie tak, jakby wrócił do Niemiec.

W Unii Europejskiej nie podoba mu się zniewalanie rynków. Że kłamie się na temat jednolitego rynku, który tak naprawdę nie jest jednolity. Bo każdy rynek – czy to niemiecki, polski, czy francuski – ma własne interesy. – Jeżeli Bruksela promuje narzędzia, którymi nie da się ujednolicić rynku, to znaczy, że się nas okłamuje – przekonuje Piotrowski. Druga sprawa to ideologia. Profesor Jerzy Chodorowski napisał, że Unia służy nie temu, żeby jakieś grupy poczuły się wolne, tylko temu, żeby stworzyć nowego człowieka. Podobnie jak nowego człowieka chciał stworzyć bolszewizm. Profesor Chodorowski nazywa go unijczykiem. – Ma on dbać o to, żeby obecna elita mogła cały czas rządzić. Widać to na przykładzie Prokuratury Europejskiej, która ma ścigać za mowę nienawiści. Ludzie będą skazywani za to, że ktoś się poczuł urażony, bo został nazwany panią, a nie panem albo na odwrót. Nie będą liczyły się fakty, logika, zdrowy rozsądek, tylko odczucie. Unia Europejska uważa się za jedynego strażnika moralności. To jest bardzo niebezpieczne – mówi Piotrowski. Po trzecie – prof. Chodorowski stwierdził, że jak będzie się chciało zbudować państwo Europa, to na przeszkodzie staną państwa narodowe. Dlatego eurokraci niszczą kulturę i historię krajów członkowskich.

DZIAŁANIA KAMPANIJNE

W tym roku w całej Polsce Fundacja Kampanii Społecznych będzie zakładała zespoły. Najpierw w miastach wojewódzkich powstanie odpowiednio przeszkolonych 16 grup z megafonami, bannerami, które będą wychodziły na ulice. W przyszłym roku mają działać bardziej ofensywnie i przy pomocy specjalistów przygotowywać obywatelskie inicjatywy ustawodawcze, w których będą domagać się zmian prawnych mających zabezpieczać interesy Polaków. Kolejne lata to regularne akcje uświadamiania ludzi. Działacze fundacji chcą też wejść do szkół średnich, by dotrzeć z argumentami do młodzieży.

Sama zbiórka podpisów pod inicjatywą obywatelską powoduje, że jest większy ruch, jeśli chodzi o działalność oddolną. Ludzie sami się organizują. Więcej osób zaczyna ze sobą rozmawiać na ten temat. Ludzie częściej wychodzą na ulice, aby pewne rzeczy przekazywać. Zaczyna się też dyskusja w mediach o problemie, którym zajęła się inicjatywa ustawodawcza. Niektóre media nagłaśniają problem, inne krytykują. Nawet dzięki tej krytyce wiele osób dowie się, że Unia Europejska nakłada na nas zobowiązania, których nie jesteśmy w stanie udźwignąć.

Kampania nie będzie finansowana ze środków publicznych, a tym bardziej unijnych. Darczyńców fundacja szuka wśród ludzi, którzy są świadomi skuteczności jej działań i są w stanie wspierać nawet mniejszymi kwotami, ale regularnie, bo rozumieją, że to działa w ich interesie. W tym celu tworzona jest baza kontaktów do ludzi, którzy tworzą wspólnotę celu, którym jest polexit. Zespoły z kolei zapraszają osoby, które robią prelekcje i budują kolejne bazy kontaktów.

Jak twierdzi Piotrowski, jesteśmy na wojnie, w której mamy wielką bitwę o zasoby. Potrzeba ochotników i pieniędzy. Zagraniczne grupy kapitałowe mają swoich żołnierzy w postaci różnych organizacji pozarządowych, jak Greenpeace. – Na wojnie każdy żołnierz musi mieć amunicję. A jako amunicja do karabinu będą nam służyły m.in. argumenty z wydawanej właśnie na okrągłą rocznicę książki Tomasza Cukiernika „Dwadzieścia lat w Unii", która tłumaczy, czym jest Unia Europejska, przedstawia prawdziwy bilans członkostwa Polski w tej organizacji i mówi, jaka nas czeka przyszłość w związku z jej polityką. Będzie ona też sprzedawana jako cegiełka, wspierając w ten sposób naszą kampanię – mówi Piotrowski. – Jesteśmy w takiej sytuacji, że musimy włożyć nogę pomiędzy futrynę i drzwi, które ktoś chce zatrzasnąć. Jeżeli ją włożymy przez ten rok, to potem musimy zbierać siły, żeby te drzwi wyważyć. To jest nasze zadanie.

Celem kampanii jest zmniejszenie w ciągu pięciu lat poparcia Polaków dla Unii Europejskiej z obecnych ponad 80 proc. do 50 proc. – Niestety, ludziom będzie coraz trudniej się żyło i prowadziło firmy w Unii Europejskiej i w Polsce, ale to będzie działało na korzyść organizatorów kampanii. Winnego tej sytuacji, czyli Brukselę i jej oligarchów w Polsce, będziemy wskazywać palcem – tłumaczy Piotrowski.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 69da641fd5

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Czy Tusk uratuje nas przed tym?

Sprawa jest mocno niejasna, a naprawdę pewne w niej jest właściwie tylko jedno.

Oto swego czasu premier Mateusz Morawiecki tak bardzo uzależnił program swego rządu od przyobiecanych wówczas Polsce legendarnych 770 mld zł z legendarnego KPO, czyli Krajowego Planu Odbudowy – co zresztą natychmiast w 2021 r. rozgłosił wielkimi billboardami po całym kraju – że podpisał na Polskę całe mnóstwo kamieni milowych, szybko i celnie nazwanych kamieniami młyńskimi u szyi Polaków. Pośród nich przystał na nałożenie podatków na wszystkich, którzy ośmielają się jeszcze jeździć samochodami na benzynę lub olej napędowy, czyli na jakieś – z grubsza biorąc – 99,99 proc. polskich kierowców. Jeden podatek – od nowo rejestrowanych aut spalinowych – i niedługo potem drugi – od wszystkich jeżdżących po Polsce aut spalinowych. Czyli od jakichś – z grubsza biorąc – 99,99 proc. wszystkich jeżdżących po Polsce samochodów. Oraz – jak rozumiem – motocykli, quadów itp., itd.

Nawiasem mówiąc, pieniędzy tych – owych 770 mld zł „dla Polski" z billboardów – premier Morawiecki nie zobaczył do końca swych rządów, bo też przyobiecane mu były, jak wiadomo, przez legendarną kłamczuchę Ursulę von der Leyen, do której wyboru na fotel szefowej Komisji Europejskiej – m.in. głosami Polski – doprowadził zresztą tenże sam premier Morawiecki. A wspomniane podatki mają zostać wprowadzone już za rok, dwa lata.

Tymczasem pod koniec marca niespodziewanie w serwisie X pojawił się zagadkowy wpis minister funduszy i polityki regionalnej, Katarzyny Pełczyńskiej-Nałęcz, która oznajmiła: „Zasługujemy na czyste powietrze i zieloną, suwerenną energię, ale droga do nich nie prowadzi przez zakazy. W rewizji KPO chcemy usunąć podatek od posiadania samochodów spalinowych, który wpisał tam rząd PiS".

A przecież jeszcze w lutym wiceminister klimatu, Krzysztof Bolesta, zapowiedział, że podatek Morawieckiego od pierwszej rejestracji auta spalinowego wejdzie w życie na początku 2025 r., a podatek od posiadania aut spalinowych – w 2026 r. A wszystko – jak zaznaczył – zgodnie z przyjętą przez premiera Morawieckiego i zapisaną w przyjętym przez jego rząd KPO regułą: „zanieczyszczający płaci".

Co to oznacza? Sprawa robi się coraz bardziej niejasna. Czy myli się minister Pełczyńska-Nałęcz, a nie myli się wiceminister Bolesta? Czy jednak myli się Bolesta, a nie myli się Pełczyńska-Nałęcz, bo oto premier Tusk uznał, że uratuje Polaków przed tym niedorzecznym podatkiem Morawieckiego i znalazł jakiś tajemny sposób, by do niego nie doprowadzić? A może tylko, znając go, po prostu spróbuje ukryć podatek pod inną nazwą? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Ukraiński „komponent"

Wiceminister edukacji, pani Joanna Mucha, oznajmiła, że strona ukraińska chce wziąć na siebie realizację „ukraińskiego komponentu" nauczania chodzących do polskich szkół ukraińskich dzieci. „Komponent" ma objąć m.in. naukę historii i języka ukraińskiego.

W praktyce oznacza to, że młodzi Ukraińcy, którzy mieliby ewentualnie pozostać przynajmniej przez jakiś czas w Polsce, będą w polskich szkołach uczyć się przesiąkniętej ukraińskim nacjonalizmem wersji historii od ukraińskich nauczycieli. O tym, jak mocno ta wersja historii różni się od prawdy historycznej i jak traktuje kwestię ukraińskiego nacjonalizmu, nie trzeba chyba mówić. Warto jednak choćby skrótowo przypomnieć, że uczniowie z Ukrainy dowiedzą się, iż Stepan Bandera i Roman Szuchewycz byli bohaterskimi przywódcami narodu ukraińskiego, Polacy Ukraińców uciskali, a „wydarzenia" na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej w roku 1943 i kolejnych latach były jedynie reakcją na ten „ucisk". O żadnym ludobójstwie mowy być nie może.

Integracyjna strategia Polski powinna być taka sama jak w każdym szanującym się państwie

Polski rząd, zgadzając się na taką koncepcję, zwyczajnie sabotuje integracyjne podejście do ukraińskich uchodźców – czy może raczej należałoby powiedzieć: imigrantów, bo zasadność traktowania obecnych dzisiaj w Polsce Ukraińców jako uchodźców jest coraz bardziej wątpliwa.

Integracyjna strategia Polski powinna być taka sama jak w każdym szanującym się państwie: dzieci imigrantów muszą chodzić do szkoły, gdzie uczą się języka i historii kraju przyjmującego. Jeśli ich rodzice chcą, to mogą je posyłać na dodatkowe zajęcia z języka ojczystego lub historii – takie odbywają się np. przy ambasadach albo są prowadzone przez emigracyjne organizacje pozarządowe. Wprowadzanie do polskich szkół odrębnego ukraińskiego programu nauczania na jakichś dziwacznych, autonomicznych zasadach to proszenie się o problemy, a także ewenement na światową skalę. Tak nie działają systemy edukacji nawet w najbardziej proimigranckich krajach.

Nie wiem, czy kierownictwo resortu edukacji w ogóle rozumie konsekwencje własnych decyzji. Bardzo możliwe, że nie. ©℗

eprasa.pl 69da641fd5

REPUBLIKA

Jak pobudka, tylko z nami! Zapraszamy do Telewizji Republika na pierwszy program śniadaniowy w Polsce. Styl życia, zdrowie, kultura, sztuka, edukacja, ciekawostki, aktywność fizyczna, historia, rodzina, prognoza pogody i kącik kulinarny.

Od poniedziałku do piątku

6:05

sobota i niedziela

8:05

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

Telewizję Republika oglądać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz w lokalnych multipleksach naziemnych MUX w: Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku i w części woj. opolskiego i małopolskiego. Aktualna lista MUX dostępna jest na serwisie www.tvrepublika.pl – gdzie także obejrzysz TV Republika na żywo. Wszystkie programy znajdziesz na kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

eprasa.pl 69da641fd5

1975 r. Autor wypływa z Dakaru w samotny rejs w roli dobrowolnego rozbitka FOT. ARCHIWUM AUTORA

Oceaniczne dramaty

Jacek Pałkiewicz

W 1975 r. pokonałem samotnie Atlantyk. Chciałem pokazać tym, którzy kiedykolwiek staną się rozbitkami, że można pokonać swoje słabości i ocalić życie

Trudne czasy kształtują silnych ludzi, a mocni mężczyźni tworzą dobre czasy, dobre czasy zaś rodzą słabych, a byle jacy tworzą ciężkie czasy. Dobrobyt produkuje wygodnickich, a nie bojowników życia. Dopiero kiedy odczujemy dumę ze zwycięstwa przewidzianego tylko dla tych, którzy są gotowi zapłacić za nie odpowiednią cenę, będziemy mogli zaznaczyć własną wartość. W 1975 r. postanowiłem przepłynąć ocean w roli dobrowolnego rozbitka. Miałem spore doświadczenie żeglarskie i dwa lata pracy na statkach handlowych po tym, jak pomyślnie jako ekstern zdałem przed komisją morską Konsulatu Generalnego Liberii w Genui egzamin na licencję drugiego oficera pokładowego.

Mój samotny rejs miał dodać wiary i ufności ofiarom katastrof morskich oraz udowodnić, że mają szansę uratowania, pod warunkiem że się nie poddadzą i potrafią stawić czoła ekstremalnej sytuacji. Drewnianą, pięciometrową łódź ratunkową, której od stuleci używano do tego celu, znalazłem w jednej ze stoczni złomowych w La Spezia. Nie miałem być pierwszy, bo w historii żeglugi trafiali się już ludzie, którzy mierząc się ze swoimi słabościami, siłami przyrody i wizją śmierci, potrafili wygrywać z ograniczeniami, które narzucały im żywioł morski i własny organizm.

W 1942 r. w ciągu kilku minut zginął z oczu na Atlantyku trafiony dwoma torpedami niemieckiego U-boota brytyjski frachtowiec s/s „Ben Lemond". Spośród 53 członków załogi uratował się tylko chiński steward Poon Lim. Spędził 133 dni na tratwie ratunkowej o powierzchni 2,5 mkw., na której były kilka puszek sucharów, 40-litrowy zbiornik z wodą, nieco czekolady, worek cukru w kostkach i kilka rac świetlnych. Kiedy zabrakło zapasów, zaczął łapać deszczówkę w płócienny daszek i łowić ryby na hak zrobiony z gwoździa. Wprawdzie ocean nie złamał jego ducha, ale też nieumiejący pływać rozbitek żył w ciągłym strachu, że może utonąć. Krańcowo wyczerpanego uratowali rybacy brazylijscy. Po miesięcznej rekonwalescencji w szpitalu w Belem trafił do Wielkiej Brytanii, gdzie za swój heroizm król Jerzy VI odznaczył go Medalem Imperium Brytyjskiego, a Royal Navy wykorzystała jego zapiski do szkolenia marynarzy na wypadek konieczności przetrwania po utracie okrętu. W 1949 r. Lim wyemigrował do USA, gdzie stał się celebrytą.

W 1962 r. zniknął w otchłani oceanu statek z wyspy Tonga, a 17 ocalałych z katastrofy osób znalazło schronienie we wraku na pobliskiej rafie. Po trzech miesiącach trzy z nich wypłynęły na zaimprowizowanej tratwie, by po tygodniu dotrzeć do wyspy Kadavu, skąd pośpieszono na ratunek. Trzy lata później miał miejsce inny wypadek. Dwóch Polinezyjczyków z wyspy Bora-Bora po awarii silnika znalazło się na łasce oceanu. Łowili ryby na haczyk zrobiony z nożyczek, a dzięki obfitym deszczom mieli wodę pitną. Jeden z nich zmarł z wycieńczenia, a drugi, po 155 dniach dryfowania, wylądował na wyspie Pago Pago.

Znany jest przypadek dwóch dezerterów z Legii Cudzoziemskiej, którzy na tratwie, bez żywności, spędzili 32 dni na Morzu Południowochińskim. Nie utracili woli życia, wierząc, że ktoś ich znajdzie. Ratunek nadszedł, gdy byli już u kresu sił fizycznych.

TYLKO KOMPAS

Podczas mojej żeglugi nie posiadałem sekstantu ani łączności ze światem zewnętrznym czy GPS, którego wtedy jeszcze nie było – miałem jedynie kompas. Pozycję zliczoną obliczałem, biorąc pod uwagę prędkość ocenioną na oko, znos pod wpływem prądu i dryf uzależniony od oddziaływania wiatru. Oczywiście wszystko to było orientacyjne. Zabrałem ze sobą tylko skromny, żelazny zapas wody i żywności, dlatego musiałem korzystać z tego, co ofiarował ocean. Zbierałem deszczówkę, łowiłem ryby oraz plankton siatką z muślinu. Nieraz wpadały do łodzi latające ryby, co zaowocowało sashimi. One nie tylko zaspokajały głód, lecz także pocięte na kawałki i przeżute były źródłem bezcennego płynu.

Bezmiar oceanu napawał przepychem i grozą, pozbawiał pojęcia przestrzeni i czasu. Będąc sam pośród

eprasa.pl 69da641fd5

zniewalającej pustki i obserwując jej nieskończoność, doznawałem intensywnych przeżyć. Wysuwałem wnioski: aby coś odkryć, ktoś inny wcześniej musiał to stworzyć. Idealnie zaplanować, wykreować piękno oraz znakomitą funkcjonalność wszechświata i tak skomplikowaną istotę, którą jest mieszkaniec Ziemi. Człowiek, zastanawiając się nad swoją egzystencją, kwestionuje nieraz Boga, bo pogubił się w Piśmie Świętym. Nawet wśród apostołów zdarzały się chwile zwątpienia czy nawet niewiary. Tomasz za „głosem zdrowego rozsądku" domagał się namacalnych dowodów Zmartwychwstania Jezusa, a i Piotr na początku wyparł się Jezusa. To Jezus powiedział: „Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli". Samotność na oceanie przemawia do wyobraźni, przekonuje o świadectwie Bożej kreatywności, źródle wszelkiego życia i energii oraz bezspornie wzmacnia wiarę w Najwyższego. Wcale się nie dziwię, że Isaac Newton miał zwyczaj za każdym razem, gdy usłyszał słowo „Bóg", ściągać czapkę.

NIEBEZPIECZNE ORKI

Podczas żeglugi nie brak było chwil napawających grozą. Wspominam dzień, kiedy obok mnie pojawiło się stado dłuższych od mojej szalupy orek z rodziny delfinowatych. Mimo że cieszą się opinią stworzeń towarzyskich, co widoczne jest w delfinariach, te największe drapieżniki oceanów były niejednokrotnie powodem dramatów żeglarskich. W 1972 r. staranowały, po prostu dla zabawy, jacht „Guia III" włoskiego magnata stalowego Giorgia Falck, zatapiając go w ciągu kwadransa. Załodze się poszczęściło, została uratowana po 18 godzinach dryfowania na trawie pneumatycznej.

Bardziej katastroficzny epizod z orkami dotyczył jachtu „Surprise" włoskiego żeglarza Ambrogia Fogara. Po 74 dniach dwóch rozbitków wyłowił grecki statek, na którego pokładzie zmarł współtowarzysz skippera.

Kroniki donoszą, że swego czasu na wodach Nowej Zelandii rozpędzona do 40 km/h, ważąca siedem ton orka, samiec, niczym torpeda uderzyła w kuter rybacki, którego śruba zraniła wcześniej jego towarzyszkę. Z powodu wielkiej dziury w burcie grubości 70 mm kuter szybko poszedł na dno.

JACEK PAŁKIEWICZ „PALKIEWICZ.COM" ŚWIAT KSIĄŻKI 2020

Inna szokująca historia dotyczy sześcioosobowej rodziny Robertsonów, odbywającej okołoziemską podróż na 13-metrowym szkunerze „Lucette". W odległości 1 tys. mil od brzegów Kostaryki jacht został zatopiony przez zabójcze orki. Rozbitkowie znaleźli się początkowo na tratwie pneumatycznej, a po jej uszkodzeniu – na trzymetrowym bączku. Zostali uratowani przez japońskich rybaków po 38-dniowej odysei. Przetrwali, nie mając żadnej pewności, czy ktokolwiek ich szuka. Ich walka o życie może stanowić wzór męstwa i wygranej z bezlitosnym oceanem.

Niektórzy specjaliści twierdzą, że agresywne zachowanie tych towarzyskich z natury waleni może być konsekwencją stresu wynikającego ze zniszczenia przez człowieka morskiego ekosystemu, intensywnych i masowych połowów tuńczyka, głównego źródła ich utrzymania podczas tranzytu w cieplejszych morzach, albo też dezorientacji ze względu na zbyt intensywny wzrost ruchu morskiego.

Dużo strachu przeżyłem też, kiedy podpłynął wieloryb dwa razy większy od mojej łodzi. Mówi się, że są one niezwykle spokojne i nie atakują jednostek pływających. Jednak zdarzają się wyjątki. W 1973 r. dotknęło to brytyjskie małżeństw Maurice i Maralyn Bailey, odbywające podróż dookoła świata. Dwieście pięćdziesiąt mil od wysp Galapagos rzucił się na nich kaszalot, którego kilka godzin wcześniej zranili marynarze ze statku wielorybniczego. Nieszczęśnicy zdążyli się ewakuować na tratwę ratunkową, na której spędzili 117 dni. Patrzyli bezsilnie, jak siedem statków minęło ich, nie zauważywszy tratwy. Przeżyli dzięki częstym deszczom, obfitości ryb i żółwi, które łowili prowizorycznym harpunem, oraz schwytanym ptakom, a ponadto determinacji i niezłomnej wierze w przetrwanie. Swój dramat, sięgający najgłębiej ukrytych ludzkich instynktów przetrwania, opisali w książce „117 dni na łasce oceanu". To opowieść o cierpieniu, przerażeniu, ponadczasowym heroizmie, nadziei oraz przeżyciu i kolejny dowód na to, że każdego człowieka wystawionego na ciężką próbę stać na przekroczenie własnych barier psychicznych.

CZŁOWIEK KONTRA SZTORM

Na morzu wcześniej czy później można spodziewać się sztormu. Nie ominął i mnie. W krótkim czasie rozpętało się piekło. Ściany wody zwalały się na szalupę, miotając ją na lewo i na prawo, a bryzgi smagały po twarzy. Byłem odcięty od świata, nie jadłem, nie spałem, trząsłem się z zimna i ze strachu. Z każdym dniem ubywało mi sił. Bałem się, że mogę upaść na duchu, stracić instynkt samozachowawczy. Niewiarygodnym wysiłkiem zmuszałem się do trwania. Wspierał mnie opisany przez Gabriela Garcię Marqueza przykład heroicznej postawy i mocy ducha kolumbijskiego marynarza, który dryfował samotnie przez 10 dni na tratwie bez jedzenia i picia.

Czułem się bardzo osamotniony. Szukałem nadziei i otuchy u Stwórcy, bo wiara w krytycznych momentach wzmacnia morale. Modliłem się, żeby się nie poddać, nie stracić nadziei i nie zwątpić. Słowa, które wiele lat później miałem usłyszeć od Jana Pawła II. Nie poddałem się, kiedy napotkany statek zaofiarował mi bezpieczeństwo, suchą koję, ciepły posiłek i gwarancję powrotu do domu. To „nie" przy burcie statku uznaję za najwartościowszą lekcję i największy sukces swojego życia.

Kilka lat temu porwał mnie niesamowity, wstrząsający do bólu realistyczny film „Wszystko stracone", z Robertem Redfordem w roli jedynego aktora. To surowy dramat o samotnym żeglarzu, który po zderzeniu z zagubionym na morzu kontenerem desperacko walczy z bezlitosnym sztormem, po czym ludzka wola przetrwania wystawiona jest jeszcze na heroiczne zmaganie o egzystencję.

Przeżycia bohatera filmu w pełni odnoszą się do mojego doświadczenia sprzed prawie pół wieku, które zahartowało mnie fizycznie i moralnie. Nie mówiąc, że moja samotna żegluga stała się źródłem refleksji dotyczących mizerności i ulotności życia. Była też wędrówką w głąb siebie, rozważaniem o samotności i zagubieniu, niepewności, rezygnacji i nadziei.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 69da641fd5

SKODA ENYAQ IV 80 MAXX

FOT. JAP

Konkurencja na rynku samochodów elektrycznych jest już olbrzymia. Enyaq to przestronny SUV o sportowych aspiracjach, który stał się jednym z bestsellerów czeskiego producenta. Pierwszy elektryczny model z Czech występuje w różnych wersjach (Coupé oraz RS), z których najtańsza Enyaq 60 kosztuje 219 850 zł (z akumulatorem o pojemności 58,0 kWh) i napędem na jedną oś do bardzo atrakcyjnie wyglądającej wersji Coupé 85x L&K, której cena zaczyna się od 316 tys. zł.

My przetestowaliśmy jeszcze ubiegłoroczną wersję 80 MAXX, za którą obecnie w salonach sprzedawcy życzą sobie ok. 300 tys. zł. Tanio nie jest, a mimo to chętnych nie brakuje. Dlaczego? Czeski konkurent takich modeli jak Kia EV6, Fort Mustang Mach-E czy Modelu Y Tesli ma kilka atutów. Enyaq łączy bowiem odważne, futurystyczne wzornictwo z komfortem podróżowania i praktycznością, która jest konieczną cechą, jeśli chce się odnieść sukces w segmencie samochodów rodzinnych.

Mierzące 465 cm i ważące ponad dwie tony auto jest jednocześnie jednym z najbardziej aerodynamicznych SUV-ów na rynku. W testowanej wersji ma też większy akumulator, dzięki czemu nie tylko nadaje się do podróżowania po mieście i okolicach, lecz także ze spokojem ducha pozwala odjechać na łono przyrody, daleko od szybkich ładowarek. W testowanej wersji do dyspozycji są 204 KM i 310 Nm momentu obrotowego. Pozwala to elektrycznemu SUV-owi z Czech na przyspieszenie od zera do setki w 8,7 s. Prędkość maksymalna wynosi 160 km/h. Auto ma komfortowe zawieszenie, ale potrafi dać dużo radości z jazdy. Ma jednak wadę wielu elektryków – wybierając się nim w dłuższą podróż, lepiej nie przekraczać 120 km/h, bo zaoszczędzony na szybszym przejeździe czas trzeba będzie stracić na dłuższym lub częstszym ładowaniu. Zasięg zależy oczywiście od stylu jazdy i temperatury, ale przy wiosennej lub jesiennej pogodzie jest szansa na pokonanie na jednym ładowaniu ok. 500 km.

W ergonomicznie zaprojektowanym wnętrzu miejsca nie brakuje ani z przodu, ani z tyłu. Kabina jest nie tylko przestronna, lecz także wykończona na wysokim poziomie. Użyte materiały są wysokiej jakości i – co nie od zawsze jest takie oczywiste w elektrykach różnych marek – zostały ze sobą dobrze spasowane. Nic więc nie skrzypi i nie trzeszczy. Sercem kabiny jest 13-calowy wyświetlacz dotykowy o wysokiej jakości obrazu. Na pokładzie znajduje się również wyświetlacz HUD, który wyświetla informacje w taki sposób, że ma się wrażenie, iż są one wyświetlane bezpośrednio na drodze przed autem. Enyaq jest też uzbrojony w komplet nowoczesnych technologii zwiększających bezpieczeństwo jazdy. Fotele są komfortowe i dobrze podtrzymują ciało na zakrętach. Kufer ma zaś 585 l pojemności. ©℗

INTELIGENTNA KAMERA ZEWNĘTRZNA NETATMO

Zdolność trafnego identyfikowania ludzi, samochodów, zwierząt i innych ruchów, co znacząco zmniejsza liczbę fałszywych alarmów, wbudowana syrena alarmowa, dobra jakość obrazu, kompatybilność z Apple Homekit i Google Assistant oraz uaktualniona aplikacja, która działa bez konieczności opłacania subskrypcji – to największe zalety inteligentnej kamery zewnętrznej francuskiej firmy Netatmo.

Majówka coraz bliżej. Policja tradycyjnie ostrzega, że na kilka świątecznych dni szykują się hotelarze i restauratorzy. To również czas łowów złodziei okradających domy. Przed wyjazdem warto więc poprosić o szczególną uwagę sąsiadów. Można też zamontować prywatny monitoring posesji.

Testowana kamera ma tę zaletę, że na pierwszy rzut oka wygląda po prostu jak nowoczesne oświetlenie domu. Główną część konstrukcji o klasie szczelności IP66 stanowi bowiem lampa, pod którą znajduje się obiektyw kamery.

Inteligentne urządzenie rejestruje obraz w jakości HD z szybkością 15 kl./s w razie wykrycia wskazanych wcześniej obiektów. Może więc nagrywać, co się dzieje, gdy wykryje ludzi, samochody, zwierzęta lub inne ruchy. Nagrania można oglądać w bezpłatnej aplikacji w smartfonie lub tablecie lub poprzez przeglądarkę na laptopach czy komputerach stacjonarnych. Kamera może też w czasie rzeczywistym wysyłać powiadomienia o wybranych zdarzeniach. Dzięki wbudowanej podczerwieni można również z dowolnego miejsca na świecie dyskretnie oglądać, co się dzieje wokół domu, bez konieczności uruchamiania lampy (oświetlenie można włączać ręcznie lub można je zaprogramować tak, aby automatycznie uruchamiało się w przypadku wykrycia osoby, samochodu czy zwierzęcia). W razie dostrzeżenia intruza istnieje też możliwość zdalnego uruchomienia syreny alarmowej o głośności 105 dB.

Filmy zapisywane są na szyfrowanej karcie microSD oraz – opcjonalnie – w chmurze Dropbox lub na FTP.

Wady? Kamera Netatmo łączy się z siecią tylko poprzez wi-fi. Nie ma więc możliwości połączenia za pomocą PoE (Power over Ethernet). Szkoda. Drugi minus: co prawda, sama konfiguracja jest z założenia stosunkowo prosta i intuicyjna, ale pokazywanie kodów QR kamerze zawieszonej na elewacji wyżej wymaga już… drabiny.

Kamera jest dostępna w kolorach białym i czarnym. Cena: 1399 zł. ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 69da641fd5

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Wojna kokosza w Glinianach

JACEK KOMUDA

Gliniany położone na wschód od Lwowa przez cały okres dawnej Rzeczypospolitej były miasteczkiem znanym ze zjazdów szlachty ziemi lwowskiej, popisów pospolitego ruszenia, a przede wszystkim miejscem zbiórki wojska koronnego. Z kolei przez prawie cały okres powstania Chmielnickiego – jednym wielkim obozem wojskowym.

Założone ok. 1397 r. przez Jana z Tarnowa – którą to lokację potwierdził Władysław Jagiełło – przez cały czas pojawiają się na kartach historii jako miejsce rokoszów i niepokojów. Największym z nich był ten zawiązany przez szlachtę w 1537 r., kiedy Zygmunt I Stary wypowiedział wojnę hospodarowi mołdawskiemu Piotrowi Rareszowi, który zamierzał oderwać od Królestwa Polskiego Pokucie.

RYS. MART

Król zwołał pospolite ruszenie, szlachta jednak zawiązała rokosz, który przeszedł do historii jako tzw. wojna kokosza. Zamiast bowiem iść wojować z Mołdawianami, walczyła z okolicznymi... kurami i w czasie pobytu pod Lwowem zjadła ponoć wszystkie w okolicy.

W rzeczywistości bunt był efektem konfliktu pomiędzy władcą a szlachtą, która pod wodzą Piotra Zborowskiego przedstawiła wiele postulatów i skarg pokazujących łamanie prawa w Koronie i na Litwie. Przede wszystkim podawano w wątpliwość elekcję następcy tronu Zygmunta Augusta, ogłoszonego królem za życia ojca. Wściekłość budziły poczynania królowej Bony wykupującej majątki – domagano się uznania ich za państwowe, co też nastąpiło na kolejnym Sejmie.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Sam rokosz, który rychło przemienił się w Sejm, domagał się od króla skodyfikowania prawa, przerzucenia obciążeń podatkowych na księży, a przede wszystkim wzmocnienia roli zjazdów sejmowych.

Kolejny raz Gliniany stały się miejscem zwołania pospolitego ruszenia, które zarządził król Zygmunt III Waza w 1621 r. – miało wspierać walczącą pod Chocimiem armię pod wodzą hetmana Jana Karola Chodkiewicza. Szlachta zbierała się opieszale. W 1630 r. omal nie doszło tutaj do konfederacji wojskowej, kiedy nieopłacone wojsko po zakończonej wojnie w Prusach Królewskich zgromadziło się w miasteczku i zwołało koło generalne.

W 1648 r. Gliniany miały być miejscem koncentracji armii koronnej zwołanej do walki ze zbuntowanymi Kozakami. Ostatecznie na skutek niezgody pomiędzy regimentarzami zostały tylko jednym z obozów – gdzie zgromadziły się chorągwie podległe Mikołajowi Ostrorogowi. Później przybyły oddziały wierne Dominikowi Ostrogskiemu-Zasławskiemu, podczas gdy książę Jeremi Wiśniowiecki gromadził swoje prywatne chorągwie pod Czołhańskim Kamieniem. Rok później Gliniany stały się miejscem koncentracji armii królewskiej Jana Kazimierza idącej na odsiecz obleganemu przez Kozaków i Tatarów Zbarażowi. Znowu posłużyły za obóz wojskowy w roku 1653, przed wyprawą żwaniecką, która poza zdobyciem Suczawy w Mołdawii nie przyniosła rozstrzygnięcia w wojnie z Kozakami.

Tak częste wykorzystywanie Glinian przez wojsko spowodowane było ich dobrym położeniem – niedaleko od Lwowa, w pobliżu szlaków wiodących na Ukrainę i do Mołdawii. Jak pisze Damian Płowy: „Nie były dotknięte ogniem powstania, łatwiej było tutaj przebywać z większą ilością wojska, łatwiej było armię zaopatrzyć. Oprócz tego wojsko mogło odpocząć po wielodniowej podróży z odległych województw. Żołnierze mogli wypocząć, konie dostać wytchnienie, a rotmistrzowie dokonać przeglądu swoich chorągwi. Gliniany pozwalały na spokojną koncentrację, uzupełnienie zapasów, obmyślenie planu i kierunku marszu".

8 października 1673 r. król Michał Korybut Wiśniowiecki dokonał tutaj przeglądu wojsk ruszających pod Chocim pod wodzą hetmana Jana Sobieskiego. Był to ostatni popis w jego życiu – schorowany odjechał do Lwowa, gdzie zmarł 10 listopada. Kolejny raz zgromadził w Glinianach armię ówczesny hetman, a teraz już król Jan III Sobieski ruszający w 1676 r. pod Żurawno. Następne popisy odbywały się w latach 1691–1693, w trakcie walk na Podolu z Turkami. Ostatni obóz wojskowy założył w Glinianach król August II Sas w 1698 r., prowadząc spóźnioną kampanię o odzyskanie Kamieńca. Później, w 1705 r., miasteczko stało się karczmą zajezdną dla kozaków Mazepy wspierających w walce wojska rosyjskie Piotra I ze Szwedami. Razem z końcem zwycięstw i upadkiem armii Rzeczypospolitej skończyły się popisy armii w Glinianach. ©℗

eprasa.pl 69da641fd5

SIOSTRY GOTUJĄ

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

Francuskie śniadanie – petit-déjeuner

Powszechnie uważa się, że croissanty pochodzą z Francji, jednak – jak głosi legenda – maślane rogaliki w kształcie półksiężyca po raz pierwszy zostały wypieczone w Austrii. Ponoć pewien austriacki piekarz miał uchronić swoje miasto przed najazdem Turków, a w zamian za to tylko jemu pozwolono wypiekać maślane rogaliki, oficjalny przepis powstał w 1839 r. Jednak to właśnie Francja na swoich kulinarnych sztandarach ma to wyjątkowe pieczywo i od 1920 r. rogalik jest uznany za jej symbol oraz jest narodowym produktem kraju nad Sekwaną.

Skąd dokładnie pochodzi nazwa rogalika croissant? Otóż croissant to półksiężyc, a rogalik właśnie ma taki kształt. Ciasto na rogale wielokrotnie wałkujemy z masłem, jest to tzw. listkowana struktura wypieku, ciasto składane jest wielokrotnie i wałkowane, a powstałe dzięki temu warstwy otwierają się w piekarniku pod wpływem ciepła. Rogalik ma wyjątkowe teksturę, kolor, smak i obłędny zapach. Francuzi zazwyczaj nie jadają śniadań na gorąco, dlatego wybierają rogalika zazwyczaj z czekoladą i filiżanką czarnej mocnej kawy lub kawy latte. Podaje się do nich również powidła lub dżem oraz kremy orzechowe. Ciekawą propozycją jest rogalik z tak popularnymi we Francji serami camembert albo brie. Jest to doskonała przekąska na późne śniadanie lub wczesny lunch. Kuchnia francuska jest różnorodna i bardzo smakowita, ma wyjątkową i piękną tradycję. Uznano ją za najlepszą na świecie, bo jest zarówno delikatna i wysublimowana, jak i – dzięki specjalnie dobranym przyprawom ziół prowansalskich – konkretna w smaku.

Wracając do śniadania, Francuzi na śniadanie oprócz rogali jedzą również bagietki, jogurt naturalny z płatkami i oczywiście uwielbiane przez wszystkich francuskie naleśniki, czyli crepes, które są wyjątkowo cienkie i delikatne w smaku. Popularne są również tosty francuskie, czyli smażone z dwóch stron kawałki pieczywa wcześniej namoczone w roztrzepanym jajku. Możemy je zrobić z jajkiem sadzonym lub szynką, z twarożkiem, na słono lub na słodko. Smacznego!

FOT. ADOBE STOCK (X2)

Croque Monsieur, czyli tosty francuskie z szynką i serem

• 4 kawałki chleba tostowego • 1 jajko • 2 plasterki szynki • 2 plasterki sera żółtego, najlepiej mozzarelli • 1/3 szklana mleka • szczypta soli • 2 duże łyżki masła, najlepiej klarowanego

Jajko roztrzepać widelcem z dodatkiem mleka i szczypty soli. Dwa kawałki pieczywa ułożyć na desce, na dwóch tostach ułożyć szynkę i ser, następnie przyłożyć dwoma kawałkami pieczywa, docisnąć. Przełożyć do miseczki z jajkiem, obtoczyć z każdej ze stron. Smażyć na rozgrzanym maśle z każdej ze stron na złoto.

Podawać na ciepło. ©℗

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

I po trendach

JOANNA BOJAŃCZYK

Jako weteranka dziennikarstwa mody pamiętam, jak na początku lat 90. z impetem rozkręcała się machina trendów, która wkrótce zawładnęła umysłami grupy wiekowej 15–40 lat. „Trendy, trendy!" – wołały okładki magazynów. To, co miałaś w zeszłym roku, już się nie nadaje, teraz jest inny trend, wyrzuć stare, kup nowe.

Tak było, chociaż wielki globalny przemysł teraz się od tego odżegnuje. Wszyscy są zieloni. Ale w gruncie rzeczy nic poza frazeologią się nie zmieniło. Fast fashion nadal czuje się świetnie, zarzuca świat ciuchami, które za pół roku trzeba będzie wyrzucić. Do tej gry wchodzą nowi partnerzy, pragnący odgryźć kawałeczek tortu. W Paryżu, niby światowej stolicy mody (kiedy to było?), na otwarciu pierwszego sklepu chińskiej sieciówki Shein doszło prawie do rękoczynów, tak bardzo szykowne paryżanki napierały na półki z sukienkami po 20 euro. W Polsce też to mamy. Proszę bardzo: sukienka za 45 zł, bluzka za 30 zł. A masa ciuchów na wysypiskach rośnie. Nic z tym nie można zrobić, bo 90 proc. współczesnej produkcji odzieży to poliester. Nie nadaje się toto nawet na ścierki.

Bawią mnie rady udzielane dzisiaj przez te same magazyny, które zalecały kupować. Teraz nie wyrzucamy, nie kupujemy, teraz cerujemy, łatamy. Ciekawe, jak cerować T-shirty z Zary…

Sieciówki nie rezygnują, starają się o lepszy wizerunek, o większą skuteczność i nie mają zamiaru zmniejszać produkcji. Oto przykład modelowy: konglomerat Inditex, do którego należą m.in. sklepy Zara, Massimo Dutti, Bershka, Oysho. Hiszpański gigant wysunął się na pierwsze miejsce w trudnym pojedynku o podium, który od lat toczy z H&M.

Po ostatniej wizycie w Massimo Dutti przestałam się temu dziwić. Marketing, czyli wyczucie tego, czego klient potrzebuje i oczekuje oraz na co go stać, jest w Inditexie genialny. Ten sklep ze średniej jakości ubraniami ma świetne wnętrze, elegancki design, klient czuje się w nim, jakby trafił do salonu z najwyższej półki. Ubrania są modne, spokojniejsze niż w Zarze, dla trochę zamożniejszego klienta. A Zara? Tam kupują wszyscy, kolekcje są olbrzymie, ubrania modne.

Co robić? Nie umiem uleczyć świata. Nie widzę, żeby tsunami ciuchów miało się skończyć, chociaż wiem, że nastolatki ubierają się w second-handach. Wiem również, że jest projekt, aby ubrania stanowiły osobną kategorię odpadów, za które trzeba będzie płacić. Chociaż tyle. ©℗

eprasa.pl 69da641fd5

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Marsz gotowanej żaby

My tu sobie wojujemy wewnętrznie i zagranicznie, a tylko dobrze wyostrzony słuch wyłowi z tego zgiełku delikatny poszum. To pracują ONZ-owskie żarna powoli mielące mąkę przyszłości. Marsz przez instytucje, zainicjowany przez Rudiego Dutschke w 1967 r., wymagał tylko dwóch rzeczy: namierzenia takowych i cierpliwości. W sumie nie dziwota, że palec postępu wskazał na ONZ, gdzie dokonuje się, zaadaptowany twórczo przez Unię Europejską, mechanizm: jak to mówią lewacy, „stawia się problem", przygotowuje go medialnie, powołuje się instytucje, które kończą, zaludniając proces konsultacyjny w sprawie, podejmuje się rezolucję z kierunkowymi tezami. To wszystko przejmuje ONZ jako „głos ludu", skonsultowany rzecz jasna z demosem. I cóż biedaki mogą zrobić? Wdrażają. A któż przeciw ONZ, no któż? No bo co, nawet jak tam zwariują, to kto stamtąd wystąpi? Z grona państw cywilizowanych? A więc wchodzi to na poziomie ONZ i dalejże wdrażać w krajach członkowskich.

Właśnie 5 kwietnia, w ramach takiego mechanizmu „konsultacji", odbyła się w Nowym Jorku próba przegłosowania całego pakietu rewolucyjnych postulatów. Kamieniem węgielnym tej propozycji była próba przeforsowania regulacji, że błędna identyfikacja płci (czyli wasze zgadywanie w mowie tego, jakiej płci posiadaczem czuje się dzisiaj wasz rozmówca), głoszenie faktów biologicznych (sprzecznych z ideą gender), a nawet cytowanie Biblii będzie uznawane jako… zbrodnia przeciw ludzkości.

Co prawda, dało się to przewalczyć, ale zobaczmy, kto nam został na placu boju, czyli kto się międzynarodowo kazał puknąć w głowę i zawetował sprawę: Uganda, Nigeria, Egipt, Turcja, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Argentyna, Polska i Białoruś. Słabe mamy karty, zwłaszcza że wszystkie wymienione kraje reprezentowały organizacje rządowe, a Polskę tylko niedorżnięte jeszcze polskie konserwatywne NGO-sy. Mizerię sprawy pokazuje jeszcze to, co się udało „wygrać". Niewiele, ale i to jest gorzką satysfakcją, gdyż w rezolucji pozostają wciąż takie postulaty, jak uznanie przywilejów osób transpłciowych, promowanie w edukacji ideologii gender i zmiany płci czy ułatwienie dostępu do aborcji na całym świecie.

I okaże się, że mamy już końcowy sukces „marszu przez instytucje". To tam, w niewybieralnych gronach, będą podejmowane decyzje, a uśpiony medialnymi wrzutkami codzienności demos nawet się temu nie będzie bezradnie przyglądać. On niczego nie będzie widział. Przypowieść o gotowanej żabie zakłada, że obudzi się ona za późno. A skąd takie optymistyczne założenie, że w ogóle się obudzi przed ostatecznym ugotowaniem? ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Rodzic 1, 2, a może 3

W 2003 r. na konferencji poświęconej sytuacji osób LGBT, zorganizowanej przez Biuro Pełnomocnika Rządu ds. Równego Traktowania, prof. Marian Filar suflował aktywistom ruchu homoseksualnego strategię trzech kroków. Powinniście być zorganizowani – mówił – to macie już za sobą. Drugi etap: należy się skoncentrować na kampanii informacyjnej, by przekonać Polaków, że homoseksualiści nie różnią się niczym, poza jednym technicznym szczegółem. Ostrzegał, by nie robić tego jak na Zachodzie, gdzie na paradach faceci kręcą gołymi tyłkami. I uwaga – ostrożnie z legislacyjnymi żądaniami. Jeśli społeczeństwo usłyszy postulaty homomałżeństw i adopcji, to sprawa przegrana. Żądania należy komunikować stopniowo.

Po 21 latach widzę, że strategia została zrealizowana. Przegłosowanie 10 kwietnia przez komisję sejmową referowanego przez ministra Śmiszka projektu rozporządzenia PE, dotyczącego uznawania przez kraje członkowskie rodzicielstwa osób tej samej płci, pokazuje, że Polska znalazła się w tym punkcie, który lata temu na Zachodzie przesądził o triumfie genderowej rewolucji. Referowanie projektu przez aktywistę politycznego ruchu homoseksualnego, dziś wiceministra sprawiedliwości, ma zaś rangę symbolu.

Istota rozporządzenia polega na tym, że w polskich dokumentach pojęcia „matka" i „ojciec" trzeba będzie zastąpić terminami „rodzic 1" i „rodzic 2".

Wszystko rzekomo w trosce o dzieci wychowywane przez pary inne niż złożone z kobiety i mężczyzny. Celowo nie używam słowa „jednopłciowe", bo dziś chodzi o dwie matki lub dwóch ojców, niebawem o coś innego, zgodnie z nowinkami, które jakieś państwo UE wprowadzi u siebie. Mówił o tym na komisji sejmowej Sebastian Kaleta, zwracając uwagę, że w Polsce ochrona małżeństwa, rodziny, rodzicielstwa zawarta jest w Konstytucji RP. Artykuł 18 mówi jasno: „Małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny, rodzina, macierzyństwo i rodzicielstwo znajdują się pod ochroną i opieką Rzeczypospolitej Polskiej".

Sprzeczność rozporządzenia z ustawą zasadniczą potwierdził 28 lutego Naczelny Sąd Administracyjny, oddalając skargę kasacyjną od wyroku WSA, w sprawie o wpisanie do dowodu osobistego dziecka dwóch matek. Sąd utrzymał w mocy wyrok, który stwierdza: „W polskim porządku prawnym nie jest możliwe uznanie za rodzica osoby tej samej płci [...], ponieważ rodzicielstwo obejmuje macierzyństwo i ojcostwo, a nie dwa macierzyństwa lub dwa ojcostwa".

Teraz jedyna nadzieja w Węgrach, ponieważ na forum UE przy tego rodzaju aktach obowiązuje zasada jednomyślności. Jeszcze! ©℗

eprasa.pl 69da641fd5

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Nienawistne 5,19 zł

W związku z ustawą o mowie nienawiści podobno powstaje rozporządzenie zawierające wyraz szczególnie obrzydliwych, szkodliwych, niszczących tkankę społeczną słów i sformułowań, które mają być karane więzieniem. Stop. Jedną z najsurowszych kar przewiduje się za używanie zwrotu: „5,19 zł za litr". Stop.

Anna Maria Żukowska z Lewicy najpierw kazała marszałkowi Szymonowi Hołowni „wypier….ć", potem przyniosła mu kwiaty. Stop. Facetowi, kwiaty. Stop. Cóż, wyrafinowane upokorzenie, osobiście wolałbym zostać spoliczkowany w ramach takich przeprosin. Stop.

Marek Czyż, uznany specjalista od czystej wody, w rozmowie z redaktor Pauliną Sochą-Jakubowską pytany o to, ile zarabia w Telewizji Polskiej, odpowiedział, że nie odpowie, bo nie jest pracownikiem TVP, tylko współwłaścicielem spółki, która pracuje dla TVP. Stop. Przypomnijmy, że zarobki dziennikarzy poprzedniej ekipy nowa ekipa podawała bez skrupułów, wręcz poczytując to sobie za obowiązek. Stop. Przemiana czystej wody w lekko zatęchłe bajorko idzie sprawnie. Stop.

Prasa opisała przypadek kobiety operowanej przez pana ordynatora, któremu w stricte lekarskich czynnościach asystował synek niemający żadnych uprawnień medycznych. Stop. Operacja poszła źle. Ordynatora wyrzucono, a sąd po latach procesu przyznał odszkodowanej 20 tys. zł zadośćuczynienia. Stop. Mało, ale nie to w tej historii jest najważniejsze. Stop. Sąd nakazał poszkodowanej zapłacenie 30 tys. zł kosztów sądowych. Stop. Polskie sądy w pigułce. Stop.

Po tym, jak niemiecki „Die Welt" napisał wprost, że budowa w Polsce CPK to „wypowiedzenie wojny niemieckiemu przemysłowi lotniczemu", niemiecki rząd zdecydowanie temu zaprzeczył. Stop. Trawestując pewne znane powiedzenie: wierzcie tylko w te informacje, którym oficjalnie zaprzecza niemiecki rząd. Stop.

CBOS podał dane dotyczące aktualnej oceny policji przez społeczeństwo. Stop. Dwie trzecie badanych podobno pozytywnie ocenia pracę policjantów. Stop. Z granatników po komendach nie strzelają i zamiast tłuc pałkami teleskopowymi kobiety, leją, jak tylko mogą, rolników. Stop. Przy odrobinie dobrej woli może to być postrzegane jako swego rodzaju poprawa. Stop.

Pegasus to przeżytek. Stop. Teraz, żeby podsłuchać, co Lewica knuje na zamkniętym posiedzeniu w sprawie aborcji, po prostu włączono telewizję sejmową i transmitowano tajne obrady, tak żeby każdy mógł sobie zerknąć i posłuchać. Stop. Czarzasty mówi, że to skandal, a Hołownia, że pomyłka. Stop. Jawność sauté. ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Można i tak

Niezwykłe wrażenie zrobiła na mnie lektura archiwalnych numerów warszawskiego „Tygodnika Illustrowanego", informujących czytelnika o przebiegu wojny rosyjsko-japońskiej. Warszawa była wtedy trzecim co do wielkości miastem imperium rosyjskiego. Pismo wydawane było legalnie, uchodziło za konserwatywne i wiarygodne. Krzewiło polskość – drukowano w nim „Chłopów" oraz „Ogniem i mieczem". Wydania, które czytałem, pochodzą z początku 1905 r. Trwała już rewolucja, a wojna z Japonią przybierała fatalny dla Rosji obrót.

Dziennikarze „Tygodnika Illustrowanego" relacjonują konflikt w sposób chłodny i obiektywny. Nie okazują zachwytu ani pogardy dla żadnej ze stron. Słabości walczących wojsk, także rosyjskie, opisywane są wnikliwie. Po upadku twierdzy Port Artur czytamy: „Wreszcie należy zaznaczyć, że choroby nie dałyby się tak dalece we znaki załodze twierdzy, gdyby zaopatrzono ją zawczasu w dostateczną liczbę środków lekarskich, nie mówiąc już o zdrowej żywności i węglu. Jeżeli nie uczyniono tego przed wybuchem wojny, to od lutego do maja, zdaniem fachowców, było na to dość czasu". Choć istniała jeszcze w Rosji cenzura prewencyjna, to dziennikarze otwarcie informują czytelników o zarzutach popełnienia zbrodni wojennych przez stronę rosyjską. »Times« donosi, że ze wziętych do niewoli Japończyków znaleziono w Porcie Artura tylko 76. Fakt ten wzburzył Japonię. Jasnem jest, że ranni Japończycy zginęli poza liniami rosyjskimi" – czytamy. Japończycy także nie byli wtedy (ani nigdy później) wzorem troski o jeńców wojennych. Nikt nie uważa tego za usprawiedliwienie.

„W »New York Heraldzie« znajduje się ciekawa rozmowa 65-letniego generała Niedielina (przebywającego obecnie w niewoli japońskiej) z korespondentem tego pisma. »Odwaga marynarzy japońskich – mówił między innemi generał – nie da się z niczym porównać. Admirał Togo dokonał czynów dotychczas niebywałych. Męstwo żołnierzy japońskich jest tak zadziwiające, że doprawdy wstyd zabijać takich ludzi«" – relacjonował „Tygodnik Illustrowany".

Porównajmy powyższe cytaty z histerycznym tonem i potokami inwektyw, które wydają z siebie współcześni propagandyści. Relacje wojenne pełne są treści, których jedynym celem jest odhumanizowanie przeciwnika. Odbiorca jest na przemian straszony bądź szczuty na pozbawianego cech ludzkich wroga – wyzywanego od „terrorystów" lub „orków".

Wmawia się nam, że pierwszą ofiarą wojny jest prawda. Nie musi tak być, o czym przekonuje nas, zawstydzając, prasa sprzed wieku. ©℗

eprasa.pl 69da641fd5

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Magnesiki z widokiem na otchłań

GRZEGORZ KUCHARCZYK

Czy można nakręcić film o bestialstwie ludzi, nie pokazując żadnej sceny rozlewu krwi? Twórcy filmu „Strefa interesu" pokazali, że można. Film o „porządnej" niemieckiej rodzinie mieszkającej w domku z ogródkiem, o ojcu rodziny (Rudolf Höss) wychodzącym codziennie rano do ciężkiej pracy i jego żonie, zapobiegliwej pani domu, budujących swoją niemiecką Gemütlichkeit nad otchłanią, w sąsiedztwie pracujących non stop krematoriów obozu w Auschwitz – to opowieść o amoralności niemieckich nadludzi chodzących w ukradzionych futrach, próbujących szminek zagazowanych przed chwilą kobiet i wydłubujących diamenty ukryte w paście do zębów.

Komendant obozu w Auschwitz troszczył się o kwiaty i zapach bzu w sąsiedztwie komór gazowych. A w całych Niemczech obowiązywał ustawowy zakaz przeprowadzania wiwisekcji zwierząt

Nietzscheański nadczłowiek stojący ponad dobrem i złem zyskał oblicze niemieckich inżynierów rzeczowo omawiających z komendantem Hössem technologię stałego przepływu ciepła między komorą gazową a krematorium. Ujawnił się w momencie, gdy komendant Auschwitz wydaje służbowe polecenie szanowania przez esesmanów krzaków bzu, które powinny być wizytówką całego obozu. Zyskał ten nadczłowiek zbiorową tożsamość niemieckich kobiet zaproszonych przez żonę komendanta na kawę z ciastkiem do domu nad otchłanią, by tam w przyjaznej atmosferze poplotkować, „gdzie też ci Żydzi chowają biżuterię". A w tle przytłumione odgłosy z sąsiedztwa – bicia, krzyków, strzałów. Od czasu do czasu widoczny dym z lokomotywy dojeżdżającego do rampy nowego pociągu. Zaraz potem pani Höss rozpakowywała nową paczkę z futrem.

Scena z krzakami bzu – według mnie jedna z najmocniejszych w całym filmie, pokazująca, jak w soczewce amoralizm niemieckich zdobywców Lebensraumu – przypomniała mi relację masażysty Reichsführera SS Heinricha Himmlera, który wspominał, jak to w październiku 1941 r. jego podopieczny ciężko przeżył widok wykrwawiającego się jelenia; widok, którego delikatny dowódca policji i SS (wegetarianin!) unikał, nie chodząc z zasady na polowania, chyba że tylko wtedy, gdy było to wyraźne polecenie Hitlera. Tak jak w tym przypadku, gdy musiał towarzyszyć w tej nieprzyjemnej czynności wysoko postawionemu dyplomacie z sojuszniczych Włoch. Komendant obozu w Auschwitz troszczył się o kwiaty i zapach bzu w sąsiedztwie komór gazowych. A w całych Niemczech przez cały czas przeprowadzania przez to państwo ludobójczej akcji T4 (zabijanie chorych), Intelligenzaktion na Pomorzu i w GG, „ostatecznego rozwiązywania kwestii żydowskiej" w latach 1942–1944 obowiązywał od 1933 r. ustawowy zakaz przeprowadzania wiwisekcji zwierząt.

Tak się złożyło, że kilka dni po obejrzeniu „Strefy interesu" byłem w Birkenau (Brzezince). Kręciliśmy tam ostatnie odcinki do edukacyjnego cyklu „Zagłada Polski 1939–1945". Obóz w Birkenau w niemieckiej nomenklaturze Konzentrationslager (KL) 2 był właściwym obozem zagłady w kombinacie śmierci, którym zarządzał R. Höss. Do Birkenau ludzie przyjeżdżali, aby zginąć. Taki los był udziałem kilkuset tysięcy osób. Zdjęcie torów prowadzonych do bramy KL 2 i dalej do rampy, skąd wyprowadzano zwożonych tu z całej Europy Żydów do komór gazowych, jest obok bramy z napisem „Arbeit macht frei" ikonicznym wizerunkiem otchłani śmierci, którą zarządzał lokator przytulnego domku z ogródkiem.

Idąc na plan zdjęciowy przy bramie w Birkenau, natrafiłem na sklepik, w którym sprzedawano m.in. magnesy na lodówkę. Nie tylko z widokiem na krakowski Rynek Główny i Wawel. Niektóre przedstawiały bramę wjazdową z torami kolejowymi wiodącymi do osławionej rampy w Birkenau.

Kto o zdrowych zmysłach i zrównoważonym sumieniu wiesza sobie na lodówce takie widoki? Czy można sięgając po mleko do kawy lub szynkę do kanapki, jednocześnie patrzeć na miejsce kaźni setek tysięcy osób, z których wielu, zanim znaleźli śmierć w komorze gazowej, cierpiało katusze z powodu permanentnego głodu? Widocznie można, skoro jest popyt na tego typu „pamiątki z Auschwitz".

Pracując nad kolejnymi odcinkami „Zagłady Polski", uświadamiałem sobie prawdziwość starej reguły, że ucząc innych, uczymy się sami. Dużo nauczyłem się o tzw. pamięci historycznej, patrząc rok temu na grzybiarzy w lasach piaśnickich i w tym roku na sprzedawane w Birkenau magnesiki z widokiem na śmiercionośną otchłań. ©℗

eprasa.pl 69da641fd5

PROCES

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Proces pokazowy to w komunistycznej teorii państwa i prawa „element prewencji ogólnej". Publiczna rozprawa ma służyć celom propagandowym – terroryzować społeczeństwo, łamać wolę oporu. Dziś procesy pokazowe odbywają się nadal w Chinach. Ofiary takich procesów przyznają się do czynów niepopełnionych, obciążają inne osoby niewinne, składają upokarzającą samokrytykę. Od niedawna procesy pokazowe odbywają się także w… USA.

Donald Trump został skazany za „przestępstwa", które nie istnieją. W USA, aby było przestępstwo, musi być jakiś poszkodowany. W tym przypadku poszkodowanych nie ma, a mimo to Trump został skazany. Dostał wyrok za to, że wiele lat temu w korespondencji z bankiem zawyżył wartość swojej nieruchomości, gdy brał kredyt pod jej zastaw. Trump napisał do banku, że wycenia tę swoją nieruchomość na tyle i tyle, ale prosi bank, by oni to sobie wycenili po swojemu. Tak zrobili i dali kredyt, który Trump spłacił przed terminem wraz z odsetkami, a potem jeszcze wiele razy brał w tym banku kolejne kredyty i do dzisiaj bank uważa Trumpa za bardzo wiarygodnego klienta. Mimo to pani prokurator (z Partii Demokratycznej) założyła Trumpowi sprawę o wyłudzenie kredytu. Nikt nie doznał szkody, przeciwnie: bank doskonale zarobił, ale Trump i tak został skazany.

***

Trump postanawia odwołać się od tego wyroku, ale… sędzia (aktywista Partii Demokratycznej) decyduje, że aby Trump mógł złożyć odwołanie, musi najpierw wpłacić całą zasądzoną karę, wynoszącą prawie pół miliarda dolarów. Pieniądze mają być zamrożone na rachunku sądowym do czasu zakończenia apelacji. 454 mln dol. w gotówce. Nikt tyle nie ma z dnia na dzień. I ten sędzia to wiedział, a proces był pokazowy. Sędzia śmiał się do kamer i chwalił, że to najwyższa kaucja w historii sądownictwa, ha, ha.

W tej sytuacji Donald Trump wykonał bardzo sprytny ruch – najpierw złożył apelację dotyczącą jedynie wysokości kaucji, a nie całej istoty wyroku. Sędzia wyższej instancji zmniejszył absurdalną kwotę do 175 mln dol. Trump zapłacił, a potem złożył kolejną apelację dotyczącą całego wyroku. Jeżeli wygra, to odzyska pieniądze; jeżeli przegra, to doprowadzą go do bankructwa: konfiskata majątku, zakaz prowadzenia interesów w stanie Nowy Jork, banicja.

***

Kilka dni później okazało się, kogo lubi Bóg: Trump bez wychodzenia z domu zarobił kilka miliardów dolarów, gdy wypuścił na giełdę akcje swojej platformy internetowej Truth. Lewacy szaleli ze złości! Pamiętają państwo, jak demokraci odcięli go od Twittera w czasie, gdy był prezydentem? Nikt inny nie miał takiej poczytności i tylu cytowań co Trump, jego tweety pojawiały się o czwartej nad ranem, znaczy już wstał albo jeszcze nie poszedł spać. I widać było, że nikt mu tego nie redagował – pisał samodzielnie, czasami z błędami. – Ta autentyczność, a do tego szczerość wypowiedzi były ekscytujące. Zero cenzury, prezydent prowadził dialog bezpośredni z narodem i światem.

Ponadto Trump jest dowcipny i nie szczypie się w język. Jako prezydent USA potrafił w krótkich tweetach stawiać do pionu ajatollahów z Iranu, Abdulów z Afganistanu albo tego małego tłuściocha z Korei Północnej. Do niego napisał: JA MAM WIĘCEJ POCISKÓW I MOJE SĄ WIĘKSZE, co spowodowało, że Kim wycofał się z prób nuklearnych.

Dialog bezpośredni z narodem i ze światem – to było nowe, świeże, pożyteczne: wiedzieliśmy, co myśli prezydent mocarstwa. Meksykanom napisał, że jeśli nie zaczną pilnować swojej granicy z Ameryką, to ich zbankrutuje za pomocą taryf celnych – w ciągu kilku dni zabezpieczyli granicę 40 tys. wojska i policji. Na temat Putina wysłał kilka tweetów i potem Putin siedział cicho na Krymie i czekał do końca kadencji, bo bał się Trumpa (a Bidena się nie boi). Podobnie Chińczycy – zrobili się grzeczni, bo mieli wrażenie, że ten tweetujący pomarańczowy człowiek jest świrem z guziczkami atomowymi pod każdym z palców. Mieli rację – Trump w pewnym potocznym rozumieniu tego słowa jest świrem.

Jego tweety to była świetna rozrywka i umiejętnie prowadzona polityka międzynarodowa. Demokratom to przeszkadzało – dlatego zamknięto Trumpowi konto na Twitterze.

Wtedy zbudował własną platformę, czyli Truth. No a teraz wypuścił ją na giełdę i z dnia na dzień zarobił kilka miliardów dolarów. Pan Bóg oddał mu z nawiązką tę horrendalną kaucję sądową. Akcje Truth poszły w górę, bo inwestorzy przeczuwają zwycięstwo Trumpa w wyborach, a wtedy znów zacznie tweetować jako prezydent i będzie to robił na własnej platformie, co spowoduje, że Truth stanie się bardzo popularny.

***

Niedawno Trump nagrał filmik z Biblią w ręku – powiedział, że to jego ulubiona książka i ma wiele Biblii w domu, oraz przypomniał Amerykanom, że Bóg jest Ameryce niezbędny, że Amerykę ufundowano na pryncypiach chrześcijańskich i swoje hasło wyborcze „Make America Great Again" zacytował w formie zmodyfikowanej „Make America Pray Again" (Niech Ameryka znów się modli).

Najbardziej oburzeni są ci, którzy Biblii nie czytają oraz walczą z chrześcijaństwem – zaczęto wyśmiewać Trumpa, że został „handlarzem obwoźnym Biblii".

Najpierw chcieli go doprowadzić do bankructwa za pomocą kaucji, a teraz mają pretensję, że zarabia na handlowaniu Biblią. Czyli co? Lepiej byłoby, gdyby znalazł sobie bogatych donatorów z Wall Street, tak jak to zrobił Biden?

Trump nikogo nie zmusza do kupowania Pisma Świętego, ludzie kupują, bo chcą go wspierać, a do tego dostają coś w zamian – porządnie wydaną Biblię w cenie 60 dol., czyli tyle co normalnie za takie wydanie oprawione w skórę. Demokratom to nie pasuje. Złości ich sukces, złości każdy opór wobec ich władzy. ©℗

eprasa.pl 69da641fd5

Uwaga: nowe ceny na rok 2024

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

W PREZENCIE

KSIĄŻKI

TEKSTY Z DODATKÓW SPECJALNYCH TYGODNIKA „DO RZECZY": „PRAWNA OBRONA PRZED POLONOFOBIĄ" + „PRAWNA OBRONA WOLNOŚCI SUMIENIA I IDEOLOGIA LGBT"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~711 ZŁ~~

249,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 462 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 69da641fd5

WYDAWNICTWO m

PONAD **50 MLN** SPRZEDANYCH EGZEMPLARZY NA ŚWIECIE

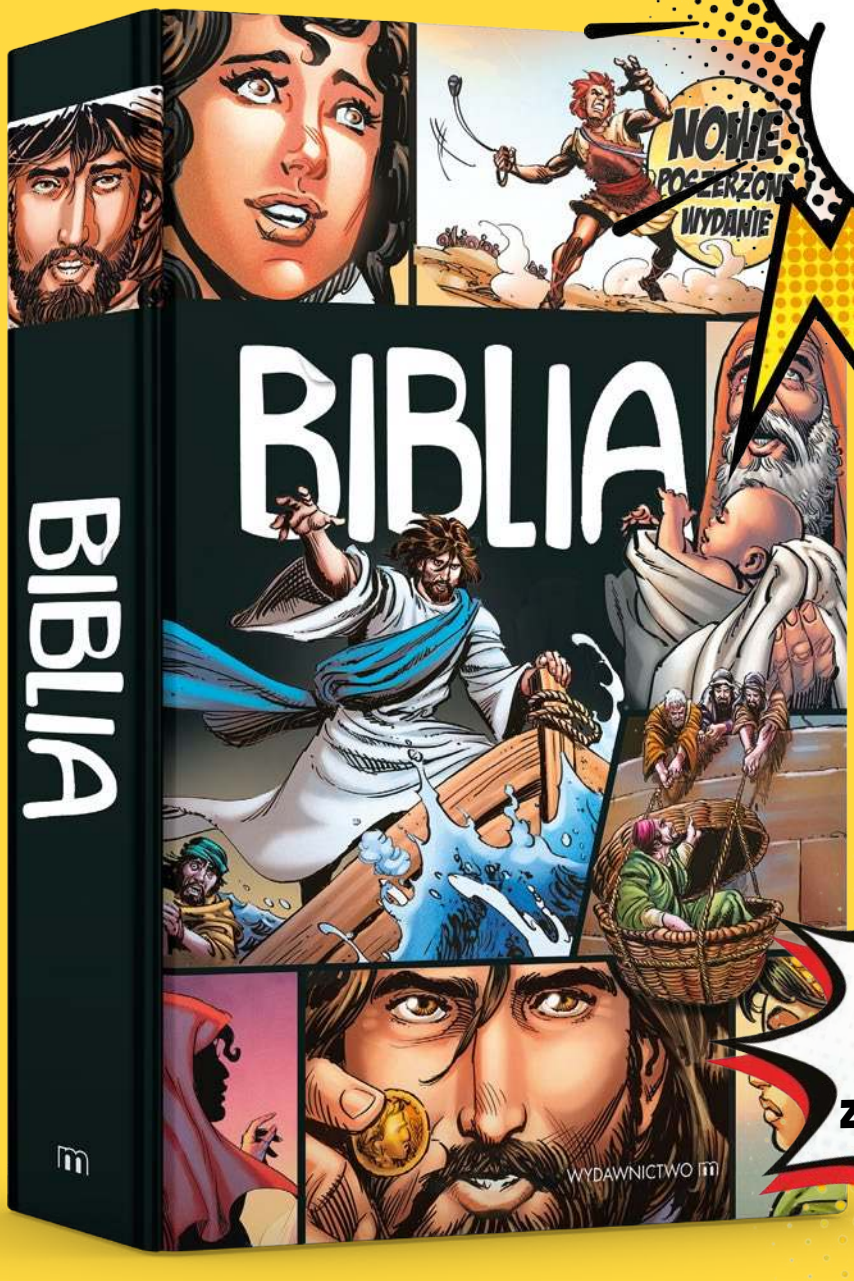

KOMIKS POSIADA IMPRIMATUR

DLA CZYTELNIKÓW „DO RZECZY" CENA 109 ZŁOTYCH Z KODEM RABATOWYM KOMIKS24

PROMOCJA WAŻNA W DNIACH: 15 – 21.04.2024

eprasa.pl 69da641fd5